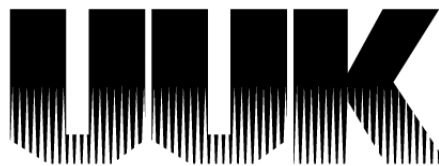


JOANNA CHMIELEWSKA

Studnie Przodków



QUALITY BOOKS

Roku pańskiego 1876 szesnastoletnia Katarzyna Bolnicka uciekła z domu. Ściśle biorąc nie z własnego domu, a z wytwornej siedziby swoich hrabiowskich pociotków, gdzie nabierała ogłady i uczyła się eleganckich manier. Nakichawszy na ogładę i maniery, zmyliła strażę i późną nocą wylazła przez okno spiżarni, następnie zaś przez dziurę w ogrodzeniu. Za dziurą czekał dziarski młodzian, dzierżący krótko przy pysku zniecierpliwione konie, łatwo zatem odgadnąć, po co Katarzyna uciekła.

Chwila to była wielce romantyczna, pół księżycy świeciło upojnie, wiosenny wiatr pędził po niebie obłoki, w młodzieńcu ogniście gorzały rozmaite uczucia i Katarzynie wszystko razem podobało się nadzwyczajnie. Nad skutkami ucieczki nie zastanawiała się ani przez chwilę, a sumienie miała spokojne, ponieważ zakochany wielbiciel zadbał o moralną stronę przedsięwzięcia i umówiony ksiądz już czekał. Ślub wzięli o świcie.

Do mężowskiego domu dotarli nie tak od razu. Pan młody mimo amorów zachował resztki przytomności umysłu i kołatały się w nim mgliste niepokoje w kwestii wrażenia, jakie nowa siedziba może uczynić na małżonce świeżo wyrwanej z hrabiowskiego pałacu. Pętał się zatem po okolicznych karczmach i oberżach, jak długo mógł, usiłując odwlec niepokojącą chwilę. Zwłóczył tydzień, dłużej się nie dało i owa chwila nadeszła.

Złe przeczucia okazały się słuszne, Katarzynę widok mężowskiej posiadłości trzasnął niczym grom z jasnego nieba. We dworze rodziców żyła dostatnio, w pałacu ciotki-hrabiny luksusowo, tu zaś ujrzała coś strasznego. Na skraju zwyczajnej wsi stała sobie zwyczajna chałupa, obszerna wprawdzie, czteroizbowa, z ogrodem, ale gdzie jej było do rodzicielskiego dworu! Już raczej przypominała rodzicielską oborę. Jedna dziewczka od krów i jeden parobek stanowili cały personel usługowy.

Katarzyna w mgnieniu oka poczuła się oszukana, wykantowana i zgoła zelżona. Temperament miała ognisty i jak przedtem wielka miłość, tak teraz dzika furia pchnęła ją do kolejnej ucieczki w tajemnicy. O bladym świcie najęła żydowską bryczkę i udała się do domu rodziców.

Skutki tego pomysłu okazały się zgubne, a wynajęty pojazd pograżył ją ostatecznie, trafiła bowiem dokładnie na chwilę powrotu matki od siostry-hrabiny. Pani Zofia Bolnicka na wieść o ucieczce córki z jakimś chudopachołkiem dostała ataku szału. Hodowała jedynaczkę dla wielkiej przyszłości i wiązała z nią potężne nadzieje, zgromadziła dla niej imponujący posąg, po czym wysłała ją na dwór swojej siostry, której udało się zrobić karierę przez poślubienie prawdziwego hrabiego. Na owym dworze urodziwa i obrotna Katarzyna miała pełne szanse otrzeć się o wielki świat, uzupełnić edukację i znaleźć odpowiedniego kandydata na męża. Pani Zofia ekspensowała się na kiecki i przypochlebiała siostrze, chociaż było to sprzeczne z jej charakterem, wciąż widząc przed sobą wielkie nadzieje. A Katarzyna cóż uczyniła? Zmarnowała wszystko, wywołując okropny skandal i niszcząc bezpowrotnie świetlaną przyszłość, mało, rzucając wręcz hańbę na całą rodzinę przez mariaż z jakimś nędzarzem, może i szlachcicem, ale całkiem schłopiałym.

Natychmiast po otrzymaniu wiadomości o wygłupie córki pani Zofia udała się do siostry i zrobiła jej potworną awanturę z powodu demoralizacji niedoświadczonej dziewczeczki. Siostra-hrabina usposobienie miała podobne, odpowiedziała zatem nie mniejszą awanturą, lżąc panią Zofię za zaniedbania wychowawcze, które doprowadziły do rozbestwienia głupiej dziewczuchy i takiego straszliwego skandalu. Młodociana ładaczka wprowadziła do rodziny jakiegoś chudopachołka z zaścianka, poniżyła wszystkich z panią hrabiną na czele, hańba niedopuszczalna, pani hrabina wyrzeka się na wieki i siostrzenicy, i siostry!

— Noga moja nie postanie więcej w tym zapowietrzonym domu! — wrzasnęła na to pani Zofia bliska apopleksji. — Mam gdzieś twoje hrabiostwo, ty ślepa komendo! Świnie ci pasać, a nie cnotliwą panienkę edukować!

— Cnotliwa panienka, cha, cha — odrzekła siostra urągliwie i kontakty rodzinne zostały zerwane.

Pani Zofia wróciła do domu, czerwono mając przed oczami. Furia szalała w niej w pełnym rozkwicie. Może by te dzikie uczucia z czasem nieco złagodniały, gdyby nie to, że dotarłszy na własny dziedziniec pani Zofia znienacka ujrzała źródło zamętu. Na widok wysiadającej z obskurnej żydowskiej bryczki Katarzy-

ny, wcale nie zapłakanej ani też skruszonej, za to zbuntowanej i wściekłej, owa szalejąca furia stwardniała nagle na granit. W pani Zofii coś zaskoczyło, zderzenie wielkich nadziei z okropną rzeczywistością przerosło jej siły, padania do nóg nie przyjęła do wiadomości, z mężem usiłującym wstawić się za córką przestała rozmawiać, chleba i noclegu wprawdzie jej nie odmówiła, ale zaraz nazajutrz kazała zaprzęgać i najlepszą kareta oraz czwórka cugowych koni odwiozła ją do ślubnego małżonka.

— Jakiś z nim uciekła, to teraz z nim żyj! — rzekła zimno i z zaciętością.

Przy okazji obejrzała sobie dokładnie posiadłość zięcia, po czym o ile granit mógłby stwardnieć, o tyle i jej zaciętość stwardniała. Zostawiła rozwścieczoną i nieszczęśliwą Katarzynę na podwórzu między drobiem i swoją lśniącą kareta wróciła do domu, zapowiedziawszy stanowczo, że córkę na wieki wydziedzicza.

Katarzyna poddała się losowi, uczyniła to jednak w sposób wysoce oryginalny. Do rodziców nie zwróciła się nigdy więcej. Raz na zawsze, na znak żałoby po utraconym świetnym losie, nałożyła czarną suknię i do końca życia nie zmieniła jej kroju ani koloru. Wszystkie kolejne kiecki sprawiała sobie takie same. Do owych czarnych powłóczystych szat, których treny zmiatały kurze łajna z podwórza, nosiła białe koronkowe kołnierzyki, także mankiety oraz białe rękawiczki i w tym stroju zajmowała się wyłącznie ogrodem. Gospodarstwa domowego nie tknęła. Ogród kwitł, reszta zaś szła jak Bóg dał. Mąż wielbił ją nieodmiennie wciąż z tym samym ogniem, czemu nie można się dziwić, bo też istotnie była śliczna. Drobną, szczupłą, czarnowłosa i czarnooka, żywa, bystra i wdzięczna. Dzieci miała dziewięcioro, siedmiu synów i dwie córki, i odnosiła się do nich podobnie jak do kur, prosiąt i garnków, pozostawiając je własnemu losowi.

W rodzinie, która zerwała z nią wszelkie kontakty, następowały wydarzenia rozmaite. Ciotka-hrabina zmarła bezpotomnie, przeżywszy swego męża-hrabiego o całe dwa lata. Skutek tych zgonów był dość nieoczekiwany, bo hrabina, gruntownie wymazawszy z pamięci imię siostry, zapomniała zmienić testament i pani Zofia Bolnicka odziedziczyła znienacka jedną czwartą hrabiowskiego majątku. Następnie zszedł z tego padołu samotny krewniak, który okazał się równie bogaty po śmierci, jak był skąpy za życia. Testamentem wprowadził lekkie zamie-

szanie, przekazał nim bowiem całość swoich dóbr córce pani Zofii, Katarzynie, lub jej potomkom. Pani Zofia wciąż jednakowo zacięta uczepliła się tego „lub jej potomkom” i nie dopuściła do obdarowania Katarzyny majątkiem, kwestię potomków zobowiązując się załatwić sama. Trochę to było sprzeczne z przepisami, prawem i wolą testatora, ale nie istniał na świecie taki notariusz, który ośmieliłby się sprzeciwić pani Zofii Bolnickiej. Następnie zmarł ojciec Katarzyny, pozostawiając całe mienie do dyspozycji żony. Wkrótce jeden z dwóch braci Katarzyny zginął w pojedynku, drugi zaś przepadł gdzieś w świecie. Wreszcie pani Zofia poczuła nadchodzącą starość.

Zacięta była nadal, ale sumienie zaczęło ją trochę niepokoić, do sumienia zaś zgodnie przyłączyli się jej spowiednik i jej notariusz. Notariusz nie mógł przeboleć owego testamentu krewniaka i nie dopełnionych powinności, które gryzły go w honor prawnika i w zwykłą ludzką uczciwość. Pani Zofia z wiekiem wprawdzie mało złagodniała, wciąż niebezpiecznie było różnić się z nią zdaniem, ośmielił się jednakże coś tam na ten temat napomknąć. Kancelarię miał zamiar w przyszłości przekazać synowi i razem z kancelarią chciał mu pozostawić nienaruszoną prawniczą cześć. Zadawnioną komplikację należało jakoś rozwikłać.

Szczerze mówiąc, pani Zofia sama nie bardzo wiedziała, co ma zrobić z niespodziewanie narosłym majątkiem, którego ogrom wzmagał jej rozgoryczenie. Doskonale umiała sobie wyobrazić, jak wyglądałoby życie jej bajecznie bogatej, niegdyś ukochanej córki, gdyby się tak nie wygłupiła i nie poślubiła byle kogo. Zięć okazał się wprawdzie człowiekiem przyzwoitym, ale niezaradnym, o dzieci umiał się postarać, ale o mienie dla tych dzieci już nie. Do bani taki zięć, który wnuki pani Zofii chowa na chłopów, a wszystkiemu winna, oczywiście, Katarzyna.

Katarzyna stanowiła kość zgryzoty. Część majątności należała się jej prawnie, część pani Zofia dawnymi czasy sama dla niej przeznaczyła. Uzbierany niegdyś posag wciąż leżał nienaruszony. Trzeba było jakoś z tego wybrnąć, równocześnie dać jej i nie dać, bo dać tak zwyczajnie, żeby mogła z tego korzystać, było ponad siły pani Zofii. Nie darowała córce ani swoich zawiedzionych nadziei, ani nieposłuszeństwa, ani afrontu, na jaki naraziła ją w hrabiowskim pałacu.

Testament pani Zofii wypadł zatem nieco osobliwie. Wyliczywszy starannie wszystko, co miała do przekazania, poleciła oddać to najstarszej córce Katarzynie, z tym że dopiero po śmierci matki, lub też potomkom tej córki. Katarzyna do końca życia miała trwać w ubóstwie w tej chłopskiej chałupie, którą sobie sama wybrała. Wykonawcą testamentu miał zostać stary notariusz, po nim zaś ewentualnie jego syn, któremu pod groźbą ojcowskiej klątwy nakazano szczególną dbałość o powierzone mienie oraz staranną pieczę nad spadkobierczynią nie mającą pojęcia, co ją czeka w przyszłości.

Spadkobierczyni chwilowo przestawiała gary na kuchni i przeganiała młodsze rodzeństwo, podjąwszy obowiązki gospodarskie i pedagogiczne w zastępstwie fanaberyjnej mamusi. Pani Zofia ukradkiem zasięgnęła informacji o najstarszej wnuczce. Dowiedziała się, że charakter, owszem, posiada, energię wykazuje, szanuje rodziców i trwa w posłuszeństwie. Wieści te sprawiły jej niejaką ulgę. Pomyslała, że może ona zrealizuje dawne wielkie nadzieje i zrobi karierę na bazie wspaniałego posagu, a jeśli nie ona, to jej dzieci. Grunt, żeby nie Katarzyna. . .

Wszystko pozostało najgłębszą tajemnicą. O testamencie pani Zofii wiedział notariusz, ona sama i dwóch świadków, z których jeden na łożu śmierci puścił nieco farby i pozwolił rozejść się niejasnym wieściom o ukrytym bogactwie, drugi zaś wywarł zdecydowany wpływ na przyszłe wydarzenia, aczkolwiek pary z gęby nie puścił. Tym drugim był niejaki Franciszek Włókniewski, wywodzący się z podupadłej szlachty ojciec rodu, siedzący na gospodarce we wsi o prostej nazwie Wola.

Franciszek Włókniewski był zdania, że wszystkim zawiaduje ręka boska, ręce boskiej należy jednak trochę pomagać. W ramach owej pomocy dokonał zatem dwóch czynów. Po pierwsze zaprzyjaźnił się zarówno ze starym, jak i z młodym notariuszem i posłużył im cenną pomocą w zarządzaniu częścią spadku, po drugie zaś jął miewać liczne i skomplikowane interesy gospodarskie we wsi będącej siedzibą Katarzyny de domo Bolnickiej. Interesy bezwzględnie musiał załatwiać jego starszy syn, narażony w ten sposób na ustawiczne spotkanie starszej córki Katarzyny, przy czym Franciszek Włókniewski, człowiek uczciwy, ani jednym

słowem nie wspomniał o jakichkolwiek nadziejach na przyszłość owej młodej damy. Resztę powinna była załatwić ręka boska.

Ręka boska zadziałała nieco grymaśnie. Pomieszała Franciszkowi synów i nie starszego pchnęła we właściwym kierunku, a młodszego, w dodatku tak miejsce, jak i okoliczności wybrała sobie dość nieoczekiwane. Starszy syn w tajemnicy przed ojcem już dawno miał narzeczoną w innej okolicy, z interesami wypychał zatem młodszego. Poznać się młodzi poznali, na córkę Katarzyny nie sposób było nie zwrócić uwagi, bo urodę wzięła po matce, nic jednakże na razie z tego nie wynikało. Każde z nich miało jakieś plany we własnym zakresie. Młodszy syn Franciszka poszedł do miasta z błogosławieństwem rodzicielskim, córka Katarzyny zaś zbuntowała się przeciwko tyranii garów i uciekła z domu bez błogosławieństwa rodzicielskiego. Przekleństwa uniknęła również dzięki temu, że Katarzynie było to najzupełniej obojętne. Obowiązki domowe przejęła młodsza córka.

Starsza córka w stołecznym mieście Warszawie natknęła się na znajomego młodzieńca ze wsi i tu opatrność uznała za słuszną wkroczyć. Obydwoje razem podziałali sobie trochę w ruchu rewolucyjno-patriotycznym, bo czasy to były carskie, szczęśliwie nie wpadli i nie poszli na Sybir, za to po pewnym czasie wzięli cichy ślub. Pani Zofia Bolnicka nie dożyła tej chwili, padła rażona apopleksją na wieść o ucieczce z domu najstarszej wnuczki. Franciszek Włókniewski dożył i zmarł w rok później szczęśliwy, wciąż zachowując w kwestii przyszłego spadku absolutne milczenie.

Katarzyna żyła, a spadek czekał. Część kwitła i prosperowała pod zarządem młodego notariusza i młodego Włókniewskiego, a część trwała w zastoju przemysłnie ukryta, przy czym o miejscu ukrycia zdecydowała jeszcze za życia pani Zofia do spółki ze starym notariuszem. Nadal nikt o niczym nie wiedział, młody notariusz trzymał język za zębami, młody Włókniewski pojęcia nie miał, że uczestniczy w zarządzaniu przyszłym mieniem swojej bratowej, opatrzone pieczęciami testament spoczywał w żelaznej skrzyni, a Katarzyna żyła. Umarł jej mąż, dzieci rozpierzchnęły się po świecie, dwie wojny światowe wstrząsnęły narodami, a Katarzyna ciągle żyła, zajmując się swoim ogrodem. Umarła wreszcie roku pańskiego 1954, przeżywszy lat 94.

Po notariuszu, testamencie i spadku wszelki ślad zaginał. . .

* * *

Niejaki Adam Dudek, z zawodu ogrodnik, pod naciskiem żony remontował swój dom własnoręcznie. Hania Dudkowa słynęła ze skąpstwa i nie życzyła sobie płacić za robociznę obcym darmozjadom. Życzyła sobie mieszkać porządnie i elegancko możliwie jak najmniejszym kosztem, a mąż pełen szacunku dla jej gospodarności nie ośmielił się sprzeciwić. Dom był przedwojenny, porządny, solidnie wykonany i opłacało się go remontować, wprowadzając takie luksusy, jak łazienkę i centralne ogrzewanie, szczególnie że osobom, które na jarzynkach porosły w pierze, nie wypadało już mieszkać byle jak.

Hania zatem twardo siedziała na pieniądzach, a jej mąż harował. Po niesłychanie długich i licznych udrękach budowlanych doprowadził wreszcie remont do fazy końcowej, co jemu samemu wydawało się istnym cudem. Z wielką satysfakcją nabył piec centralnego ogrzewania i przystąpił do montowania go w piwnicy.

Piwnice były obszerne i bez trudu znalazło się w nich miejsce na kotłownię i skład opału. Grzejniki w całym domu zostały już założone, wszelkie przewody i rury połączono ze sobą, należało teraz ustawić piec, podłączyć i sprawdzić, jak działa całość. Do pomocy przy tej operacji Adam zaprosił dalekiego krewniaka, młodzieńca pełnego siły i wigoru, słynącego z przydatności do rozmaitych skomplikowanych przedsięwzięć natury nie tylko prywatnej, ale także służbowej. Krewniak, Staszek Bielski, cieszył się stopniem starszego sierżanta w miejscowej komendzie MO i powierzane mu były wszelkie zadania trudne, nietypowe i zawiłane, panowała bowiem ogólnie opinia, że Staszek ma pomysły i ze wszystkim zawsze da sobie radę. Wzywanie go do pomocy zaczynało już wchodzić w powszechny nawyk.

Trzy osoby, niezmiernie przejęte ważnością chwili, zeszły do piwnicznego pomieszczenia, w którym czekał piec.

— Tu stawiamy — oznajmił Adam Dudek i walnął kawałem żelaznej rury w ceglana posadzkę pod wiszącym na ścianie zbiornikiem. Posadzka zadudniła jakoś dziwnie głucho.

Hania Dudkowa nadstawiła uszu.

— Czekaj no — powiedziała pośpiesznie. — Co to tak dudni?

Zajęty piecem mąż nie zwrócił uwagi na jej pytanie.

— Bierz, Staszek, z tamtej strony — polecił. — Trza obrócić. Tu akurat przypasuje.

Znów puknął w posadzkę, odrzucił rurę pod ścianę i zbliżył się do pieca. Staszek Bielski natężył mięśnie, ujął piec od dołu i zaczął unosić, ale Hania go powstrzymała.

— Czekajże, mówię! Co ta posadzka tak dziwnie dudni?

— Co? — zdziwił się Adam. — Co ci znowu dudni?

— No jak to co, nie słyszałeś? Jak walnąłeś, to tak jakoś zadudniło. Walnij no jeszcze raz.

— Faktycznie — przyświadczył Staszek Bielski i wyprostował się. — Pani Hania ma rację, jakoś zadudniło.

— Zwiduje wam się — mruknął Adam, ale posłusznie oderwał się od pieca, ujął rurę i ponownie walnął w posadzkę. Posadzka odpowiedziała głucho.

— Dudni! — wykrzyknęła Hania.

— Dudni — przyznał Staszek.

— Co ma nie dudnić, jak w nią walę! — zirytował się Adam. — Coście chcieli, żeby świstała?

— Walnij obok — rozkazała Hania.

Adam Dudek dla świętego spokoju walnął kilka razy. Dźwięki były różne. To płytkie, jasne, ostrzejsze, to znów głucho dudniące. Różnica była niewielka, ale dawała się zauważyć.

— Widzi mi się, że tam coś jest — rzekł niepewnie Staszek Bielski.

Niebieskie oczy Hani zlodowaciały. Cokolwiek by tam było, wołałaby przy oglądaniu tego nie mieć świadka, a już szczególnie świadka w postaci funkcjo-

nariusza MO. Niemniej było za późno. Nie mogła teraz nagle wyrzucić ich obu z piwnicy. Milczała wściekła na siebie, na męża i na Staszka.

Adam Dudek z narastającym zainteresowaniem pukał w cegły raz koło razu. Głucho odpowiadał tylko prostokąt o wymiarach metr na trzy czwarte. Coś istotnie musiało tam być.

— Dziurę zostawili czy co? — mruknął z powątpiewaniem. — Ja tam nic o tym nie wiem, a przecie to mój ojciec ten dom budował. O żadnych dziurach nie mówił.

— Wojna była w międzyczasie — zauważył Staszek. — Może tam kto co zrobił za okupacji?

— Może i zrobił, kto ich tam wie... Nas tu wtenczas nie było. To co, zajrzeć chyba trzeba, nie?

Obaj spojrzeli na Hanię, bo wiadomo było, że ona rządzi w tym domu. Hanią szarpnęła rozterka. Zajrzeć należało bezwzględnie, ale przecież nie w tak licznym towarzystwie. Ten Staszek potrzebny tu jak piąte koło u wozu...

Mignęła jej w głowie ponętna myśl, żeby to teraz zostawić, udać lekceważenie, wywlec ich z tej piwnicy, a potem nocą, bez świadków, zapędzić męża do roboty. Już nawet zaczęły jej świtać sposoby realizacji tej znakomitej myśli, ale żadnego nie zdążyła wprowadzić w czyn. Na schodach rozległ się rumor i do piwnicy wpadł Miecio, ich czternastoletni syn, który właśnie wrócił ze szkoły.

— No i co? — wrzasnął z przejęciem. — Działa?

— Nic nie działa — warknęła Hania. — Wynoś się stąd!

— Coś tu jest — odparł równocześnie Adam. — Dudni. Chyba dziura.

— Cześć, Mietek — powiedział Staszek Bielski.

Miecio odruchowo szurnął nogami, bo Hania kładła wielki nacisk na manieri dzieci, i dopadł ojca.

— Rany, jak to? Pod podłogą? Dziura? Niech skonam, skarb!

Sprawa została przesądzona. Pozostawienie odłogiem dudniącej dziury wymagałoby już teraz nadludzkich wysiłków i nie dałoby się niczym uzasadnić. Miecio zapłonął żywym ogniem, uszy mu poczerwieniały, w mgnieniu oka przyniósł oskard i mesel.

— Ostrożnie! — ostrzegła Hania gniewnie. — Nie walcie tak! Cegły na zagobach nie rosną!

Pieczołowicie i delikatnie, bo Hania patrzyła im na ręce, zdjęli wierzchnią warstwę cegieł. Pod nimi ukazały się deski, które wyszły łatwo, nie były bowiem niczym umocowane. Ułożono je luzem, najwidoczniej tylko po to, żeby na nich mogły się trzymać cegły. Pod deskami istotnie pojawiła się dziura, a w niej coś dużego, starannie owiniętego brezentem. Miecio płonął z emocji, jego matka skamieniała, zeszywniała i zlodowaciała do reszty.

— Coś takiego! — rzekł ze zdziwieniem Staszek Bielski i spojrzał na Adama. — I tyś nic o tym nie wiedział?

— Ano nic — wyznał Adam i podrapał się po głowie. — Mówiłem ci, że nas tu przez wojnę nie było.

— Ale że do tej pory ani razu nie zdarzyło ci się tu puknąć...?

— A po cholere miałem pukać? Nic tu nie było robione.

— Tu ziemniaki leżały — wyjaśniła Hania zdławionym goryczą głosem. — Zawsze w tej piwnicy leżały ziemniaki, bo najlepsze miejsce. Kto miał pukać pod ziemniakami?

— No niby racja. Zdarza się... .

Stali wszyscy nad dziurą, wpatrzeni w brezent, starając się ukryć rozpierającą ich ciekawość i pęczniejącą nadzieję, że może to rzeczywiście skarb. Okaże się potem, że byle co, i człowiek wyjdzie na głupiego... .

Miecio pierwszy nie wytrzymał.

— No! — ponaglił niecierpliwie. — Zajrzyjmy tam!

Adam łypnął okiem na milczącą żonę, zawahał się i sięgnął do brezentu. Stasz-kowi nagle coś błysnęło.

— Czekaj! — powstrzymał go energicznie. — Mogli tam schować broń, amunicję czy inne takie. Może lepiej ja... .

Miecio kwiknął przenikliwie, bo już sam nie wiedział, co by wolał: skarb czy prawdziwe granaty. Albo może miny przeciwczołgowe, cudowna rzecz! Hani sztywność trochę zelżała. Pomyślała, że przypuszczenie Staszka jest najbardziej prawdopodobne, a zatem nie będzie szkody. Kiwnęła głową i odsunęła Adama.

— Ma rację. Zostaw to. Niech on zajrzy, zna się na tym.

Staszek przyklął nad dziurą i ostrożnie zaczął odchyłać brezent. Pod nim była cerata porządnie sklejona. Potykając się na cegłach, Miecio skoczył do mieszkania i wrócił z nożyczkami. Staszek przeciął warstwę ceraty i pod nią ujrzeli wreszcie żelazną skrzynkę. Skrzynka była czymś wysmarowana i przede wszystkim umazał się tym Staszek. Powąchał substancję i wytarł rękę o spodnie.

— Towot chyba czy co? Cała grubo wymazana. . .

— Zabezpieczyli przed wilgocią — mruknął Adam. — Może i faktycznie amunicja. . .

— Da się otworzyć? — spytał chciwie Miecio, usiłując wepchnąć głowę do dziury.

— Mowy nie ma. Kłódka tu wisi i jeszcze ma zamki. Trzeba wyjąć.

— To wyjmujemy! No, prędzej. . . !

Po wielu skomplikowanych wysiłkach śliska od smarowidła i pozbawiona uchwytów skrzynka została wywleczone z dziury, wniesiona do mieszkania i ulokowana na stole w pokoju. Prezentowała się nader okazale. Żelazo było w doskonałym stanie, po usunięciu smarowidła wyglądało jak nowe, wieko miało na brzegach wykuty ozdobny ornament, z frontu wisiała kłódka, a na bokach widniały dziurki od kluczy osłonięte klapkami. Całość była zamknięta na mur.

— No tak — powiedziała jadowicie Hania, która na widok skrzynki od razu zwątpiła w amunicję i na nowo przeistoczyła się w zamrożone drewno. — A gdzie klucze?

— Klucze ma przy sobie ten, co schował — odparł Adam. — Trza będzie jakoś otworzyć, bo rozbijać chyba szkoda. . .

Staszek zaofiarował się sprowadzić milicyjnego ślusarza. Hania zaprotestowała zimno, ale grzecznie, co przyszło jej z nadludzkim trudem. Miecio zniknął w głębiach domu i wrócił z potężnym stosem rozmaitych kluczy.

— Próbujemy! — zawołał z zapalem.

Hania nie udusiła własnego syna, chociaż miała na to wielką ochotę. Ugięła się pod presją niezycziwej siły wyższej, która ujawniła skarb w jej domu akurat w obecności prawdziwego milicjanta. Nie zdobyła się wprawdzie na aprobatę,

ale przynajmniej stłumiła rwące się jej na usta protesty. Posępnie przyglądała się próbom otwarcia sezamu, z całego serca pragnąc, żeby się nie powiodły.

Piec centralnego ogrzewania poszedł w całkowite zapomnienie. Miecio znosił zewsząd całe stosy najrozmaitszego żelastwa, jego dwunastoletnia siostra, Magda, w zastępstwie matki przyrządzała w kuchni posiłek, Adam i Staszek, sapiąc, mężczyli się nad kłódką i zamkami, a Hania trwała nad nimi niczym sęp nad świeżym ściervem, nie odrywając oka od skrzynki ani na jedną chwilę.

Późnym wieczorem wysiłki zostały uwieńczone powodzeniem. Zdjęto kłódkę, jeden zamek otwarto, a drugi zepsuto. Szaleńczo zdenerwowana Hania powoli i ze szczerą niechęcią uniosła ciężkie, żelazne wieko.

Rozczarowanie było tak wielkie, że wręcz namacalne. Z wnętrza skrzynki nie buchnął żaden blask, nic nie zaśniło, nie zajaśniało, nie brzęknęło upojnym, złocistym dźwiękiem. Zawartość pudła stanowiły wyłącznie papiery; sztywne, poskładane na czworo, niektóre zwinięte w rulony, niektóre pookręcane sznureczkami i opieczętowane, starsze i nowsze, niektóre zupełnie pożółkłe. Nic więcej, tylko papiery!

— Eee... — powiedział Miecio tonem, który mówił sam za siebie.

Hania zmięła w sobie tak, że prawie zrobiło jej się słabo. Zajrzała na dno, pod papiery, upewniła się, że nic tam nie ma, i na chwilę zastygła w bezruchu wsparta o stół.

— Chwała Bogu, że nie amunicja! — powiedział pocieszająco Adam. — Tylko byśmy mieli kłopoty.

— Z papierami czasem więcej kłopotów — mruknął Staszek i sięgnął do skrzynki po pierwszy z brzegu dokument. — Czasem to nawet... A to co znowu? Nic nie można odczytać!

Adam zajrzał mu przez ramię, Hania poruszyła się i niemrawo sięgnęła po inny papier. Pismo na nim było dziwne; pełne zawijasów, cieniowane litery utrudniały odcyfrowanie tekstu.

— Ja, nżej po ol piiii — dukał Staszek. — A, rozumiem. Ja, nżej podpisanymy. Rany, co za kulfony. Antoni Priegooo... A, nie. Grzegorzczuk. Niniejszym offfia... d... cjam, oświadczam, o niech to piorun spali!

Sapnął z wysiłku i opuścił rękę z dokumentem, niechętnie patrząc na skrzynkę. Hania na swoim papierze odczytała tylko datę, ale to jej wystarczyło. 1887 rok. Przyjrzała się uważniej zawartości żelaznego pudła. Papiery były wyraźnie stare, niektóre nawet bardzo stare. Hani zaświtała nagle nowa myśl, od której jej twarz, zazwyczaj porcelanowo biała, aż się zaróżowiła.

— Stare szpargały — zawyrokowała z najwyższym lekceważeniem. — Pewno schowali przed Niemcami, wszystko dawno nieważne. Wyrzucić trzeba albo spalić, tylko skrzynka się przyda.

Staszek Bielski pokręcił głową i sięgnął po papier złożony we czworo.

— Wyrzucić nie można — zaprotestował, studiując go z uwagą. — Spalić też nie, mowy nie ma. To są dokumenty urzędowe, tu już można przeczytać. Zaraz... młyn z parcelą... jako i stawidła na rzece... na własność Jeremiaszowi Borkowskiemu... trzysta rubli srebrem w gotowiźnie... Co tak tanio? A nie, coś tu mu jeszcze dołożył...

Adam i Hania patrzyli na niego; Adam niepewnie, Hania nieżyczliwie. Miecio stracił zainteresowanie skrzynką, wzruszył ramionami i udał się do kuchni. Staszek podniósł głowę.

— To jest chyba akt kupna-sprzedaży młyna — rzekł w zadumie. — Z tysiąc dziewięćset trzeciego roku. Tylko napisane „powiat kowelski”, znaczy teraz to jest w Związku Radzieckim. Kopia sporządzona na życzenie wielmożnego pana Jeremiasza Borkowskiego...

— Przecie tego młyna nikt teraz nie będzie dochodził — przerwała Hania niecierpliwie. — Na co to komu? Wszystko stare i do niczego.

— Czy ja wiem... Ale historyczne.

Do pokoju wsunęła się Magda, którą Miecio w kuchni zdążył poinformować o rodzaju znaleziska.

— To trzeba oddać do muzeum — oznajmiła odkrywco. — U nas była w szkole pogadanka. Jeden pan mówił, żeby wszystko co stare oddawać do muzeum, bo po ludziach się niszczy, a muzeum ma za mało rzeczy. W Liwii jest muzeum.

Hania złodowaciała na nowo, a Staszek rozpromienił się i porzucił uciążliwą lekturę. Pomysł wydał mu się doskonały, zdejmował z niego obowiązek podejmowania decyzji, z czym właściwie ma do czynienia; z urzędowymi dokumentami, które milicja powinna zabezpieczyć, czy też z całkowicie prywatnym znaleziskiem, które milicji nic nie obchodzi. Ucieszył się, że tę kwestię rozstrzygnie muzeum, i z zapałem pochwalił propozycję.

Adam również kiwał głową z aprobatą. Stare szpargały w ogóle go nie interesowały, a darowizna dla muzeum mogła odegrać pewną rolę w jego życiowych planach. Owszem, bardzo słusznie, osobiście te papiery do muzeum zanieśe. . .

Z niebieskich oczu Hani wiał polarny mróz. Teraz dla odmiany miała ochotę udusić córkę. Z jej świeżo wyklutymi planami muzeum zdecydowanie kolidowało i absolutnie nie miała zamiaru zgodzić się na propozycję, ale protesty postanowiła odłożyć na inną chwilę. Stanowczym gestem zamknęła skrzynkę i przypomniała wszystkim, że pora jest późna, a kolacja gotowa. . .

* * *

Miejscem, gdzie Hania Budkowa, nie zwracając niczyjej uwagi, załatwiała swoje interesy, były szklarnie jej męża. Musiała oczywiście wybierać chwile, kiedy mąż był zajęty gdzie indziej, ale to nie sprawiało zbytnich trudności. Nazajutrz po znalezieniu skrzynki spotkała się zatem przy szklarniach z jednym takim.

Jakim sposobem wieść o znalezieniu w domu Dudków jakichś starożytności rozeszła się w ciągu nocy i ranka po całej okolicy, nie wiadomo, dość, że się rozeszła i jeden taki już był o tym poinformowany. Jeden taki przyjechał podobno z Ameryki, przebywał w Węgrowie od dwóch tygodni i nazywał się dość oryginalnie, John Capusta. Z Hanią od początku nawiązał kontakty handlowe i przyszedł teraz pod pretekstem nabycia pomidorków.

— Jak tam, pani Haneczko? — spytał z miłym uśmiechem. — Ma pani coś ciekawego?

Hania Dudkowa nie lubiła zbędnego gadania. Rozejrzała się dookoła, jakby badając stan pogody, stwierdziła, że nikt ich nie podgląda, spokojnie podeszła do półki z nasionami i spod pudełek i torebek wyciągnęła kartonową teczkę. Wyjęła z niej pożółkły dokument, który bez słowa wręczyła Johnowi Capuście.

John Capusta również bez słowa ujął dokument i zaczął go uważnie studiować. Miły uśmiech znikł, oblicze miał teraz nieprzeniknione. Hania zimno przyglądała się jego szerokiej gładkiej twarzy, zdrowej cerze, rozklapanemu nieco nosowi i pięknie wypielęgnowanym brwiom. Zniżyła wzrok i obejrzała całą, trochę pękatą figurę średniego wzrostu, z lekką zawiścią oceniła gatunek kusego wiosennego płaszczyka i zamiszowanych butów, wreszcie oparła oko na imponującym złotym sygnecie. Wytrwała przy sygnecie, aż John Capusta skończył czytać.

— Jest tego więcej — rzekła sucho. — Są i starsze.

— Musiałbym je zobaczyć — odparł John Capusta w zamyśleniu. — Może się na co przydadzą, chociaż sama pani wie, że szukam innych rzeczy. Ale popatrzeć zawsze można.

Hania zawahała się. Metody handlowania miała ustalone raz na zawsze: nigdy nie pokazywać całego towaru, najpierw sprzedać ten gorszy. Obecny towar jednakże był raczej nietypowy i nie bardzo umiała z nim sobie poradzić, po krótkim namyśle zatem zaprosiła kontrahenta do domu. John Capusta przypomniał o pomidorkach.

— Trochę natki może być, trochę rzodkieweczki, trochę koperku — dodał raźnie. — Pani wie, pani Haneczko, że ja do pani przychodzę wyłącznie po witaminki i nic więcej.

Hania zdobyła się nawet na uśmiech, który do jej twardej, zimnej, białej twarzy wcale nie pasował. Przypomniała sobie, ile pieniędzy już jej zapłacił ten zagraniczny bęcwał nie tylko za witaminki, ale także za inne rzeczy, różne stare rupiecie wyciągnięte ze strychu i odkupione za nędzne grosze od rozmaitych ludzi. Szukał staroci, proszę bardzo, w żelaznej skrzynce leżą starocie. . .

Poszukiwacz staroci siedział w kuchni przy stole, Hania zaś donosiła mu z pokoju po jednym dokumencie. Ani razu nie zapomniwała zabrać poprzedniego, nim wręczyła następny, i ani razu nie zostawiła otwartych drzwi. Na początku dała

mu te, które wydawały jej się nowsze, przy czym część ich pochodziła z wielkiej koperty, ulokowanej gdzieś w środku skrzynki. Wyjęła je kolejno, po czym pedantycznie schowała z powrotem. Następnie donosiła coraz to starsze, oceniając ich wiek po stanie papieru i zawijasach pisma, wszystkie po kolei, z wyjątkiem jednego. Może zresztą był to więcej niż jeden, nie mogła tego wiedzieć, nie leżał bowiem luzem, tylko również w kopercie zaklejonej i zalakowanej trzema pieczęciami. Na wszelki wypadek wołała te pieczęcie zostawić nie naruszone, bo nigdy nie wiadomo, co z czego wyniknie. Zamierzała zastanowić się nad nimi po zakończeniu transakcji.

Gość każdą sztukę odczytywał z uwagą, robiąc sobie przy tym jakieś notatki, a Hania w trakcie jego lektury z wielką starannością i bardzo wolno pakowała pomidory i zieleninę. Przyglądała mu się przy rym spod oka i myślała, że chyba udaje, bo wiadomo przecież, że tych gryzmołów nie da się odczytać.

John Capusta skończył wreszcie czytać, podniósł głowę i popatrzył w okno.

— Za wszystko razem mogę dać pani dwieście złotych — rzekł z lekką niechęcią i nieco wzgardliwie.

Hania się niemal zachłysnęła.

— Co pan...? Jakby pan powiedział dwa tysiące, to byśmy mogli zacząć rozmawiać. Żarty pan sobie stroi.

— Jakie tam żarty. Tu nie ma nic wartościowego, stare bo stare, ale ja się papierami nie zajmuję. Nikomu to się nie przyda. Dwieście złotych... No, trzysta!

Hania wyjęła mu z ręki ostatni przeczytany papier, zaniósła go do pokoju, schowała do skrzynki i wróciła do kuchni.

— Pięć tysięcy — powiedziała zimno.

— To nie ze mną — odparł John Capusta równie zimno. — Ja mogę rozmawiać na temat trzystu złotych. Od nikogo pani nawet i tyle nie dostanie.

Hania nie zniżyła się do udzielenia odpowiedzi. Podejrzewała, że kontrahent ma rację, niemniej na sprzedaż za trzysta złotych nie zamierzała się zgodzić. W milczeniu pakowała nowalijki.

— Nic tam więcej nie ma? — spytał po chwili John Capusta, wciąż patrząc w okno roztargnionym wzrokiem.

Hania po namyśle wyznała, że jest coś więcej. Jeszcze jedna koperta, ale do ręki mu jej nie da, bo pieczęcie łatwo połamać. Jakby kupował, to i z tym, ale jak nie, to nie.

— Kto mówi, że nie? Ja bym może i kupił, ale pani wymyśla takie ceny, że skóra cierpnie. Obejrzałbym to jeszcze raz powolutku i na spokojnie. . .

Po południu John Capusta podniósł cenę na pięćset złotych, Hania zaś opuściła do czterech tysięcy. Operacja donoszenia dokumentów powtórzyła się trzykrotnie. John Capusta studiował przedmiot targu z niesłychaną dokładnością, papier po papierze odczytywał w skupieniu i cały czas robił sobie notatki. Trzymał się przy tym tych pięciuset złotych jak rzep psiego ogona, napomykając tylko niedbale, że bez obejrzenia ostatniego dokumentu, tego z pieczęciami, o sfinalizowaniu transakcji w ogóle mowy nie ma.

Sprawę ostatecznie przesądził Adam Dudek. Wieczorem, kiedy zostali sami, wyjawiał żonie swój plan.

— Do tej parceli koło nas, to wiesz, Rada Narodowa ma prawo pierwokupu — rzekł tajemniczo, zdejmując buty. — Stary Marcinkowski chce sprzedać, a nam potrzebna, że no! Do zarżnięcia! Musiałbym taką łapówkę dać, że niech ręka boska broni. No więc wywiedziałem się już, tak delikatnie, że jak będziemy mieli jakie zasługi, to im będzie nijako się upierać i pozwolą nam kupić. Zasługa jak z nieba spadła!

— Jaka zasługa? — spytała Hania nieufnie, bo Adam zamilkł przekonany, że powiedział już wszystko.

— No, jak to jaka? Darowizna dla muzeum. Z hukiem to trzeba załatwić, z wielkim gadaniem, z zaświadczeniami, z czym się da.

— Co do huku, to masz z głowy, bo nasze dzieci już po całym mieście roztrąbiły, że znaleźliśmy Bóg wie jaki skarb i oddajemy do muzeum.

— Roztrąbiły? — ucieszył się Adam. — Złote dzieci, niech im będzie na zdrowie! Zaraz jutro tam się wybiorę. Skrzynkę też im oddamy, żeby nie było, że skąpimy.

Hania syknęła, jak ukąszona. Pomysł męża sam w sobie nie był głupi, papierów nie żałowała, skoro John Capusta nie chciał dać więcej. . . Możliwość zakupu

parceli tuż obok ich ogrodu była na pewno więcej warta niż te idiotyczne pięćset złotych. Ale skrzynka...? Taka porządna żelazna skrzynka...!

Stało w końcu na tym, że o skrzynce zadecyduje muzeum. Jeżeli okażą obojętność, Adam przyniesie ją z powrotem, jeśli jednak rzuca się tam na nią z pazurami i roziskrzonym wzrokiem, trudno, zostawi. Za zysk z parceli Hania kupi sobie tysiąc żelaznych skrzynek, a teraz nie ma o czym gadać.

W urobieniu przychylniej Adamowi opinii publicznej wydatnie dopomogły nie tylko dzieci, ale także Staszek Bielski, któremu przyjemnie było pomyśleć, że uczestniczył w znalezieniu czegoś niezwykle cennego. Papiery ze skrzynki w ciągu kilku godzin zestarzały się o dobre kilkaset lat. W Radzie Narodowej już z góry było wiadomo, że Adam Dudek dokonuje wiekopomnego czynu i trzeba go będzie moralnie wynagrodzić...

* * *

W pokoju konserwatora muzeum w Liwii siedział oficjalny zastępca kustosa, Michał Olszewski, historyk sztuki. Ukończył studia rok temu i to była jego pierwsza praca. Miał dwadzieścia pięć lat, całe życie przed sobą i wielkie nadzieje na przyszłość.

Siedział w pokoju konserwatora, bo w gabinecie kustosa urzędował konserwator, który de facto pełnił obowiązki administracyjne. Od chwili kiedy kustosz poszedł na dwuletni urlop macierzyński, w muzeum nastąpiło lekkie pomieszenie funkcji. Konserwator, wieloletni, doświadczony pracownik muzealnictwa, automatycznie przejął czynności kierownicze, Michał zaś zajął się porządkowaniem i konserwacją wszystkiego z wyjątkiem malarstwa. Przy renowacji malarstwa pozostał prawdziwy konserwator, wykazujący w tym kierunku nieprzeciętne talenty.

Michał siedział przy biurku, oglądał przez okno obłoki na wiosennym niebie i wyobrażał sobie nadzwyczajne rzeczy. Przed oczami duszy jawiły mu się liczne dzieła sztuki urody zupełnie unikalnej. Przez całe swoje życie marzył o pra-

cy wśród zabytkowych arcydzieł, o wstrząsających odkryciach, o wynajdywaniu i ocalaniu antyków, jakich świat nie widział, o wyciąganiu na światło dzienne historycznych pamiątek i prezentowaniu ich na wszystkie strony. Marzył o przepychu sal muzealnych, pełnych bogactw. Przez całe lata cierpiał straszliwe katusze, natykając się na zaniedbania i marnotrawstwo, na dzieła sztuki poniewierające się po piwnicach, magazynach i strychach nie tylko domów prywatnych, ale także budynków muzealnych. Krew się w nim burzyła i serce zamierało, zaciskał zęby i z całej duszy postanawiał sobie poprawiać świat. Wynajdywać wszystko, każde wielkie dzieło i każdą drobnostkę, odnawiać, czyścić, pielęgnować i pokazywać. Pokazywać wszystkim jak leci: dzieciom i dorosłym, obcokrajowcom i tubylcom, intelektualistom i analfabetom, komu popadnie, bez różnicy płci, wieku i urzędu. Informować, opowiadać, budzić miłość i szacunek dla historii sztuki, uhistorycznić, ukulturalnić, uartystycznąć społeczeństwo! Pazurami wydrzeć te zabytki zewsząd, gdziekolwiek się marnują, odkupić, wyżebrać, w ostateczności nawet ukraść! Stworzyć muzeum, któremu Luwr nie byłby godzien butów czyścić!

Innymi słowy, był absolutnym, nieuleczalnym maniakiem, idealistą i zapaleńcem w swoim zawodzie.

Muzeum, w którym pracował, odbiegało od marzeń w sposób rażący. Zawierało trzy eksponaty na krzyż, w dodatku była to głównie broń, samopały od siedemnastego wieku wzwyż, a zatem, jak na potrzeby Michała, przedmioty za młode i za mało artystyczne. Najstarsze w zbiorach były halabardy, do których też żywił największy sentyment. Dając wyraz uczuciom, w wielkiej tajemnicy i bez świadków czyścił je, polerował, nawet ostrzył i zawsze miał pod ręką co najmniej dwie.

Za oknem, na niebie, ukazało się wielkie stado wron, a równocześnie zawarczał jakiś zbliżający się samochód. Samochód był przedmiotem obrzydliwie nowoczesnym, samym warkotem usunął z obłoków ów czarowny obraz arcydzieł. Pełen rozgoryczenia na rzeczywistość, a zarazem jakiejś rozpaczliwej chęci działania, wciąż zamyślony Michał wstał z krzesła i roztargnionym ruchem zdjął ze ściany halabarę.

Drag był dość ciężki i nieporęczny. Michał ujął go krzepko w połowie, niejasno myśląc, że miał toczyć walkę o dzieła sztuki. Zaprzątnięty ową mglistą myślą

uczynił mimowolny zamach halabardą. Zamach wydał mu się jakoś nieodpowiedni dla narzędzia, uczynił zatem drugi zamach. Też nie najlepszy. Nagle zainteresowany fechtunkiem spróbował kilku innych gestów i już po chwili dźgał i ze świstem przecinał powietrze z takim zapałem, jakby miał przed sobą przeciwnika, który w wilgotnej piwnicy ukrywa nieodporne na wodę skarby sztuki sprzed pięciuset lat.

Oczywistą jest rzeczą, że na ten właśnie moment trafił Adam Dudek, który furgonetką przywiózł swoją skrzynię. Muzeum było otwarte, ale puste, nie wiedział, gdzie się udać, zapukał zatem do najbliższych drzwi na lewo. Nie czekając na zaproszenie, bo skrzynia ciążyła mu solidnie, nacisnął klamkę i uchylił drzwi.

Coś ze straszliwym świstem przecięło powietrze przed samym jego nosem. Miotnął się do tyłu, huknął łokciem w futrynę, ciężar wymknął mu się z rąk i gruchnął o podłogę. Świszczące coś zamigotało, błysnęło zygzakiem i z potężną siłą wbiło się akurat w rozsypaną zawartość skrzyni tuż pod jego nogami.

Nie wiadomo, kto przeraził się bardziej: śmiertelnie zaskoczony Adam czy też Michał, któremu zrobiło się upiornie gorąco na myśl, że omal nie przebił człowieka. W ostatniej chwili zdążył zmienić kierunek morderczego pchnięcia! Osłabł nagle z wrażenia i trwał w bezruchu wsparty na halabardzie, wspominając ze zgrozą, że właśnie ją świeżo naostrzył...

Skrzynia upadła na bok, wieko z rozmachem otwarło się już w locie, papiery wyleciały i halabarda trafiła dokładnie w środek wielkiej koperty, łamiąc trzy czerwone pieczęcie. Adam spojrzał na to i zdrętwiał do reszty. Obaj zamarli na długą chwilę, wpatrzeni w połamane pieczęcie, nie śmiąc spojrzeć na siebie nawzajem.

Adam oprzytomniał pierwszy, bo zamajaczyła mu myśl o Hani. Poczuł, że musi coś zrobić, i spróbował szerzej otworzyć drzwi.

— Można? — spytał bardzo ostrożnie.

Michał również ocknął się z drętwoty. Poderwał halabardę i czym prędzej odwiesił ją na ścianę.

— Proszę, proszę — rzekł zachęcająco. — Zaraz panu pomogę... Pan w jakiej sprawie?

Adam przelazł przez skrzynię, przykucnął i wepchnął z powrotem sponiewierane papiery. Wspólnym wysiłkiem postawili żelazne pudło na biurku. Michał mimo woli zainteresował się pięknym barokowym ornamentem na wieku. Zły trochę na siebie, a trochę na gościa, wszelkimi siłami starał się wyglądać godnie, poważnie i nobliwie, niedokładnie słuchając wyjaśnień. Treść opowieści Adama zaczęła do niego docierać dopiero w połowie, porzucił wieko, zajrzał do skrzynki, obejrzał papiery i całkowicie uronił dalszy ciąg.

Po krótkiej chwili Adam zorientował się, że młody człowiek w ogóle go nie słucha. Zamilkł ponuro i patrzył, jak ten pomyłony kustosz wyciąga dokumenty ze skrzynki, bez widocznego trudu czyta skomplikowane zawijasy, zachłannie sięga po następne, jak stopniowo półeczki zaczynają mu płonać, a uszy czerwienieć, oczy zaś iskrzą się podejrzanym blaskiem. Spłoszył się mocno i jał przemyśliwać, czy nie lepiej byłoby machnąć ręką na wszystko i czym prędzej stąd uciec.

Michał, nie wierząc własnym oczom, przeglądał dokumenty. Stopniowo ogarniała go fala wzruszenia tak potężna, że musiał jej dać ujście. Oderwał się od cudownej lektury, żeby coś zrobić, ryknąć gromko, fiknąć kozła, rzucić się w pry-siudy, nic jednakże nie zrobił, bo wzrok jego padł na spłoszonego Adama, i uprzytomnił sobie, że ma świadka. Adam wydał mu się postacią niebiańską, przebaczył mu natychmiast to złapanie go na wygłupach z halabardą i gotów był wywijać dla jego rozrywki nawet lufą armatnią.

— Panie, rany boskie, skąd pan to ma?! — wykrzyknął w radosnym oszołomieniu. — Przecież to skarb, istny skarb!

— Przecie mówię, skąd mam, ale pan nie słucha — odparł Adam z lekkim wyrzutem.

— Ależ skąd, słucham, oczywiście! Niech pan powtórzy jeszcze raz!

Adam cierpliwie powtórzył od początku całą opowieść o znalezieniu skrzynki pod posadzką piwnicy. Z szaleńcem wołał nie zadzierać. Michał słuchał tym razem z największą uwagą.

— Skąd to się tam znalazło? — spytał zdumiony. — I jakim cudem ocalało pomimo wojny?

— Tam mieszkał jeden notariusz — wyjaśnił Adam. Jeszcze przedwojenny. On sobie budował dom przed samą wojną i zanim co ojciec mu wynajął ten nasz. No i on tam mieszkał. Tyle że miał żonę Żydówkę, więc jak Niemcy przyszli, od razu ich wygarnęli do ostatniego człowieka. Znaczy nie całkiem, bo garkotłuk został i przez tego garkotłuka dom ocalał.

— Jak to? Przez jakiego garkotłuka?

— A przez ich kuchtę. Mieli taką kuchtę, co od samego początku kombinowała z Niemcami. Szkopy zostawiły jej ten dom, całą wojnę w nim mieszkała, ochłaje im urzędzała, z wizytami chodzili, jeszcze jej dopłacali. Dziewucha, nie powiem, była jak rzepa, z dzieciństwa ją pamiętam, tyle że wredna. To ona doniosła na notariuszową, że Żydówka. No, ale dzięki niej, jak notariusza wzięli, domu nie spalili, nie rozgrabili, został w porządku i wojnę przetrzymał. A kuchta gdzieś przepadła i nikt jej nie żałował.

— Wie pan może, jak się ten notariusz nazywał?

— Wiem. Przypomniałem sobie. Łagiewka Bolesław.

— I myśli pan, że to on to schował?

— A któż by inny? Nikt więcej tam wtenczas nie mieszkał, myśmy się przygarnęli kątem przy rodzinie, bo notariusz dobrze płacił. Ojciec dom postawił i pieniędzy już mu nic nie zostało. A notariusz widać przeczuł, co będzie, i papiery w piwnicy замуrował, żeby chociaż tyle ocalić.

— Kiedy pan to znalazł?

— Przedwczoraj. Znaczy, jedenastego.

— Łagiewka Bolesław... — powtórzył Michał i na nowo poczuł się wzruszony. Zajrzał do skrzynki. Łagiewka Bolesław, prawdopodobnie w prostej linii wnuk albo prawnuk tamtego Łagiewki, który sto lat temu sporządził te dokumenty i którego podpisy tu widnieją. Przedwczoraj, jedenastego... To znaczy, że dzisiaj trzynasty. Trzynaćście, cóż to za prześliczna liczba...

Adam Dudek pomyślał właśnie, że diabli nadali tego trzynastego, zawsze to pechowy dzień. Musiał trafić na obłąkańca, który znów nie słucha, co się do niego mówi, a Adam zaczął właśnie o zaświadczeniu. Zaplątał się trochę, bo właściwie

chodziło mu o coś mocniejszego niż zaświadczenie, jakieś podziękowanie albo co...

Do Michała dotarło nagle, że przybysz coś jąka. Czegoś chce. Gotów był dla niego na wszystko. Adam spocony ze zdenerwowania mamrotał coś o radzie narodowej, parceli i prawie pierwokupu. Michał nic z tego nie rozumiał, ale z całego serca chciał mu dogodzić. Zaświadczenie o przekazaniu podarunku, oczywiście, to się rozumie samo przez się, urzędowe podziękowanie...

Znów przestał zwracać uwagę na gościa, bo oko jego padło na kopertę z polamanymi pieczęciami. Widniało na niej kilka napisów, jakby spis zawartości, a pierwszy z nich brzmiał: „Testament Jaśnie Wielmożnej Pani Zofii z Chmielewskich Bolnickiej spisany przez notariusza Bartłomieja Łagiewkę w dniu 11 kwietnia roku pańskiego 1901, w dwudziestą piątą rocznicę ucieczki z domu Jaśnie Wielmożnej Panny Katarzyny Rolnickiej”.

Michał nie był specjalnie przesądny, ale osobliwa zbieżność dat przyprawiła go o bicie serca. Poczuł, że do reszty traci równowagę. Cudowny facet przyniósł te nadzwyczajne rzeczy, ale cudownego faceta trzeba się wreszcie pozbyć, żeby móc je spokojnie przeczytać. Dojrzał tam już coś zupełnie nieprawdopodobnego i chory będzie, jeśli się tym nie zajmie!

Adama zaczęła już ogarniać beznadziejna rozpacz, kiedy muzealny szalenciek eksplodował nagle dziką energią. Zerwał się z miejsca, wywłókł Adama z budynku, wrócił po jakieś pieczętki do gabinetu kustosza, drugi raz wrócił po papier, trzeci raz zawrócił, żeby zamknąć drzwi. Ciągnąc go za sobą wykrzykiwał coś o Urzędzie Stanu Cywilnego. Zdesperowany Adam opierał się z całej siły, aż dotarły do niego chaotyczne wyjaśnienia, że maszynistka w USC pisze najpiękniej w całym województwie. Wówczas zaniechał oporu i zaproponował, żeby może jednak nie lecieć czterech kilometrów piechotą, tylko pojechać do Węgrowa jego furgonetką. Zawrócili już od szosy i galopem popędzili do furgonetki.

W godzinę później sprawa była całkowicie załatwiona. Uszczęśliwiony Adam udał się do domu z pismami, których ton był tak entuzjastyczny, że mógł zastąpić bez mała Złoty Krzyż Zasługi, a Michał został wreszcie sam. Wrócił do muzeum, zamknął się na klucz i zasiadł do czytania.

Uroczyście, z uczuciem, że wstępuje do raju, wyciągnął przede wszystkim coś, co wstrząsnęło nim na pierwszy rzut oka. Dokument nosił tytuł: „Spis majątności zgromadzonych przez JWPanią Zofię Bolnicką, oddanych w depozyt Bartłomiejowi Łagiewce dla przyszłego przekazania jej spadkobiercom zgodnie z ostatnią jej wolą, wyrażoną w testamencie z dnia 11 kwietnia a.d. 1901”. Początek dokumentu był w doskonałym stanie, środek i koniec natomiast uległy pewnemu zniszczeniu na skutek gorszej jakości papieru i były prawie nieczytelne.

Poniżej tytułu widniała długa lista. Od pierwszej pozycji Michała zaczęło dłać w gardle, pierwsza pozycja wymieniała bowiem rubli w złocie 15 tysięcy i uświadomił sobie natychmiast, jakie okazy numizmatyczne stanowią owe ruble. Przy drugiej zaparło mu dech w piersiach. Wypisana tam była jak byk informacja, że chodzi o dwa tysiące sztuk różnych monet złotych i srebrnych, z dawna nie używanych w obiegu, w tym tak zwanych bizantynów, solidów, groszy polskich, dukatów, talarów i innych. Następnie czytał dalej opis klejnotów i ozdób, aż musiał wstać i napić się wody, dotarł bowiem do świecznika, przed trzystu laty zakupionego od potomka rodu, w którym stanowił łup z wypraw krzyżowych. Przy starodawnej ozdobie głowy z trzystu pereł wykonanej pociemniało mu w oczach, zaś po serwisie srebrnym roboty krakowskiego złotnika, wykonanym przed samą śmiercią królowej Jadwigi, przestał czytać. Przetarł oczy, potrząsnął głową, rozmasował sobie po twarzy resztkę nie wypitej wody i zaczął jeszcze raz od początku.

Dalszy ciąg tekstu, poniżej serwisu, był piegowaty i lektura jęła stwarzać pewne trudności. Michał z mozołem odcyfrowywał wybrakowane litery, ze wstętem myśląc o kupcu, który dostarczył notariuszowi zły papier. W całości udało mu się odczytać tylko informację o portrecie babci pani Zofii, namalowanym z czystej sympatii do niej przez mistrza Bacciarellego, reszty mógł się najwyżej domyślać. Gorąco mu było przeraźliwie, twarz go paliła, czuł niemal zawrót głowy, oczyma duszy z niesłychaną dokładnością widział każdy opisywany przedmiot. Wstał z krzesła, wykonał przy oknie kilka głębokich wdechów i wydechów, przyniósł sobie następną szklanekę wody i zaczął czytać po raz trzeci.

Doczytawszy w upojeniu do końca, uprzytomnił sobie wreszcie, co czyta. Spis przedmiotów oddanych w depozyt. . . Notariusz wziął to wszystko w kupie, tu jest spis, a gdzie przedmioty. . . ?

— Na litość boską, co się z tym wszystkim stało?! — wyjęczał rozdzierająco w kierunku okna i po chwili dodał półgłosem: — Spokojnie, Michałku, tylko spokojnie. . .

Odsunął wstrząsający spis i przystąpił do dalszego przeglądania zawartości skrzynki. Wśród licznych aktów kupna i sprzedaży najrozmaitszych obiektów znalazł notatki odmiennej treści. Jedna z nich głosiła:

„W pierwszą rocznicę śmierci mojego świętej pamięci nieboszczyka ojca, Bartłomieja Łagiewki, stwierdzam jako stan bieżący spadek po świętej pamięci Zofii Bolnickiej. Dobra w zarządzie moim z pomocą boską i Antoniego Włókniewskiego. Katarzyna z Bolnickich Wojtyczkova ciągle żyje.”

Dalej następowała data: 4 lutego 1905 roku.

Tej notatki Michał w pierwszej chwili w ogóle nie zrozumiał. Po długim namyśle wywnioskował z niej, że w dniu 4 lutego 1905 roku spadek po owej Bolnickiej nie został jeszcze przejęty przez spadkobierców. Całość przedmiotów wymienionych w spisie wciąż spoczywała w depozycie, teraz już u syna owego notariusza, który sporządzał testament. Co jednakże miała oznaczać wzmianka o życiu Katarzyny z Bolnickich Wojtyczkovej?

Niesprecyzowana, niejasna, dławiąca wzruszeniem nadzieja tknęła go w serce. Gorączkowo jął grzebać w pozostałych papierach i trafił na oddzielną kartkę,

z września 1939 roku. Podpisany był na niej Bolesław Łagiewka, który zanotował następujące słowa:

„Do wiadomości ewentualnych wykonawców: Katarzyna Wojtyczkova żyje nadal. Paulina de domo Wojtyczko, primo voto Włókniewska żywa i zdrowa. Reszta bez zmian zgodnie z wolą testatorki”.

Michałowi znów zrobiło się nieznośnie gorąco. Opadł na krzesło, przechylił się na oparcie i przycisnął dłońmi płonące uszy. Niesprecyzowana nadzieja nabrała wyraźniejszych kształtów. W 1939 roku spadek nadal pozostawał w depozycie, a tajemnicza Katarzyna z Bolnickich Wojtyczkova miała z tym coś wspólnego. Wywierała na to jakiś wpływ przez sam fakt, że żyła. Mignęło mu w głowie, że cholernie długo żyła... Niemniej, jeżeli w 1939 roku istniał pewien stan, to ten stan istnieje nadal, ponieważ testament przez ostatnie trzydzieści pięć lat spoczywał pod posadzką w piwnicy Adama Dudka. Przedmioty ze spisu, ów bajeczny skarb, leżą gdzieś w depozycie. Leżą... Zaraz, czy jeszcze leżą? Była wojna, a potem trzydzieści lat...

Michał oderwał plecy od oparcia, chwycił spis i zaczął go uważnie studiować pod innym niż poprzednio kątem widzenia. Każdy przedmiot wałkował w myślach, oglądał oczyma duszy, wyobrażał sobie, starał się porównać z innymi. Pamięć miał znakomitą, a przez ubiegłe dziesięć lat wiedziony swoim maniactwem nabywał wiedzę o zabytkowych dziełach sztuki. Badał je, czytał o nich, szperał, zbierał wszelkie informacje, plotki i anegdoty, oglądał, co tylko się dało obejrzyć, pętając się o głódzie i chłodzie po całej Europie, i śmiało mógł o sobie powiedzieć, że jak mało kto wie, co się gdzie znajduje. Pamiętał, co istniało w Polsce przed wojną, co zostało wywiezione i ukradzione, co odnaleziono, odzyskano i odkryto po wojnie. O zabytkowych dziełach sztuki wiedział właściwie wszystko i teraz oto stwierdzał coś wstrząsającego.

Z całą pewnością ani jedna z opisanych tu rzeczy nie ukazała się nigdzie. Kompletnie nigdzie, nie tylko w Polsce. O przedmiotach tej klasy, o takich okazach numizmatycznych, gdyby się gdzieś pojawiły, musiałyby się coś słyszeć.

Bodaj o jednym... Nie stanowią i nigdy nie stanowiły całości, są chaotycznym zbiorowiskiem absurdalnych bogactw, jedno od sasa, drugie od lasa, bez wątpienia zostałyby rozparcelowane między różnych zbieraczy. Nie istnieje taki człowiek, który by przez tyle lat nie puścił czegoś w świat albo dla pieniędzy, albo by wymienić na coś innego. A tu nic, o ani jednej sztuce nigdy nawet nie słyszał. A zatem...

Michał na moment znieruchomiał. Zamknął oczy, potem otworzył je i spojrzał wprost w ciemniejące niebo, po którym płynęły różowe obłoki, pędzone łagodnym zefirem. Ani nieba, ani obłoków w ogóle nie zauważył, dla odmiany zrobiło mu się zimno i musiał zebrać wszystkie siły, żeby wreszcie sprecyzować tę niesłychaną, niewiarygodną, olśniewającą myśl.

A zatem cały ten spadek, cały ten depozyt, cały ten oszałamiający, nieporównywalny z niczym skarb wciąż jeszcze leżał gdzieś w ukryciu, tam gdzie ulokował go stary notariusz, Bartłomiej Łagiewka, na zlecenie swojej klientki, Zofii z Chmielewskich Bolnickiej...

Mniej więcej po kwadransie Michał Olszewski stał się na nowo zdolny do myślenia. Potężna, ekstatyczna radość dodawała mu skrzydeł i wzmagала bystrość umysłu. Fakt istnienia jakichś tam spadkobierców na razie zlekceważył całkowicie, nie wątpił, że uda się ich namówić do sprzedaży, jeśli tylko muzeum zdoła kupić. A nawet jeśli nie, z pewnością zgodzą się to zabezpieczyć, sfotografować, opisać, pokazać ludziom... Grunt, że będzie istniało w kraju niejako na wierzchu, dostępne. Wywozu, na szczęście, zakazują przepisy...

Jedyna trudność to odnaleźć ów skarb. Niewątpliwie został dobrze ukryty, jeśli udało mu się przetrwać do tej pory. Gdzie też stary notariusz mógł znaleźć odpowiednią kryjówkę? Zapewne zakopał... Michał obliczył mniej więcej objętość depozytu i wyszła mu skrzynia o rozmiarach biurka konserwatora. Można zakopać taką skrzynię, można zakopać nawet większe przedmioty, tylko gdzie?!

Obejrawszy dokładnie wszystkie znajdujące się w skrzyni papiery, Michał niezbitnie stwierdził, że na ten temat nie ma tam żadnej informacji. Zostawał tylko testament. Gdyby pieczęcie wielkiej koperty pozostały nie naruszone, zapewne

zawahałby się przed jej otwarciem, na szczęście jednak pieczęcie połamaly się dobrowolnie. Testament stanowił ostatnią szansę.

Biorąc do ręki nadwerżoną kopertę Michał po pierwsze zauważył, że już zapadła głęboka noc i w pokoju świeci się lampa, którą zapewne sam zapalił, chociaż nic o tym nie wie, po drugie stwierdził, że jest nieprzytomnie głodny, a po trzecie pomyślał, że coś tu nie gra. Coś jest nie w porządku. Testament otwiera się po śmierci testatora i w obecności spadkobierców. Skąd wiadomo, co należało zrobić z tym spadkiem pozostawionym w depozycie? Oczywiście z testamentu. A zatem ten testament musiał już być otwierany i czytany, zaraz... Ale jeżeli wykonawcą został ten sam notariusz, który go pisał, siłą rzeczy musiał znać jego treść bez otwierania. Synowi wszelkie informacje mógł przekazać ustnie. No więc w końcu co...

Konieczność odnalezienia przecudownego skarbu pchała do działania. Michał zaniechał rozważań i otworzył kopertę.

Wewnątrz znajdowały się dwa testamenty i notatka notariusza.

Z rozpędu Michał rozłożył pierwszy z brzegu papier. Jakiś Kazimierz Chmielewski w dniu 7 sierpnia roku pańskiego 1874 zapisywał testamentem wszystko, co posiada, JW Pannie Katarzynie Bolnickiej, córce Włodzimierza i Zofii, lub też potomkom rzeczonyj Katarzyny. Nie czytając dalszego ciągu, gdzie była mowa o jakichś gruntach, młynach i złocie, Michał odłożył niecierpliwie ten dokument i sięgnął po następny. Tak, to było to. Znów pieczęć i suchy rozkaz: „Otworzyć po śmierci Katarzyny z Bolnickich Wojtyczkowej”.

Przelotnie pomyślawszy, że ta Katarzyna do tej pory już chyba wreszcie umarła, Michał z determinacją odciął pieczęć. Treść ogarnął niemal jednym rzutem oka, po czym zaczął czytać dokładniej. Niżej podpisana Zofia z Chmielewskich Bolnicka, zdrowa na umyśle, acz z racji wieku nieco poszkodowana na ciele, zapisywała Paulinie Wojtyczko, córce Katarzyny z Bolnickich Wojtyczkowej, zaślubionej wbrew woli rodziców Antoniemu Wojtyczko, potężny majątek, pochodzący z następujących źródeł: primo, posag zebrany dla Katarzyny, którego pozbawiona została uciekwszy z domu i zawarwszy niepożądany mariaż; secundo, spadek po Kazimierzu Chmielewskim przeznaczającym swoją fortunę Katarzynie

lub jej potomkom, w tym wypadku jej potomkom; tertio, majątek odziedziczony po świętej pamięci siostrze pani Zofii Bolnickiej, Marii hrabinie Lepieżyńskiej; quarto, drobną część dóbr pani Zofii w postaci klejnotów, sprzętów i jednego portretu. Całość powyższych majątności zawierała w sobie cztery folwarki w rozmaitych miejscach, dwa młyny, dużo lasu z dwoma tartakami, gorzelnię i browar, co do którego zawarta była umowa o dostawę chmielu z kupcem rosyjskim, niejakim Fiodorem Wasiliewiczem Kolczewem, ważna przez dwadzieścia lat. Michał przypomniał sobie, że widział tę umowę wśród dokumentów, i pomyślał, że już pierwszej wojny światowej chyba nie przetrzymała.

Czytał dalej. Podstawę majątku stanowiły pieniądze korzystnie ulokowane w rozmaitych przedsięwzięciach. Oprócz nich istniała gotówka w postaci piętnastu tysięcy rubli w złocie, jako też liczne przedmioty użytkowe i ozdobne, niezmiernie cenne, wyszczególnione w osobnym spisie, złożone w skrzyni drewnianej, okutej żelazem, którą na przechowanie oddaje się wykonawcy niniejszego testamentu, notariuszowi Bartłomiejowi Łagiewce, wraz z kluczami, obligując go w imię boże do starannej pieczy i uchronienia dóbr przed wszelkim niebezpieczeństwem. Tegoż Bartłomeja Łagiewkę pani Zofia Bolnicka zobowiązała także do pieczy nad pozostałym majątkiem, oddając mu w zarząd owe folwarki i młyny, aż do chwili przekazania legatu spadkobiercom. Warunkiem owego przekazania, warunkiem absolutnie bezwzględnym, miała być śmierć Katarzyny z Bolnickich Wojtyczkowej, której najstarsza córka nie miała prawa niczego odziedziczyć za jej życia. Skromną resztę swoich majątności pani Zofia przekazywała jednemu pozostałemu przy życiu synowi, Bogumiłowi Holnickiemu, bez żadnych warunków i zastrzeżeń.

W osłupieniu doczytawszy do końca ten oryginalny testament, Michał ujrzał pod spodem podpisy świadków. Było ich dwóch. Jakiś Damazy Mieniuszko i jakiś Franciszek Włókniewski. Tego Włókniewskiego już gdzieś widział, wpadł mu w oko...

Szybko odnalazł dwie wzmianki o Włókniewskim. Młodszy Łagiewka zarządził dobrami pani Zofii z pomocą boską i Antoniego Włókniewskiego, musiał to być zapewne syn Franciszka. I drugie: „Paulina de domo Wojtyczko, primo voto

Włókniewska...” To znaczy, że Paulina Wojtyczko, spadkobierczyni Zofii Bolnickiej, wyszła za mąż za któregoś Włókniewskiego, sądząc z dat, prawdopodobnie za syna Franciszka, tego Antoniego lub innego... Franciszek był jednym ze świadków, znał treść testamentu, nic dziwnego, że ożenił syna z córką Katarzyny! Dziwne raczej, że nie przyśpieszył opuszczenia przez nią tego padółu...

W serce tknął go nagły niepokój. Zaraz, jeżeli Włókniewski ożenił się z córką Katarzyny, jeżeli wiedział od ojca o treści testamentu, czy nie zrobili tam jakiegoś kantu ze spadkiem? Nie czekali na śmierć Katarzyny... Nie, wykluczone, ostatni potomek rodu notariuszy, Bolesław Łagiewka, w 1939 roku napisał jak byk: „Reszta bez zmian, zgodnie z wolą testatorki”. Skoro zgodnie z wolą, to znaczy, że za życia Katarzyny nic nie dostali.

Michał przestał odczuwać głód. Już zagłębił ręce w stosie papierów z zamiarem szukania wieści o Włókniewskich, kiedy przypomniał sobie o notatce notariusza. Chwycił ją czym prędzej.

Stary Bartłomiej Łagiewka, czując zbliżającą się śmierć, na piśmie pozostawił zalecenia synowi, wyjaśniając przy okazji niektóre wydarzenia, związane z testamentem pani Zofii. Po pierwsze, treść testamentu miała pozostać absolutną tajemnicą aż do chwili jego realizacji. Obaj świadkowie przysięgli na krzyż bezwzględne milczenie. Po drugie, tak Franciszkowi Włókniewskiemu, jak i jego starszemu synowi, Antoniemu, można zaufać, przyjmując ich pomoc w zarządzaniu majątkiem, są to bowiem ludzie nieposzlakowanej uczciwości. Po trzecie, pani Zofia Bolnicka zmarła nagle, rażona apopleksją na wieść, że jej najstarsza wnuczka, Paulina, uciekła z domu, aczkolwiek Paulina uciekając nie miała na oku żadnego mariażu i udała się do Warszawy w celu podjęcia uczciwej pracy. Po czwarte, rażona apopleksją pani Zofia w ostatnich godzinach życia usiłowała jeszcze coś powiedzieć, co jej się na szczęście nie udało. Bartłomiej Łagiewka nie wątpi, że zamierzała wydziedziczyć swoją wnuczkę, do czego za żadną cenę był zdecydowany nie dopuścić, uważa bowiem, że Katarzyna de domo Bolnicka została ciężko skrzywdzona, i to przy jego udziale. Uchybił swoim obowiązkom, godząc się na pozostawienie w zawieszeniu testamentu Kazimierza Chmielewskiego, a uczynił to pod naciskiem pani Zofii, której niesłusznie ulegał, co niech mu Pan Bóg prze-

baczy. Niechże przynajmniej córka Katarzyny odziedziczy, co do niej należy. Po piąte, zobowiązuje syna do przekazywania wieści o miejscu ukrycia powierzonej skrzyni, o której mowa w testamencie, wyłącznie ustnie i tylko jednej osobie. Po szóste, nakazuje mieć oko na Paulinę i jej ewentualnych potomków, żeby w chwili śmierci Katarzyny nie było kłopotu z odnajdywaniem spadkobierców. Po siódme, poleca syna opiece boskiej.

Poniżej podpisu Bartłomieja Łagiewki widniała notatka wykonana ręką jego syna:

„W dniu 5 września a.d. 1903 Paulina Wojtyczko poślubiła Franciszka Włókniewskiego i zamieszkała z nim w Warszawie, przy ulicy Zgoda 9, w oficynie na trzecim piętrze”.

W kompletnym osłupieniu Michał wpatrywał się w tę notatkę. Na litość boską, Paulina poślubiła Franciszka, faceta, który był prawie rówieśnikiem jej babki?! I ten Franciszek zamieszkał w Warszawie?! Niemożliwe!

Gorączkowo rzucił się do skrzyni. Było tam coś, z całą pewnością widział tam coś więcej o tych cholernych Włókniewskich! Jakieś zwyczajne, mało ważne rzeczy...

Wiosenny świt wstawał za oknem, kiedy Michał, uspokojony w kwestii mariażu Pauliny Wojtyczko, odczytywał umowę dzierżawną, w której Franciszek Włókniewski oddawał w dzierżawę starszemu bratu, Antoniemu, swoje grunta, odziedziczone po ojcu. Dalej był dokument, z którego wynikało, że Antoni spłacił Franciszka i objął całość majątku. Na myśl, że Paulina poślubiła jednak osobnika odpowiedniego wiekiem, Michał doznał ukojenia. Wciągnął się już bez reszty w dzieje tej dziwacznej rodziny, w której córki nagminnie uciekały z domu, a matki okazywały bezlitosną nieugiętość. Przy okazji dostrzegł kontrast między owym ukrytym majątkiem, a trzecim piętrem w oficynie i wreszcie uwierzył ostatecznie, że starszy Franciszek Włókniewski do końca dochował tajemnicy.

Na kilka skromnych dokumentów, dotyczących Józefa Mieniuszki, syna Damazego, wedle których rzeczony Józef zaciągał długi i wyzbywał się gruntów,

Michał nie zwrócił już uwagi. Z roztargnieniem obserwując zamglony wschód słońca pomyślał, że jakoś chyba do tych spadkobierców dotrze. Będzie musiał zacząć od Włókniewskich ze wsi, bo na wsi jednak mniej się zmieniło niż w mieście, szczególnie w Warszawie. Oficyny z trzecim piętrem nie ma już od trzydziestu pięciu lat, Bóg raczy wiedzieć, co się mogło stać z Pauliną i Franciszkiem, możliwe jednak, że wiedzą coś o nich potomkowie Antoniego. Wiadomość o skrzyni notariusz miał przekazywać ustnie i wyłącznie jednej osobie. Któż mógł być tą osobą, którą wybrał sobie w obliczu wojny? Chyba tylko ktoś ze spadkobierców, nikt obcy. Trzeba ich znaleźć, tych potomków Katarzyny, i razem z nimi spróbować odgadnąć, co też mogła wykombinować Zofia Bolnicka do spółki ze starym notariuszem...

Z powiadomieniem władz muzealnych i milicji postanowił na razie jeszcze poczekać. Mimo wszystko rzecz była niepewna, a przedwczesne rozgłoszenie sprawy mogło jej tylko zaszkodzić. Zdecydował się szukać na własną rękę, co nie powinno spowodować żadnych strat, bo skoro skarb wytrzymał do tej pory, wytrzyma i dalej. A myśl, że on sam, osobiście i własnoręcznie miałby odnaleźć i ocalić to wszystko...

Przecudowna, zuchwała, niebiańska myśl płonęła mu w duszy i zatykała dech w piersiach...

* * *

Indyki lały drogą powoli i majestatycznie, co chwila wybuchając pełnym oburzenia gulgotem i nie zwracając najmniejszej uwagi na klakson i warkot samochodu. Przejechanie ich wydawało mi się niewskazane. Wlokłam się za stadem na jedyńce, trąbiąc, porykując silnikiem i popychając zderzakiem pierzaste kupry bez żadnego skutku. Indyki zaparły się w sobie i nie zmieniały tempa.

Gruntowa droga była wysadzana drzewami, po jednej jej stronie ciągnęła się wieś, po drugiej łąka i pola, za nimi na horyzoncie czerniał las, bliżej trzciny na

łące wskazywały miejsce usytuowania małego jeziora, stawu czy też bagienka. Mogłam swobodnie kontemlować krajobraz, bo do indyków dołączyło wielkie stado gęsi, które do reszty zagroziły drogę i wykluczyły dalszą jazdę. Wylazły z jakiegoś podwórka przede mną i przełaziły w poprzek, zmierzając ku łące.

Gdzieś tutaj, w tej okolicy, prawdopodobnie przy bagienku, znaleziono zwłoki nie zidentyfikowanego faceta, który miał przy sobie mój adres. Nie tylko mój zresztą. Tajemnicze zwłoki zaopatrzone były w adresy bez mała całej mojej rodziny; adres moich rodziców i mojej ciotki Lucyny w Warszawie, mojej kuzynki Lilki w Cieszynie, jej brata Henryka we Wrocławiu, nawet adres mojej drugiej ciotki, Teresy, w Kanadzie. Poza owymi adresami, starannie spisany na obszarpanym kawałku papieru, zwłoki nie posiadały nic i nie zdołano stwierdzić, kim były za życia.

Przesłuchani zostaliśmy oczywiście wszyscy solidnie i rzetelnie. Milicja okazała nam dużą uprzejmość, prezentując podobiznę nieboszczyka odpowiednio upiękzoną, tak że wyglądał na niej prawie jak żywy i nie budził zgrozy, jak również nie domagając się oglądania go w naturze. Nikt z rodziny go nie znał. Nikt nigdy nawet nie widział go na oczy i było to pewne do tego stopnia, że nawet organa MO przestały żywić jakiegokolwiek wątpliwości. Znaleziono owe zwłoki jesienią zeszłego roku, zadano nam parę tysięcy pytań i niczego nie wyjaśniono.

Już pod koniec wnikliwych dociekań padło między innymi pytanie, czy coś nam mówi nazwisko Mieniuszko. Mój ojciec, moja matka i ja od razu zgodnie stwierdziliśmy, że pierwsze słyszemy, moja ciotka natomiast, Lucyna, zamyśliła się.

— Chyba je kiedyś słyszałam — rzekła w zadumie, budząc błysk nadziei na twarzy pytającego kapitana MO. — Tak mi chodzi po głowie... Ale dotyczy to czasów, kiedy miałam szesnaście lat, więc wątpię, czy pana teraz zainteresuje. Poza tym i tak nie pamiętam, skąd mi się bierze.

Kapitan MO spojrział na nią z nie skrywanym obrzydzeniem i zaniechał dalszych pytań.

Podobiznę denata zaprezentowano także Teresie w Kanadzie, o czym powiadomiła nas listownie, komunikując, iż ostatnio dostrzega niezwykle urodzaj na

podejrzanych półgłówków. Jeden podejrzany półgłówek usiłował wypytywać ją o rozmaitych przodków, przychodził dwa razy, obcy człowiek, w ogóle go nie zna, drugi zaś, niezależnie od pierwszego i w jakiś czas później, podtykał jej fotografię jakiegoś faceta, który wyglądał na nieboszczyka, upierając się, że ona o nim coś wie. Nie wie i nie chce wiedzieć. Z osobami, które tak wyglądają, nie życzy sobie mieć do czynienia.

Wyjaśniliśmy jej, również listownie, że osobnik na zdjęciu słusznie wyglądał na nieboszczyka. Zaintrygował nas niezmiernie pierwszy półgłówek, który składał wizyty miesiąc przed znalezieniem zwłok i mógł mieć jakieś znaczenie, ale o nim również Teresa nic nie wiedziała. Po paru miesiącach przyjechała na wypoczynek do Polski i zagadkowość imprezy poruszyła wszystkich na nowo. Postanowiliśmy odbyć wycieczkę do Woli, aby obejrzeć okolicę, która stanowiła ostatnie miejsce pobytu na tym padole dziwnego nieboszczyka, szczególnie że okolica też była niejako rodzinna.

Moja mamusia i Lucyna bardzo na tę wycieczkę nalegały, Teresa, na zmianę, to protestowała w popłochu, to wpadała w bojowy nastrój, raz odżegnując się od tajemniczej zbrodni, a raz upierając się ją wyjaśnić, niepewna przy tym, czy posłużyć milicji informacjami o nawiedzających ją w Kanadzie podejrzanych półgłówkach, czy też przeciwnie, zataić ich wizyty starannie. Lucyna złośliwie wpierała w nią Mieniuszkę.

— Mieniuszkę znasz? — spytała życzliwie od razu w chwili powitania. — Lepiej przypomnij sobie wszystkich dawnych gachów, dużo ich było, na pewno znajdzie się między nimi i jakiś Mieniuszko...

Teresę rozwścieczyło to niewymownie, omal się nie pobiły w drodze z lotniska do domu. Przeszkodziła im ciasnota samochodu. Sponiewierawszy Lucynę, Teresa odżegnała się także i od Mieniuszki.

— Odczep się! — rzekła z furią. — Ta wasza milicja jest do niczego! Wypraszam sobie, żeby jakieś trupy nosiły przy sobie mój adres!

— Nasze adresy też noszą — zauważyła ugodowo moja mamusia.

— Wasze mogą sobie nosić, a mojego nie! O żadnych Mieniuszkach w życiu nie słyszałam! I w ogóle nie będę słuchać, zatkam sobie uszy! To trzeba wreszcie wyjaśnić, nie życzę sobie, żeby się za mną wlokły jakieś głupie zbrodnie!

— Toteż właśnie — powiedziała żywo moja mamusia. — Jedźmy tam!

— Gdzie?! Na miejsce zbrodni? Żeby i nas tam kto utłukł? Jeszcze czego...!

W tydzień później, wykorzystując ową zmienność nastrojów Teresy, pojechałyśmy obejrzeć okolicę, gdzie popełniono morderstwo powiązane z rodziną przez adresy z niepojętych przyczyn. Zabrałyśmy ze sobą siostrę ojca, ciocię Jadzię, która w cichości ducha czuła się głęboko skrzywdzona faktem, że jej adresu nieboszczyk nie posiadał, i żywo interesowała się familijną sensacją. Na drodze zatrzymał mnie drób, siedziałam zatem beczynnie przy kierownicy, melancholijnie kontemplując sielski pejzaż i nie mając najmniejszego pojęcia o wydarzeniach, które sprowadziły mnie do tych gęsi, indyków i bagienka na łące...

* * *

Gęsi przelazły wreszcie przez drogę. Ruszyłam z wolna, od razu doganiając stado indyków. Udało mi się spędzić na bok jednego.

— O mój Boże! — powiedziała nagle z ożywieniem moja mamusia. — Popatrzcie, to przecież tutaj! Nie poznajecie? Zamiast chałupy stoi obora, ciekawe, co tu się stało...

Zatrzymałam się na środku drogi.

— Ostatnio znaleziono zwłoki, a przez czterdzieści pięć lat mogło się zdarzyć jeszcze więcej — zauważyłam zgryźliwie. — Skąd wiesz, że to tutaj, skoro zamiast chałupy stoi obora?

— No jak to skąd, całą resztę poznaję! Stodoła jest ta sama i podwórze, i nawet pień stoi w tym samym miejscu. O, ruinę też widać! Oczywiście, że to tu!

— Tu — przyświadczyła Lucyna za moimi plecami. — Stąd wylazły te gęsi, to nasze, familijne. Dobrze, że żadnej nie przejechałaś. Wypuść mnie.

Otworzyłam drzwiczki, przechyliłam oparcie fotela i wypuściłam Lucynę, po czym przyjrzałam się obejściu. Brama była otwarta, obszerne podwórze ograniczały ze wszystkich stron budynki. W głębi, obok stodoły, stały jakieś stajnie czy coś w tym rodzaju, z jednej zamiast konia wystawał traktor. Z prawej strony wznosiła się duża murowana budowla o oknach dość dziwnych, za dużych jak na oborę i za małych jak na budynek mieszkalny. Na lewo od bramy, przy drodze, odgradzony ogródkiem, stał piękny, nowy dom, też murowany, z pięterkiem i balkonikiem na tym pięterku. Z pewnością nie mógł istnieć w czasach, które pamiętała moja mamusia. Nieco dalej, za ową hipotetyczną oborą, widać było pagórek wyglądający jak ruinka przysypana ziemią i porośnięta krzakami.

Lucyna weszła w bramę, zgasiłam silnik i zapanowała błoga cisza.

— Wsiadamy, co? — powiedziała Teresa i zaczęła wypychać ciocię Jadzię.

Z obory wyszedł facet w średnim wieku, wysoki i szczupły, o łagodnej, spokojnej twarzy. Nie zwracał na nas uwagi, ustawił pod ścianą widły i bez pośpiechu ruszył w kierunku domu. Lucyna wkroczyła na podwórze, facet spojrzał na nią, zatrzymał się, Lucyna podeszła do niego bez chwili wahania.

— Ty jesteś Franek — oznajmiła spokojnie. — Franek Włókniewski, prawda? Facet patrzył na nią z namysłem, nie okazując najmniejszego zdziwienia.

— Tak — odparł. — To ja. A o co...

Urwał nagle, jakby dopiero teraz zauważył, że ta kompletnie obca baba zwraca się do niego per „ty”. Patrzył na Lucynę cokolwiek stropiony i nie odzywał się więcej. Lucyna zachichotała radośnie.

— Ależ jesteś podobny do swego ojca! A do stryja chyba jeszcze bardziej. Dziwisz się pewnie, co?

— Nie — odparł melancholijnie napastowany osobnik. — Ja się już niczemu nie dziwię. A o co chodzi?

Lucyna zdecydowała się złagodzić nieco swój frywolny nastrój.

— My wszystkie jesteśmy Włókniewskie z domu — wyjaśniła miłosiernie. — A ty jesteś naszym stryjecznym bratem...

Uczyliła gest w kierunku samochodu i zorientowała się, że właśnie wysiada z niego ciocia Jadzia pochodząca z całkiem innej rodziny, przy kierownicy zaś, niejako na pierwszym planie, tkwią ja, też co innego z domu.

— Nie, nie wszystkie — poprawiła się pośpiesznie. — Tylko trzy sztuki, te dwie akurat nie. Jesteśmy twoimi stryjeczными siostrami i możliwe, że nigdy w życiu o nas nie słyszałeś. . .

Przyglądający się jej sceptycznie facet nagle się rozpromienił.

— A wiem! — powiedział z ożywieniem. — Wy jesteście córki stryja Franka. Tak sobie właśnie myślałem, że chyba w końcu przyjedziecie. . .

Jeżeli chciał odwzajemnić się Lucynie i zaskoczyć całą rodzinę, trzeba przyznać, że powiodło mu się nadzwyczajnie. Pytanie, dlaczego spodziewał się przyjazdu osób nie widzianych nigdy w życiu, oczywiście runęło nam na usta od razu. Odpowiedź nie padła zbyt szybko, bo najpierw wmieszał się w sprawę pies imieniem Pistolet, któremu należało przetłumaczyć, że jesteśmy swoi, potem zaś moja mamusia ruszyła pokłady wspomnień, rozpatrując zmiany, jakie zaszły w gospodarstwie przez blisko pół wieku. W końcu jednak udało nam się wrócić do tematu i odpowiedź na owo podstawowe pytanie zagmatwała do reszty i tak już niejasną sytuację. Okazało się, że w coś jesteśmy wmieszane.

— Byli tu jacyś — rzekł w zadumie ów Franek, osobnik o twarzy mojego dziadka zapamiętanej z dzieciństwa i dobrze mi znanej z fotografii. — Jeden taki był tu już prawie rok temu. . .

— I co? — spytała zachłannie Lucyna.

— I pytał o was.

— O nas? — zdziwiła się moja mamusia. — A czegoż on od nas chciał?

— A kto to był? — spytała równocześnie Lucyna. — Ktoś znajomy?

— Pewnie znów jakiś podejrzany półgłówek — mruknęła z niesmakiem Teresa.

Ciocia Jadzia nie wtrącała się do rozmowy. Przybierała rozmaite pozycje pod ścianami pomieszczenia, z natchnionym zapałem fotografując grupę pośrodku. Siedzieliśmy wszyscy razem przy dużym kuchennym stole, oczywiście pijąc mleko, bo być w miejscu, gdzie znajdują się prawdziwe, żywe krowy i nie pić mleka,

byłoby dla mojej rodziny nie do pomyślenia. Franek uległ presji pięciu rozżartych harpii, oddał nam całe posiadane mleko i zrezygnował z rozszerzenia poczęstunku na inne produkty spożywcze. W tej rodzinie mężczyźni zawsze ulegali fanaberiom kobiet.

— Może ja wam to opowiem po kolei — zaproponował. — Jakaś głupia historia. . .

— Mów po kolei — zgodziła się Lucyna.

— Czego on mógł od nas chcieć? — dziwiła się ciągle moja mamusia. — Pytał o nas tutaj, gdzie nas nie było czterdzieści pięć lat?

— Zamknijcie się wreszcie i przestańcie mu przerywać — zażądała Teresa.

— Toteż nic mu nie mogłam powiedzieć — rzekł Franek. — A o co mu chodziło, pojęcia nie mam. Obcy człowiek, nie wiem, jak się nazywał, był tu latem zeszłego roku i pytał o rodzinę mojego stryja, Franciszka Włókniewskiego. Zna czy, o was. Wiedziałem, że stryj nie żyje, bo w czterdziestym siódmym ojciec dostał zawiadomienie o śmierci, ktoś z was wysłał. . .

— Mamusia wysłała — wtrąciła moja mamusia.

— Nawet nie wiem skąd, ale chyba nie z Warszawy. . .

— Z Tarczyna — wtrąciła znów moja mamusia. — Myśmy wtedy byli w Bytomiu, a mamusia, tatuś i Teresa mieszkali w Tarczynie. . .

— Zamkniesz się wreszcie czy nie? — warknęła Teresa.

— No, co ty chcesz, ja mu od razu mówię to, czego on nie wie. . .

— Możesz mu potem powiedzieć. On tego wcale nie chce wiedzieć teraz!

— A skąd ty wiesz, czy on nie chce?

— Zamknij się, o rany!!!

— Mów dalej, nie zwracaj na nie uwagi — powiedziała Lucyna do Franka. — One są po prostu nienormalne. I co? Czego się chciał dowiedzieć?

— Wszystkiego. Pytał, co robicie, jak wam się powodzi, a głównie chciał dostać adresy. Ukradł mi chyba to zawiadomienie o śmierci stryja, bo już go potem nigdzie nie mogłem znaleźć. Mówił, że znał was przed wojną, ale widzi mi się, że żelgał, bo nawet nie wiedział, ile was jest. Pytał, ile stryj miał dzieci. Kręcił,

że znał przed wojną stryja i stryjenkę, jak mieszkali w Warszawie przy ulicy...
Zaraz... Przy Zgoda chyba...

— Ile miał lat? — przerwała tym razem Lucyna.

— A bo ja wiem? Tak między czterdzieści, a czterdzieści pięć.

— To oszust — zawyrokowała moja mamusia. — Na Zgoda mieszkaliśmy pięćdziesiąt lat temu. Nie wierzę, że znał nas przed swoim urodzeniem.

— Właśnie tak mi się wydawało, że przed wojną był trochę za młody, żeby kogoś znać i pamiętać. Kręcił i tyle. Nic mu więcej nie powiedziałem. To znaczy, owszem, na początku pytał, skąd pochodziła rodzina stryjenki, to mu powiedziałem, że z Tończy, ale nic więcej, bo mi się przestał podobać.

— I nie powiedział, jak się nazywa? Nie przedstawił się?

— Coś tam wymamrotał pod nosem, ale nie dosłyszałem. Prawdę mówiąc, nie zwróciłem na niego uwagi, bo mi się krowa akurat cieliliła i sianokosy się zaczynały, zapomniałem o nim od razu i przypomniałem sobie dopiero, jak znaleźli tego trupa. Wiecie chyba, że miał wasze adresy?

Spróbowałyśmy odpowiedzieć wszystkie równocześnie, z tym że każda co innego. Moja mamusia wyrażała ogólne oburzenie, Lucyna usiłowała ustalić upływ czasu pomiędzy wizytą owego oszusta a znalezieniem zwłok, Teresa natrętnie domagała się jego rysopisu, ja ze swej strony dopytywałam się, czy Franek powiedział o nim milicji i co milicja na to. Ciocia Jadzia zaniechała pokazów gimnastycznych pod ścianami i usiadła przy stole.

— Skończył mi się film — oznajmiła. — Ale mam drugi. Czy pan rozumie, jak one mówią wszystkie razem?

Franek prezentował anielską cierpliwość.

— Rozumieć rozumiem, ale nie nadażam odpowiadać...

— Słuchajcie, pytajcie go jakoś po kolei, bo ja też jestem ciekawa, co to wszystko znaczy. Ale to nie był ten sam? To znaczy, te zwłoki i ten facet, co tu był, to nie była jedna i ta sama osoba?

Szczęśliwie się złożyło, że wszystkie miałyśmy ochotę upewnić się co do tej kwestii i Franek mógł wreszcie dojść do głosu. Energicznie pokręcił głową.

— Skąd, całkiem ktoś inny. Nieboszczyk był o wiele młodszy i w ogóle niepodobny. Nie mówiłem milicji — o tamtym, bo najpierw nie pamiętałem, a potem zaczęły się wykopki, nie miałem czasu, a jeszcze później to mi było głupio. To jest podejrzana historia. . .

— Czy ja się wreszcie dowiem, jak on wyglądał? — zdenerwowała się Teresa.

— Który jak wyglądał? Nieboszczyk czy ten, co tu był?

— Ten, co tu był, od godziny pytam!

Franek zamyślił się.

— Jak wyglądał? Wiecie, to trudno opisać. Zwyczajnie wyglądał, nic szczególnego. Z miasta był, elegancko ubrany, żadne tam dżinsy ani wiatrówki, koszula, krawat. . . Łysy nie był, kudłaty też nie, chyba jakoś gładko uczesany. Niższy ode mnie, ale za to grubszy, taki trochę nabity w sobie, gębę miał dosyć szeroką i nos też. Trochę mi się wydawał taki, jakby go krowa porządnie jęzorem wylizowała. . .

Teresa gwałtownie kiwała głową.

— Nos trochę przyklapnięty? Duży, ale nie wystający, tylko taki rozlazły po gębie? Brwi gładkie, szerokie i czerwony na pysku?

— Wypisz, wymaluj. A co? Widziałyście go?

Teresa popatrzyła na nas z wyrazem zgrozy pomieszanej z satysfakcją.

— To on — orzekła uroczyście. — Ten sam był u mnie w Hamiltonie! Później był, prawie na jesieni, jak już wróciłam znad jeziora. I co wy na to?

Gapiliśmy się na nią dosyć tępo, najwidoczniej wyprani z twórczych myśli. Trudno było tak od razu ocenić, co my właściwie na to.

— To dlatego tej milicji jest tak trudno wyłapywać złoczyńców — zauważyłam z naganą i wyrzutem. — Nikt im nie chce mówić prawdy. Ani Teresa, ani Franek nie powiedzieli o tym facecie jednego słowa. Gdyby powiedzieli, prawdopodobnie morderca już dawno by siedział i cała sprawa byłaby wyjaśniona. A tak co? Chała. Krzywa im spadła.

— E tam! — prychnęła Lucyna. — Gównno by się działo. . . Tego, przepraszam, chciałam powiedzieć, że dużo by im z tego przyszło. Facet nawiał do Kana-

dy, bo jak widać, podróżuje sobie łatwo. Mówcie dokładnie, co się kiedy zdarzyło. Kiedy był tu, kiedy w Kanadzie i kiedy znaleźli zwłoki.

Teresa i Franek posłusznie zaczęli obliczać i wyszło im, że w Woli ów opryszek pojawił się dwunastego lipca, Teresie złożył pierwszą wizytę dziesiątego września, zwłoki zaś znaleziono siedemnastego października. Nawiasem mówiąc, potraktowano by te zwłoki jako efekt hucznych imienin obficie występujących w kraju Teres i Jadwig, gdyby nie ów osobliwy stan posiadania nieboszczyka. W każdym razie wylizany krowim jęzorem oszust mógł być mordercą; między dziesiątym września a siedemnastym października zdążyłby odbyć podróż dookoła świata, a nie tylko z Kanady do Polski. Równie dobrze mógł się wówczas znajdować zupełnie gdzie indziej.

— Jednakże należało o nim powiedzieć — powtórzyłam z uporem.

— Odczep się — odparła stanowczo Teresa. — I co dalej?

— Mówiłeś, że było ich więcej — przypomniała Lucyna. — Jeszcze ktoś o nas pytał?

— A owszem. W tym roku na wiosnę. Kartofle sadziłem i świnie mi się prosiły, więc znów nie bardzo miałem czas, ale tego już lepiej zapamiętałem. Sympatyczniejszy był. Młody, ze dwadzieścia pięć lat, nie więcej, chudy taki chłopak, wysoki, wyższy ode mnie, ale oni teraz wszyscy tak rosną. . .

— Chorobliwie chudy? — zacięła się nie wiadomo dlaczego Lucyna.

— Co cię obchodzi zdrowie jakiegoś bandziora? — zgorszyła się moja mamusia.

— To nie był bandzior — zaprotestował Franek. — Przedstawił się, nazwisko wyraźnie powiedział, coś od olszyny. Olszyński czy Olszewski, czy coś takiego. Nie, nie chorobliwie, zwyczajnie chudy, wyglądał zdrowo. Sympatyczny był, ale też taki dosyć tajemniczy. Pytał o to samo, to znaczy o stryja Franka i jego potomków. Powiedział, że jest jedna sprawa, która ciągnie się już Bóg wie ile lat i koniecznie trzeba ją załatwić, a bez was nie da rady. . .

— Co za sprawa? — przerwała podejrzliwie moja mamusia.

— Pojęcia nie mam. Jakaś bardzo stara. . .

— Pradziadek w carskim wojsku wyfasował pepeszę, przepił ją i teraz nam każą za nią zapłacić — podsunęłam.

— Ja nie płacę — zastrzegła się natychmiast moja mamusia z wielką stanowczością.

— Coś ty, o pepeszę to by się raczej czepiał Franka — zaprotestowała Lucyna. — Pewnie jakieś komplikacje ze spadkiem po wujku Witoldzie. My z tym nie mamy nic wspólnego.

— On się właściwie dopytywał bardziej o stryjenkę Paulinę niż o stryja Franka — rzekł Franek. — Też mu niewiele mogłem powiedzieć, szczególnie że to za wiadomienie o śmierci stryja już wtedy przepadło. Poszukałem w papierach i znalazłem jakiś list sprzed wojny czy może z wojny, gdzie był adres w Warszawie na Chmielnej. Wziął sobie ten adres. Jeszcze pytał o różne rzeczy, właściwie o całą rodzinę, aż się zdziwiłem, skąd tyle wie. No i tak sobie myślałem, że w końcu i wy się pokażecie. . .

— Zaraz, czekajcie — wtrąciła się ciocia Jadzia. — Ale przecież jeżeli nieboszczyk miał te adresy, to pan mógł je od niego dostać! To znaczy, mam na myśli, już pan je znał. . . To znaczy milicja znała i mogła panu powiedzieć. . .

— No właśnie — poparłam ją. — I już byś wiedział, gdzie nas szukać.

Franek zakłopotał się nieco.

— Ja ich, tak prawdę mówiąc, nie widziałem. Na kartce miał podobno spisane, kartki nikomu nie pokazywali. Mogłem niby spytać, ale nijako mi było trochę, bo zapomniałem przedtem o tym facecie. . . I w ogóle wolałem z milicją ostrożnie. Mnie się wydaje, że to jakaś rodzinna sprawa, chyba trochę podejrzana. . .

— Ki diabeł? — powiedziała zaintrygowana Lucyna. Zna któraś z was Ol-szyńskiego?

— Nie — odparłam za wszystkie. — Za to ty znasz Mieniuszkę.

Lucyna się ożywiła.

— A żebyś wiedziała, że znam! Mur beton słyszałam to nazwisko, i to tutaj, w tych okolicach. Miałam wtedy szesnaście lat..

— Żadnego Mieniuszki nigdy tu nie było — przerwał stanowczo Franek.

— No to co? Ale ja słyszałam. . .

— A chórów anielskich nie słyszałaś? — spytała zgryźliwie Teresa. — Stolik ci w podłogę nie pukał? Plazma ci się nie pokazała?

— Plazma nie, tylko zmora. Cały czas ją widzę, siedzi tu, o, przy stole. . .

— Słuchajcie, one się znów pokłóca — powiedziała niespokojnie ciocia Jadzia. — Ja bym w ogóle uważała, że to nic takiego, gdyby nie to, że na wasze konto mordują obcych ludzi. . .

Wszystkie znów zaczęłyśmy mówić równocześnie, związek rodziny ze zbrodnią wydawał się niejasny, niemniej coś w tym musiało być. Jakaś ponura zagadka pojawiła się na rodzinnym tle. Teresa zdenerwowała się okropnie, moja mamusia zaczęła wysuwać przypuszczenia w pełni godne pepeszy pradziadka. Lucyna podeszła do sprawy rzeczowo.

— Całe szczęście, że mamy alibi — stwierdziła z satysfakcją. — Piętnastego byliśmy wszyscy u Jadzi na imieninach, a tę ofiarę zabito właśnie piętnastego wieczorem. Nie zdążylibyśmy w żaden sposób.

— Mogłaś wynająć mordercę — podsunęłam.

— Dlaczego ja? Mnie nie przeszkadza, że trup nosi mój adres!

— A co, może ja? — oburzyła się Teresa.

— Czy wy naprawdę nie możecie zastanowić się nad tym jakoś poważnie? — spytała z wyrzutem ciocia Jadzia.

— Jak to? — zdziwiła się moja mamusia. — Przecież cały czas się zastanawiamy. . .

Franek przeczekiwał to wszystko cierpliwie i w milczeniu. Zajrzał do dzbanka, przelał doń resztę mleka z wiadra i oparł się o framugę drzwi.

— W ogóle to ja coś wiem — oznajmił znienacka.

Spojrzałyśmy na niego wszystkie w nagle zapadłej ciszy. Ciocia Jadzia odruchowo podniosła aparat fotograficzny, tak jakby to coś, co Franek wie, miało się gdzieś ukazać.

— Co wiesz? — spytała z zainteresowaniem Lucyna.

Na twarzy Franka malowały się niepokój i zakłopotanie.

— Właściwie to ja sam nie wiem, co wiem — wyznał niepewnie. — Chyba jest jakaś tajemnica rodzinna. Bo widzicie, to było tak. Na samym początku

wojny, trzeciego albo czwartego października w trzydziestym dziewiątym roku, przyjechał tu jakiś facet. Rozmawiał z ojcem i dał mu jakiś list. Kopertę. Widziałem to przypadkiem, szczeniak wtedy byłem, miałem dziewięć lat. Wiecie, że moi starsi bracia zginęli, jeden na froncie, drugi w partyzantce. Ojciec już miał swoje lata, wojnę przeżył, ale czuł się coraz gorzej i gryzł się okropnie, że tylko ja zostałem, nieletni, w razie czego nie dam sobie rady. Parę razy się zbierał, żeby mi coś powiedzieć, ale ciągle zwłóczył, czekał, żebym był starszy, dopiero przed samą śmiercią, a już miałem wtedy dwadzieścia lat, wydusił z siebie, że mamy jakiś depozyt, zrozumiałem, że to ta koperta. A potem już prawie nie mógł mówić, za długo czekał na to moje dorastanie i tylko tyle się dowiedziałem, że nie wolno mi słowa pisać, dopóki żyje matka stryjenki Pauliny. Dziwne mi się to wydawało i nie wiem, czy ojciec nie majaczył w gorączce, bo co tu ma do rzeczy ta starsza osoba, której ja w życiu na oczy nie widziałem. Gdzież by w ogóle matka stryjenki mogła wtedy żyć...

— Owszem, żyła — wtrąciła Lucyna. — Umarła dopiero w pięćdziesiątym czwartym roku.

— Co ty powiesz? — zdziwił się Franek. — Znaczący, że ojciec nie majaczył? No to nie wiem... Z tego, co jeszcze mówił, zrozumiałem, że folwarki przepadły, bo wszystko upaństwowili, ale najważniejsze trzeba oddać. Co oddać i komu, pojęcia nie mam. Szukałem potem tej koperty, bo może z niej bym się dowiedział, o co chodzi, ale gdzieś przepadła i nie znalazłem jej do dziś dnia. Męczyło mnie to, bo ojciec kazał mi przysięgać, że wszystko zrobię jak trzeba, tymczasem ja w ogóle nic wiedziałem, co mam zrobić. Próbowałem się dopytać, ale ojciec powtarzał już tylko: „Tutaj, tutaj” i nic więcej. No i teraz już wiecie dokładnie tyle samo, co ja. Przez tę matkę stryjenki Pauliny myślałem sobie, że może was to jakoś dotyczy i może wy coś wiecie...?

Urwał i popatrzył na nas z odrobiną nadziei. Patrzyliśmy na niego nawzajem wzrokiem niewątpliwie najdoskonalej baranim. Moja prababcia była osobą nader kłopotliwą za życia, o tym wszyscy wiedzieli, któż by się jednak spodziewał, że przyczyni trosk jeszcze w dwadzieścia lat po śmierci?!

— Coś podobnego! — powiedziała wstrząśnięta Lucyna. — Pierwsze słyszę o takich komplikacjach rodzinnych i nic z tego nie rozumiem!

— A twoja matka? — spytała niespokojnie Teresa. — Też nic nie wiedziała?

— Nic kompletnie, bo ojciec rozmawiał tylko ze mną, w cztery oczy. O żadnej tajemnicy nie miała pojęcia. Umarła akurat dziesięć lat temu. . .

— Co to za folwarki upaństwowili? — zainteresowała się nagle moja mamusia.

— Nie wiem. Nie nasze, to pewne. Ale wiem że ojciec zarządzał chyba jakimś cudzym majątkiem przed wojną się to działo, więc słabo pamiętam. Najstarszego brata przeważnie w domu nie było, bo gdzieś tam siedział i gospodarował, ledwie dorósł, ojca wyręczał. Obijało mi się o uszy, że cudzego pilnuje. Po wojnie już widać tego cudzego nie było, bo ojciec zajmował się tylko naszą gospodarką, więc chyba to właśnie upaństwowili. No i tyle. Więcej nic nie wiem.

Oderwał się od futryny, podszedł do okna, wyjrzał na podwórze, po czym usiadł najwyraźniej zadowolony, że pozbył się ciężaru, obdarzając nas ową tajemnicą. Przekazał informacje i nareszcie ma z głowy.

— I czekałeś z tym wszystkim, aż przyjedziemy? — spytała niedowierzająco Lucyna.

Franek wzruszył ramionami.

— A co miałem robić? W ogóle nie wiedziałem, co się z wami dzieje. Po śmierci ojca matka wysłała list do tego Tarczyna, ale wrócił z napisem, że adresat nieznany. O tym, że w ogóle żyjecie, to się dopiero od tego nieboszczyka dowiedziałem. A milicji, no same rozumiecie, wołałem za bardzo nie pytać. . .

— Bardzo dobrze zrobiłeś — pochwaliła go Teresa. — Lepiej nie pchać milicji w nasze rodzinne komplikacje. Jeszcze nas o coś posądzą. A tak, proszę, jesteśmy na miejscu i możemy się spokojnie zastanowić. . .

— Myśmy się tu już dawno wybierały — przerwała jej moja mamusia. — Franek, ty tu na pewno masz jakąś studnię.

— Proszę? — zdziwił się Franek.

— Studnię. Na pewno masz gdzieś studnię. . .

— No, zaczyna się! — fuknęła gniewnie Lucyna.

— Gdzie ją masz?

Franek wydawał się śmiertelnie zaskoczony.

— Studnię? No, mam studnię, głębinową. Motorek ciągnie wodę do zbiornika, całą instalację zrobiłem. Właściwie nie ma studni, tylko krany. Studnię mają sąsiedzi.

— Ale miałeś studnię, jestem pewna — upierała się moja mamusia. — Co się z nią stało?

— Zasypana. Dwa górne kręgi wyjąłem, a reszta została.

— Jeżeli kręgi, to znaczy, że ona była nowa. Przedtem musiała być stara. Gdzie twój dziadek miał studnię?

Patrzyliśmy na moją mamusię z beznadziejną rozpaczą. Franek przyglądał się nam z rosnącym zdumieniem, ale odpowiadał bez oporu, nie pojmując, o co tu może chodzić.

— Dziadka studnia to jeszcze była przy starym domu. Jak już wam tak zależy na studniach, to były nawet dwie, jedna starsza, a druga nowsza. Starszą dziadek zasypał, zdaje się, że w młodości, nowszą wykopał i długo służyła, dopiero przed samą wojną ojciec wykopał tę ostatnią na kręgi, nawet nie wiem dlaczego, bo w tamtej ciągle była woda, i to całkiem dobra.

— No proszę! — powiedziała moja mamusia i popatrzyła na nas z triumfem.

— Naprawdę myślisz, że w każdej studni po naszych przodkach musi leżeć Bóg wie co? — spytała Teresa przygnębiona.

— Musi nie musi, ale może...

Ciocia Jadzia zajęta do tej pory wymianą filmu w aparacie podniosła głowę.

— Czy was kompletnie nie obchodzi te wszystkie tajemnicze sprawy? — spytała potępiająco i z wyrzutem. — Studnia, owszem, to możliwe, że w tej rodzinie jest taki urodzaj na faszzerowane studnie, ale przecież tu się dzieje coś niezwykłego i bez studni. Czy was to wcale nie obchodzi?

— Obchodzi — odparła Lucyna. — Zastanowimy się nad tym, jak one przestaną się wygłupiać.

— Mnie nie obchodzi! — zaprotestowała stanowczo moja mamusia. — Nie mam żadnego interesu do jakichś chorowitych bubków z rozlazłymi nosami i za armaty pradziadka płacić nie będę. Przyjechałam tutaj, żeby obejrzeć studnię.

— Głupia jesteś! — zirytowała się Teresa. — Nie obchodzi cię, że tu przez nas mordują ludzi? Ja sobie życzę, żeby to zostało wyjaśnione!

— Milicja nie wyjaśniła, a ty wyjaśnisz?

— Przed milicją ukryliście najważniejsze rzeczy — wtrąciłam jadownicę. — Ten wylizany musi mieć z tym jakiś związek. Ukradł adres w Tarczynie i po nitce do kłębka doszedł do nas. Zdobył w końcu nasze adresy...

— Jeżeli zdobył nasze adresy, to dlaczego do nas nie przyszedł?

— Jak to nie? Przyszedł przecież. Do Teresy w Hamiltonie.

— A dlaczego nie do nas? Tu miał bliżej...

— Bał się tu pokazywać, żeby go ktoś nie rozpoznał. Nie mógł wiedzieć, że Franek nie powie o nim milicji. Nie chciał być wplątany w zbrodnię.

— Mógł przyjść przed zbrodnią.

— Nie mógł, pojechał do Kanady.

— Co ci tak zależy na wizycie jakiegoś bandziora...?!

— Czekaście, bo tu się jeszcze prababcia przyplątała — przerwałam, ponieważ coś mi nagle przyszło do głowy. — Coś mi się wydaje, że w grę wchodzi wyłącznie żeńska część rodziny, i aż się dziwię, że zabito faceta, a nie babę...

— Właśnie! — przyświadczyła żywo Lucyna. — Zauważyliście, czyje adresy on miał? Nasze i Lilki z Heńkiem. Zauważyliście?

— Zauważyliśmy — odparła nieżyczliwie Teresa. — I co z tego?

— A to, że wy jesteście córkami babci — podchwyciłam złowieszczo. — A Lilka i Heniek są dziećmi ciotki Heleny. A ciotka Helena była siostrą babci i obie razem, o ile wiem, były jedynymi córkami prababci, która poza tym miała samych synów. Ale adresami tych synów nikt się nie interesował. No? I co wy na to?

Rodzina przez długą chwilę oglądała mnie w milczeniu.

— No, pytam się! Co wy na to?

— Nic — powiedziała niepewnie moja mamusia. — Co my możemy na to...

— W tym coś jest — orzekła z ożywieniem Lucyna. — I jeszcze te polecenia stryja Antoniego. . . Babcia dawno nie żyje, mówiłaś, że stryj mówił, że coś ważnego trzeba oddać. Ciekawe komu? Może właśnie temu wylizanemu? Wylizany przyszedł się upomnieć. . .

— Ja nic nie mam — przypomniał Franek smętnie.

— Może nie ty. Skoro babcia miała przedtem umrzeć. . . Może to było u naszej mamusi?

Moja mamusia natychmiast nabrała ducha.

— No to mamy spokój — powiedziała beztrosko. — Wszystko, co miała nasza mamusia, diabli wzięli przez wojnę. To coś też przepadło i niech ten wylizany nie zawraca głowy. Chodźmy obejrzyć studnię.

— Ty nie bądź taka wyrywna — mruknęła sposepniała nagle Teresa. — Ja nie wiem. . . Mnie tu wychodzi, że myśmy mieli coś cudzego. . . Uważam, że trzeba to oddać. . .

— No coś ty? Jak chcesz oddawać, skoro nawet nie wiesz, co to jest?

— Ale tego tak nie można zostawić. Musimy pomyśleć. . .

— Żeby mi tak kto powiedział, kto to jest ten Mieniuszko! — westchnęłam z żalem. — Byłoby przynajmniej wiadomo, od której strony to myślenie zaczynać! Lucyna, przebij się jakoś przez swoją sklerozę!

Lucyna spojrzała na mnie, a potem zapatrzyła się w okno.

— Mieniuszko, Mieniuszko. . . — pomrukiwała pod nosem. — Kojarzy mi się z jakimś polem. . . Po ciemku. Ktoś leciał przez pole na skos, od strony pałacu. . . Tych tam hrabiów, jak oni się nazywali, jakoś na S. . . Miałam wtedy szesnaście lat, wracałam z randki. . .

— Wykluczone, w tym wieku nie chodziłaś na żadne randki! — zaprotestowała moja mamusia bardzo kategorycznie.

— Głupiaś, chodziłam, nikt o tym nie wiedział. . . Schowałam się. Ktoś leciał, ciemno było, świecił księżyc. . .

— Przy księżycu świetle leciał, gdzie krzyżowe wojny wrą — zadeklamowała zjadliwie Teresa.

Lucyna popukała się palcem w czoło i machnęła niecierpliwie ręką wciąż zapatrzona w okno.

— Leciał, widać go było... Ktoś go chyba gonił...

— Mieniuszko tak leciał? — spytała podejrzliwie moja mamusia.

— Nie wiem, kto leciał. Nie pamiętam. Za to pamiętam, gdzie to było. Tu właśnie, na tym polu, za stodołą...

Wszyscy jak na komendę spojrzeliśmy w okno. Lucyna pokazała palcem przejście między narożnikiem obory, a szopą stojącą prostopadle do niej po prawej stronie podwórza.

— Tam była ścieżka między domem a ruiną, stamtąd wyleciał i potem już leciał przez pole na przełaj...

— Przez kartofle czy po rżysku? — zainteresował się rzeczowo Franek.

— Chyba po rżysku... Tak, po rżysku, to już musiał być sierpień.

— No i co? — spytałam po dłuższej chwili ogólnego milczenia. — Gdzie tu Mieniuszko?

Lucyna ocknęła się z zapażenia.

— A skąd ja mam to wiedzieć? Mówię tylko, z czym mi się ten Mieniuszko kojarzy. Zastanowię się i przypomnę sobie, o co wtedy chodziło.

— Wcale sobie nie przypomnisz, tylko wymyślisz — powiedziała gniewnie Teresa. — I potem już do reszty nic nie będzie wiadomo. Dlaczego ja się muszę zawsze tak zdenerwować, jak przyjeżdżam na odpoczynek do tej Polski!

— No jak to? — zdziwiła się łagodnie ciocia Jadzia. — Przecież przyjeżdżasz do rodziny...

— Oj, leci ten Mieniuszko przez pole czy nie leci, chodźmy obejrzyć studnie! — zniecierpliwiła się moja mamusia. — Myśleć możecie potem, w Warszawie...

Pozostałości dwóch studni udało się odnaleźć z łatwością. Jedna, ta najnowsza, na kręgi, znajdowała się na podwórzu, druga za oborą, przy ruinie. Między oborą a ruiną było przejście, ścieżka prowadziła przez coś w rodzaju małego pagóreczka, tak jakby część gruzów została udeptana. Z ruinki gdzieniegdzie wystawały szczątki kamiennego muru, całość porośnięta była gęsto pokrzywami, ło-

pianem i młodymi brzózkami. Franek odgrzebał trochę ziemi i zaprezentował nam ślad kamiennego obmurowania.

— To ta nowsza — poinformował. — Ta, którą zasypał ojciec. Tamta starsza była kawałek dalej.

Machnął ręką, wskazując teren niejako na zapleczu ruinki. Widniał tam śmietnik złożony z odpadków najrozmaitszych rupieci, parę metrów za nim zaś ciągnęło się ogrodzenie sąsiedniego gospodarstwa, całkowicie zarosłe akacją. Po miejscu, gdzie niegdyś istniała najstarsza studnia, nie pozostał żaden ślad.

Franek miał taki wyraz twarzy, że wtajemniczenie go w sprawę studni wydało nam się niezbędne.

— Nie patrz tak, myśmy wcale jeszcze nie zwariowały — powiedziała Teresa z lekkim rozgoryczeniem. — To jest tylko fioł mojej najstarszej siostry. Od czasu, kiedy się okazało, że w Tończy, w studni po babci, od wojny leżało świństwo. . .

— Nie tyle świństwo, ile tak zwany skarb — skorygowała Lucyna. — Pożydowskie mienie, zrabowane przez Niemców. Znaleźliśmy to i teraz ona ciągle ma nadzieję, że w innej studni znajdzie się skarb szlachetniejszego pochodzenia.

— A z tym co się stało? — zaciekał się Franek.

— Oddaliśmy na skarb państwa. Nikt by tego do ręki nie wziął. Nawet ładne rzeczy tam były, perły, brylanty. . . Bardzo piękna biżuteria.

Franek westchnął ciężko.

— U nas tego nie będzie — rzekł z żalem. — Nikt tu brylantów do studni nie wrzucił.

— Możliwe, ale mojej siostrze nie przetłumaczysz. . .

— Bardzo malownicza ta ruina — pochwaliła ciocia Jadzia, obleciawszy z aparatem wszystkie miejsca na tyłach obory. — Co to właściwie jest takiego? To z wojny?

Wspólnymi siłami wyjaśniliśmy jej natychmiast, że jeśli nawet z wojny, to nikt nie potrafi powiedzieć z której. Możliwe, że z wojen szwedzkich. Ruina stanowiła kiedyś budynek mieszkalny, zapewne dwór, bo wątpliwe czy zamek, a zamieszkiwali ją przodkowie tak Franka, jak nasi. Niegdyś byli bogaci, ale minął im ten stan już bardzo dawno, z niewiadomych przyczyn podupadli, a razem z nimi

podupadł i dom. Niszcząc stopniowo, zaczął się walić, substancji na remont brakowało i w końcu któryś prapradziadek pobudował prowizoryczną chałupę obok walącego się domostwa, zużywając na nią posiadany pod ręką budulec. Nie całkowicie, zaledwie częściowo. Większość kamiennych murów została i waliła się nadal. Chałupa, jak każda prowizorka, przetrwała co najmniej sto pięćdziesiąt lat i dopiero w czasach powojennych przeistoczyła się w oborę, ruinka zaś porastała zielskiem dalej w charakterze pamiątki po minionej świetności.

— Tu gdzieś były wejścia do piwnic — przypomniała sobie moja mamusia.
— Wszystkie dzieci się tam bawiły. Nie widzę ich teraz, dlaczego?

— Sam się bawiłem — przyświadczył Franek. — Ale pod koniec wojny, jak front przechodził, akurat w to miejsce bomba trafiła. Pociski też padały, ale jakoś tej kupie kamieni nie zaszkoziły, dopiero bomba zaważyła ją do reszty. Aż się wszyscy dziwili, że chałupy nie tknęło, chociaż to tuż obok. No i tak już zostało. Tylko z tamtej strony, od drogi, wzięliśmy trochę kamienia na fundamenty, jak dom stawiałem.

— Ładnie tu — powiedziała rzewnie Teresa. — Tak cicho i spokojnie...

Moja mamusia, rozczarowana nieco brakiem trzeciej studni, rozgarniała patykami rupiecie na śmietniku. Teresa roztkliwiała się wciąż nad panującą wokół ciszą i spokojem. Lucyna ugrzęzła w łanie koniczyny za stodołą, kontemplując ową drogę, którą leciało jej skojarzenie z Mieniuszką. Ruszyłam ścieżką za parkanem ku łące z zamiarem obejrzenia miejsca zbrodni, to znaczy, jak przypuszczałam, owych widocznych z daleka trzciniek.

Zaniechałam oględzin, kiedy do butów nalało mi się rzadkiego błota. Grząskie bagno przy trzcinach ugięło się nieprzyjemnie i w ogóle nawet do nich nie dotarłam. Wyraziłam zdziwienie, że napastnik nie utopił się, transportując ofiarę prawie w środek bagienka, na co Franek przypomniał, że ostatnio padały deszcze. W zeszłym roku na jesieni akurat była ładna pogoda, łąka podeschła i można było podejść do samych trzciniek. W nich to właśnie leżały zwłoki.

— Pewnie liczył na to, że utoną i wszelki ślad zaginie — powiedziałam odkrywco. — Całkiem sucho było?

— Całkiem sucho to tu nigdy nie jest — odparł Franek. — Ten nieboszczyk leżał, więc się utrzymał. Gdyby stał, to by go wciągnęło. Ci, co go wywlekali, pozapadali się od razu po kolana.

— To dlatego nie zabrał mu tych naszych adresów — powiedziała Teresa tonem ciężkiej pretensji. — Myślał, że się utopi razem z nimi. Głupi bałwan.

Dziwna rzecz, zgodziliśmy się z nią wszyscy bez żadnych zastrzeżeń. Nie wiadomo dlaczego nabraliśmy nagle przekonania, że morderca koniecznie powinien był zabrać ofierze nasze adresy i gdyby zabrał, byłoby to dla niego o wiele lepiej. Co jeszcze dziwniejsze, przyszłość wykazała, że mieliśmy absolutną słuszość...

* * *

Zwykłe jajka od wsiowych kur niespodziewanie pchnęły sprawę do przodu. Pojechałam po te jajka razem z Lucyną do znajomej wsi za Piasecznem i w wyniku głupich okoliczności nie zdołałam wrócić w zaplanowanym terminie. Mia nowicie wysiadło mi koło. Moment i miejsce wybrało sobie doskonałe, akurat kiedy znalazłam się z dala od wsi, pod lasem, na miękkiej, piaszczystej drodze, w kompletnych ciemnościach, bo pojechałyśmy po nabiął dość późno i ruszyłyśmy z powrotem już dobrze po zapadnięciu zmroku.

Zapasowych kół miałam dwa, ale równie dobrze mogłam ich mieć dwieście i też nic by mi z tego nie przyszło. Możliwe, że wspólnymi siłami udałoby nam się odkręcić śruby, użycie lewarka jednakże było wykluczone. Zapadał się w piasek i należało podłożyć pod niego jakiś płaski kamień. Płaskiego kamienia nigdzie w okolicy nie było, a nawet jeśli był, ja go nie mogłam znaleźć, ponieważ latarkę elektryczną pożyczył ode mnie trzy dni wcześniej mój syn.

— To co robimy? — spytała Lucyna z wielkim zainteresowaniem.

— Nic. Poczekamy do świtu, jest czerwiec, noce krótkie. O świcie znaję kamień, a przy okazji może się napatoczy jakiś silny chłop. A teraz możemy sobie

rozpalić ognisko. Chyba że wolisz piechotą wrócić do wsi i przenocować w którejś chałupie, ale nie wiem, czy warto.

Lucyna wołała ognisko.

— Tylko nie wiem, skąd weźmiemy drewno — rzekła z powątpiewaniem.

— Z lasu. Las pod nosem. Ledwo z pięćdziesiąt metrów.

— Ciemno jak w wąpiach Murzyna, ja nie idę.

— Sama pójdę. Suchego drewna jakoś się domacam, a jeśli nie, zdejmę buty i od razu trafię na szyszki. Siedź tu i czekaj.

Lucyna gdzieś usiadła, niedokładnie widziałam gdzie. Przez świeżo skoszoną łąkę udałam się do lasu. Zanim uzbierałam w ciemnościach wiąchę suchych patyków, zdążył wzejść księżyc. Zrobiło się nieco widniej, wyciągnęłam z bagażnika małą ręczną piłkę, nadmuchałam Lucynie materac i ponownie udałam się do lasu. Obróciłam trzykrotnie, księżyc świecił coraz jaśniej, kamienia wprawdzie ciągle nie mogłam znaleźć, ale przestałam się potykać o kretowiska i za ostatnim obrotem łąkę przebyłam w galopie. Lucyna siedziała obok samochodu na fotelu z materaca i podsycala niewielki ogienek.

— Wszystko wiem — oznajmiła, kiedy rzuciłam na drogę wielką naręcz drągów i zabrałam się do łamania i piłowania. — Tego mi właśnie było potrzeba, ciemności i odrobiny księżycy. Przypomniałam sobie, jak leciałaś teraz przez pole. Wyglądało to identycznie, tyle że tam nie było lasu i on leciał znacznie szybciej.

Przestałam hałasować, odkładając piłowanie na później. Od razu wiedziałam, co ma na myśli.

— Mieniuszko? — upewniłam się.

— Mieniuszko. To chyba rzeczywiście był Mieniuszko, ten, co leciał. Pamiętam, że może tuż przedtem czy może tuż potem słyszałam o jakimś obcym łobuzie, który się pętał po wsi i którego ktoś przegonił. Nie będzie tu nam węszył po łąkach, ktoś tak powiedział. Nie wiem kto, ale chyba ten sam, który go potem gonił.

— Albo przedtem gonił. . .

— Albo przedtem. I jestem pewna, że właśnie wtedy padło nazwisko Mieniuszko. Coraz bardziej mi się wydaje, że Mieniuszko to był ten wężący i przyplątał się tam z innej okolicy. Nie wiem dlaczego, ale mam takie wrażenie, że z okolicy, z której pochodziła nasza prababcia.

— Wiem, dlaczego masz takie wrażenie — powiedziałam, wracając do łamania patyków. — To przez to całe gadanie o tajemnicy rodzinnej, przez te adresy i resztę. Nie ma już do wyboru wielu okolic, tylko albo okolica pradziadka, albo okolica prababci. Skoro w okolicy pradziadka był obcy, musiał pochodzić z okolic prababci.

— Możliwe — zgodziła się Lucyna. — W każdym razie o tego Mieniuszkę była jakaś awantura.

— Czekaj, a gdzie były okolice prababci?

— Gdzieś koło Łukowa. Prababcia przybyła tam z Ukrainy. . .

— To może Mieniuszko też przybył z Ukrainy?

— Nie wiem, może. Siostra prababci była hrabiną i babcia wychowywała się na jej dworze. Czekaj, przypomniało mi się jeszcze coś! Babcia robiła dziadkowi bardzo liczne awantury i przysięgnę, że podczas jednej z nich krzyknęła: „Nawet młody Mieniuszko byłby lepszy od ciebie!” Sama słyszałam. Przypomina mi się to wszystko coraz wyraźniej.

Lucyna mówiła głosem zarazem ożywionym i tajemniczym, z wielką pewnością i stanowczo, ale odniosłam się do tych jej wspomnień dość sceptycznie. Teresa miała rację, nie sposób stwierdzić, ile z tego Lucyna rzeczywiście pamięta, a ile wymyśliła na poczekaniu, tak sobie, dla draki. Niejeden raz słyszałam od niej opowieści wstrząsające. Któregoś przodka zeżarły wilki razem z końmi, saniami i woźnicą, którąś przodkinię ktoś kupił od tatusia za dziesięć tysięcy rubli w złocie, jakaś hrabianka truła się dla jakiegoś naszego pradziadka, który nie chciał na nią patrzeć, nieślubne dzieci książęcego rodu leżyły się w ramach rodziny niczym króliki na wiosnę, ginąc zaraz potem na barykadach rewolucji, a wszyscy wzajemnie mordowali się z dużym upodobaniem. Lucyna miewała pomysły niezwykłe i lada moment Mieniuszko mógł obrosnąć całą legendą.

— Lepiej od razu powiedz, skąd to wszystko wiesz — zażądałam podejrzliwie.

— Nie wiem, skąd wiem, nie pamiętam. Objęło mi się o uszy. Awanturę babci sama słyszałam, o ciotce hrabinie babcia opowiadała, a Mieniuszko mi do tego bardzo dobrze pasuje. Znów przyjechał węszyć. . .

— I naprawdę myślisz, że to ten sam, który leciał przez pole przed pierwszą wojną światową?

— Głupia jesteś. Mieniuszko mógł mieć dzieci.

— Aha. I teraz węszą dzieci?

— Węszą. Dlaczego nie? To by się nawet zgadzało z tym, co mówił stryj Antoni. W tamtych dawnych czasach ludzie robili różne dziwne rzeczy. Nasza rodzina mogła coś zabrać rodzinie Mieniuszków. Albo dostać coś na przechowanie. Kogoś tam po drodze ruszyło sumienie i zaczął przekazywać polecenie, żeby to coś zwrócić. . .

Kiwnęłam głową. Owszem, pasowało. Wylizany mógł być potomkiem Mieniuszków i rzeczywiście przyjechał upominać się o swoje. Musi to być nie byle co, skoro na samym wstępie pojawiły się zwłoki. Co tu ma jednak do rzeczy moja prababcia? Wedle słów ojca Franka miała przedtem umrzeć, z czego by wynikało, że prababcia nie wyrażała zgody na zwrot zagrabionego mienia. Prababcia nie żyje, ciekawe, co się stało z mieniem. . .

— Teresa pęknie z radości — zauważyłam smętnie. — Jeżeli się okaże, że nasza rodzina rzeczywiście kogoś wykantowała, sumienie ją zagryzie na śmierć. Spać nie będzie mogła.

— Wróci do domu naga i bosa — uzupełniła Lucyna. — Chyba podejmę z książeczki wszystkie pieniądze i zakopię w piwnicy, bo inaczej każe mi je zwracać wylizanemu. A, prawda, nie mam piwnicy. Wiesz co, lepiej nie mówmy jej, co nam tu z tego Mieniuszki wychodzi. . .

Krótko po północy nadjechał radiowóz milicji, która miała w okolicy jakieś swoje interesy i zboczyła nieco, zwabiona ogniskiem na środku drogi. Nic lepszego nie mogłam sobie wymarzyć. Sprawę koła miałam z głowy w ciągu dziesięciu minut.

— Sama widzisz, że ja ich słusznie Kocham — powiedziałam do Lucyny, ruszając w drogę do domu.

— No, owszem — przyznała Lucyna. — Sympatyczne chłopaki. Specjalnie poczekali z przyjazdem, żebym sobie zdążyła przypomnieć tego Mieniuszkę. . .

* * *

W wyniku wspomnień Lucyny w imprezę został wmieszany Marek, blondyn mego życia, który do tej pory uporczywie usiłował trzymać się na uboczu. Nie brał udziału w rozważaniach rodzinnych, tematu zbrodni unikał jak ognia, symulował brak czasu, dolegliwości zdrowotne, niewiarę w fakty, głuchotę i ogólne ograniczenie umysłowe. Denerwowało mnie to niewymownie i długo nie mogłam pojąć, w czym rzecz, aż wreszcie udało mi się wyrwać z niego prawdę.

— Zawsze po tych komplikacjach w twojej rodzinie czuję się tak, jakbym dostał pomieszania zmysłów — wyznał z irytacją i niechęcią. — Miałem nadzieję, że tym razem zdołam utrzymać się na marginesie. Wolałbym czuć się raczej normalnie. . .

— Też pomysł! — prychnęłam z politowaniem. — Zbrodnia w rodzinie, a ty masz takie nieżydciowe nadzieje! Zawsze się wtrącasz do wszystkiego i właśnie teraz miałbyś trwać na uboczu, gdzie tu sens, gdzie logika. Zajmij się tym wreszcie, bo sam widzisz, że wychodzi na jaw coraz więcej i nikt nic nie rozumie.

— Uważasz, że niby co mam zrobić? Pogadać z duchem ojca tego Franka?

— Nie wiem czy z duchem. Nie wiem, z kim pogadać. Pogadaj, z kim chcesz. Mógłbyś sprawdzić, o co właściwie chodzi z tym Mieniuszką.

— To, ostatecznie, można by spróbować. . .

— No więc spróbuj! Na co czekasz?

Marek spróbował jeszcze trochę potrwać w rezerwie, rychło się jednakże załamał. Dobił go ojciec, który specjalnie przyszedł do mnie i stanowczo zażądał jego udziału, twierdząc, że dłużej nie wytrzyma. Na omawianie zbrodniczych zaga-

dek wybieramy sobie akurat chwile, kiedy telewizja prezentuje mecz i zatruwamy mu życie do ostateczności. Wiadomo, że nie uspokoimy się, dopóki się tego nie rozwikła, trzeba zatem coś zrobić. Ojcu Marek uległ.

— Tylko nie nastawiaj się za bardzo na sukces — ostrzegłam go tknięta niepokojem, kiedy wybierał się w wożaż w okolice Łukowa. — Równie dobrze ten Mieniuszko może pochodzić z Kołobrzegu. Żeby nie było na mnie, za pomysły Lucyny nie mogę odpowiadać.

— Ty też się nie nastawiaj, ja tam jadę wyłącznie dla przyjemności. Dawno nie byłem w Łukowie. . .

Byłabym z nim oczywiście pojechała, gdyby nie to, że właśnie pękł mi tłumik w samochodzie i od ryku mojego silnika ptaki padały w locie. W warsztacie byłam umówiona dopiero za dwa dni. Marek wydawał się z tego nawet zadowolony, podejrzewałam, że znika z horyzontu bardziej dla uniknięcia nagabywań, niż dla wykrywania tajemnic.

Zjawił się znieca po trzech dniach, akurat kiedy wróciłam z warsztatu z nowym tłumikiem. Jak zwykle elegancki, w garniturku, białej koszuli, krawaciku, świeży niczym pierwiosnek, z niewinnym wyrazem twarzy. Od razu wiedziałam, że coś wie.

— No? — spytałam niecierpliwie.

W odpowiedzi pogrzebał w portfelu i wręczył mi podobiznę młodzieńca w mundurze wojskowym.

— Poznajesz?

— Nieboszczyk! — wykrzyknęłam wstrząśnięta. — Ale chyba żywy? Skąd to masz?

— Wszystko jedno, skąd mam. Uważasz, że kto to jest?

— No, jak to kto, nasz rodzinny denat! Ta ofiara z Woli! No i co, już wiesz, kto to jest?

Marek z upodobaniem obejrzał podobiznę, wytrzymując efektowną pauzę.

— Kto to jest?! — wrzasnęłam rozdzierająco.

— Wyobraź sobie, że niejaki Stanisław Mieniuszko. . .

Na krótką chwilę oszołomiła mnie myśl, że jest to ten sam osobnik, który przed laty leciał po rżysku, teraz zaś został zabity i tajemnica zesłała razem z nim do grobu. Otrząsnęłam się z idiotycznego wrażenia, zaskoczona z kolei zdumiewającym faktem, że wspomnienia Lucyny okazały się prawdziwe, a nie wymyślone. Marek nie chciał mówić nic więcej, dopóki nie upewni się, czy poznają go wszyscy.

Do domu mojej mamusi dojechałam w rekordowym czasie dwóch minut i czterdziestu sekund. Zgromadzona przy kolacji cała rodzina jak jeden mąż złożyła zgodne zeznania.

— Nieboszczyk jak żywy! — przyświadczyła Lucyna. Tfu, chciałam powiedzieć odwrotnie, żywy jak nieboszczyk. . .

— No, tutaj trochę lepiej wygląda — przyznała łaskawie Teresa. — Gdyby mi pokazali takie zdjęcie, mogłabym, ostatecznie, na jego temat rozmawiać.

— I on się rzeczywiście nazywa Mieniuszko? — zdziwiła się moja mamusia.

— Rzeczywiście nazywał się Stanisław Mieniuszko. . .

— Proszę nic nie mówić, dopóki mnie tu nie ma, bo inaczej będziecie musieli wszystko powtarzać — powiedziała stanowczo Teresa, ruszając do kuchni po dodatkowe talerze i sztućce.

— A skąd właściwie milicja wzięła to nazwisko? — spytałam. — Może dowiedziałeś się, tak przy okazji?

Teresa zatrzymała się w progu.

— Owszem, dowiedziałem się. Te wasze adresy on miał spisane na oderwanym kawałku koperty. Po drugiej stronie koperty znajdowało się właśnie nazwisko Mieniuszko i nic więcej.

Teresa wróciła do stołu.

— Będziecie sobie jedli palcami i z podłogi — oznajmiła gniewnie. — Nigdzie nie idę, żadnej przyzwoitości człowiek się tu nie może doprosić. Chciałabym wiedzieć, dlaczego milicja tego nie wykryła!

— Mnie palcami nie szkodzi — mruknęłam. — A on mówi, że dopiero co jadł. Będziemy pili herbatę.

— Nie wiem, czy milicja tego nie wykryła, czy może tylko wam nie powiedziała — odparł równocześnie Marek. — Łatwo było do niego dotrzeć pod warunkiem, że się wiedziało, gdzie szukać. Gdyby Lucyna powiedziała milicji, skąd go pamięta. . .

— Wierzysz w to, że milicja potraktowałaby poważnie opowieść, jak czterdzieści pięć lat temu leciał przez pole? — przerwałam sceptycznie. — Albo że pochodzi z Łukowa, dlatego że prababcia robiła pradziadkowi awantury?

— On nie pochodził z Łukowa. Pochodził z Głodomorzyc.

— Z czego, proszę? — zainteresowała się gwałtownie Teresa.

— Z Głodomorzyc. To taka mała wieś, kawałek za Łukowem. Stanisław Mieniuszko był ostatnim potomkiem rodziny, która mieszkała tam od wieków. Przed pójściem do wojska sprzedał gospodarkę, potem pracował w miejscowym POM-ie, a potem gdzieś przepadł. Nikt o nim nic nie wie.

— Wiadomo, gdzie przepadł — mruknęła Lucyna, zajęta obgryzaniem szkieletu wielkiego indyka, który leżał przed nią na półmisku. — W naszym rodzinnym bagienku. . . Teraz już będę mówiła milicji wszystko, co mi się tylko przypomniało. . .

— Biedna milicja! — westchnęła moja mamusia ze współczuciem.

W kuchni zaczął gwizdać czajnik.

— Najstarsi ludzie pamiętają, że kiedyś ci Mieniuszkowie byli bogaci — ciągnął Marek tajemniczo. — Krążą tam rozmaite plotki i legendy, jakoby dawno temu mieli skarb, tylko nie wiadomo, czy ten skarb znaleźli, czy ukryli, czy roztrwonili, czy może go szukali. Gospodarka podupadła na skutek zaniedbań i ten ostatni Mieniuszko niewiele miał już do sprzedawania.

Czajnik w kuchni gwizdał jak oszalały. Moja mamusia obejrzała się niespokojnie, po czym spojrzała na ojca, który, rzecz jasna, oglądał mecz.

— Woda się gotuje — powiedziała w przestrzeń.

— Ja nie idę! — zawołała kategorycznie Teresa.

— Ja też nie — mruknęła Lucyna znad kadłuba indyka.

— Janek pójdzie — zawyrokowała moja mamusia. — Jasiu! Woda się gotuje. . . !

— Przecież tato ogląda mecz! — oburzył się Marek. Dajcie mu spokój, ja pójdę. . .

— Jak ty pójdziesz, to możemy iść wszyscy — zauważyła Lucyna. — To znaczy ja nie, bo jestem tłusta, chyba, że będziecie tam coś mówić. . .

W rezultacie herbatę robiły cztery osoby. Marek wniósł do pokoju tacę zastawioną wszystkim, co komu pod rękę wpadło, żeby nie było potrzeby chodzić do kuchni ponownie. Teresa wyciągnęła z kredensu termos i naląła do niego wrzątku, pochwaliłam jej pomysł, zabierając do pokoju także czajniczki z esencją.

— A w tym POM-ie co? — spytałam niecierpliwie. — Nikt o nim nic nie wiedział?

Marek pomógł Teresie i mojej mamusi opróżnić tacę, obejrzał się i odłożył ją na tapczan.

— Owszem, trochę. Mętnie sobie przypomnieli, że kiedyś szukał go tam jakiś człowiek z miasta. We wsi też o niego pytał. . .

Urwał na chwilę i zajął się herbatą i cukrem. W jego głosie pojawił się ton, który sprawił, że nagle wzrosło napięcie i wszystkie zamarłyśmy w oczekiwaniu dalszego ciągu. Lucyna znieruchomiała z zębami zaciśniętymi na indyjskiej kości.

— Hrrhrrrr. . . ? — powiedziała, patrząc na Marka podejrzliwie.

— Cicho! — zgromiła ją Teresa. — Nie dław się teraz, później się udławisz!

— Co za człowiek? — spytała moja mamusia.

Marek z wielką starannością mieszał herbatę.

— Jakiś człowiek z miasta — powtórzył tonem wyczerpanym z wszelkich uczuć, dzięki czemu wiadomo było, że mówi coś niezmiernie ważnego. — Jedna osoba twierdzi nawet, że widziała tego człowieka. Nie pamięta, jak wyglądał, ale nie był bardzo młody i miał coś na twarzy. Ta osoba przypuszcza, że nos. . .

Nagły dreszcz zgrozy przeleciał po plecach całej rodziny z wyjątkiem ojca, zapatrzonego w niedoszłe gole.

— Gdyby nie miał nosa, ja osobiście sądzę, że zapamiętałiby go wszyscy — zauważyła krytycznie Teresa.

— Ej, czy to przypadkiem nie ten sam? — spytałam nieufnie. — Wylizany? I Teresa, i Franek zeznali zgodnie, że miał rozlazły nos. . .

— Jasne, że ten sam — przyświadczyła Lucyna, usiłując dobrać się do żeber. — Pytał o Mieniuszkę i Mieniuszko nie żyje. A potem zaczął pytać o nas. To jak wam się zdaje...?

Na chwilę zapanowało grobowe milczenie. Teresa popatrzyła na Lucynę okropnym wzrokiem. Lucyna szarpnęła żebra mocniej i kawał gnata wpadł Teresie prosto do szklanki, rozchlapując herbatę. Teresa poderwała się z krzesła.

— Jak cię zaprawię tym kadłubem, to wylizany nie będzie potrzebny...!

Lucyna na wszelki wypadek odsunęła się nieco dalej razem z półmiskiem. Moja mamusia koła pretensje swojej siostry, usiłując wygrzebać gnat ze szklanki, przy czym udało jej się rozlać resztę herbaty. Marek przyniósł z kuchni drugą szklankę. Teresa pomstowała, że jej cieknie z obrusa. Nie zwracałam na nie uwagi, ponieważ cała impreza zaczęła mi się układać równie złowieszczo, jak logicznie.

— Coś mi się widzi, że to wszystko razem nie jest takie głupie — oznajmiłam odkrywczo. — Tu skarb Mieniuszków, a tu ostatnia wola stryja Antoniego... Możliwe, że skarb Mieniuszków był w depozycie u naszego pradziadka, możliwe, że chronili go przed prababcią, która po pierwsze coś tam z Mieniuszką miała, a po drugie nie należała, jak wiadomo, do osób łatwych w pożyciu... Możliwe, że właśnie zaczęli się o ten skarb upominać...

— U siebie wzajemnie? — przerwała gniewnie Teresa.

— Nie wiem. To też możliwe. Ale raczej możliwe, że wylizany również pochodzi z Mieniuszków, ten tutejszy Mieniuszko, nieboszczyk, miał większe prawa, więc go utłukł, żeby mieć z głowy, i został z tymi prawami sam...

— A nasze adresy dał mu po co? — przerwała znów Teresa. — Miał nas ten Mieniuszko kolejno podusić czy co?

— Oj, nie podusił przecież, to co cię to obchodzi? — powiedziała niecierpliwie moja mamusia.

Lucyna zachichotała szatańsko nad obgryzanym szkieletem.

— Wylizany żyje — zauważyła z naciskiem. — Jeszcze ma szansę...

— Ja wyjeżdżam — oznajmiła energicznie Teresa. — To znaczy nie, ja uważam, że trzeba to oddać potomkom Mieniuszki...

— Mieniuszko nie ma potomków — przypomniał uprzejmie Marek. — Był ostatni.

— Co im chcesz oddać? — zainteresowała się moja mamusia.

— Nie wiem. Ale wychodzi na to, że myśmy kogoś wykantowali. Ja sobie tego nie życzę. Uważam, że trzeba coś zrobić.

Lucynie wypsnął się z półmiska następny kawałek szkieletu. Teresa poderwała się, gwałtownym ruchem zabrała jej sprzed nosa ruinę indyjskiego kadłuba i odsta-
wiła na tacę. Lucyna miauknęła cienko, żalonym wzrokiem żegnając oddalające się ulubione pożywienie, po czym pochyliła się ku mnie.

— A mówiłam, że trzeba przed nią schować pieniądze — szepnęła smętnie.
— Może w twojej piwnicy...?

— Nie ma dobrego zamka i okno jest wybite — odszepnęłam ucieszona myślą, że akurat nie mam na koncie ani grosza.

— Co tam szepciecie? — spytała podejrzliwie Teresa.

— Nic takiego — odparła Lucyna niewinnie. — Nam się też wydaje, że nasza rodzina kiedyś kogoś wykantowała. Jeżeli Mieniuszko nie ma potomków i jeżeli wylizany do tego skarbu został sam, no to cóż pozostaje? Oddać wylizanemu... .

Teresa spojrzała na nią z pełnym zgrozy niedowierzaniem.

— Upadł na głowę! Zbrodniarzowi?! Mordercy?!

— No przecież sama się upierasz... .

— Ale my przecież nic nie mamy! — przerwała z oburzeniem moja mamusia.

— Co wy mu chcecie oddawać?! Ani Franek nic nie ma, ani my!

— I ty myślisz, że on w to uwierzy? — spytała Lucyna szyderczo. — Przyjechał po skarb, który nasza rodzina zaprzepaściła. A nawet jeśli uwierzy, wymor-
duje nas chociażby przez zemstę... .

— Związek wylizanego z Mieniuszką nie ulega wątpliwości — oznajmiłam stanowczo. — Cicho bądźcie, bo do czegoś dochodzimy. Pytał o Mieniuszkę, ten z tym nosem, możemy przyjąć, że to on pytał o nas, ukraść Frankowi adres w Tarcynie, odnalazł całą rodzinę, próbował wybadać Teresę w Kanadzie, przyjechał tutaj, nie wiem, czy zamordował Mieniuszkę, ale w każdym razie osoba, której

szukał, nie żyje. W dodatku nie żyje razem z naszymi adresami, czyli wychodzi na to, że jesteśmy na liście. . .

— Stryj Antoni powiedział, że mamy coś cudzego — podchwyciła Lucyna. — Wylizany nie spocznie, póki tego nie odbierze. Możliwe, że ten nieszczęsny Mieniuszko ukradł mu nasze adresy tylko po to, żeby nas ostrzec, i możliwe, że właśnie dlatego nie żyje. . .

Element zgrozy na nowo pojawił się w atmosferze. Tajemnice przodków dały znać o sobie zniecka i w sposób mrozący krew w żyłach, pod sufitem zadźwięczał potępieńczo chichot zza grobu. Oczyma duszy ujrzałam Frankowego ojca, stryjecznego dziadka, Antoniego, usiłującego na łożu śmierci zrzucić ciężar z rodzinnego sumienia. Co najmniej połowa tego ciężaru legła na nas. . .

— On miał ten nos podobny do Nixona — powiedziała nagle Teresa ponurym głosem. — Całą gębę nie, tylko nos.

— Myślicie, że on już tam się czai na schodach? — spytała moja mamusia ze szczerym zdumieniem. — Przecież miał tyle czasu i nic nam nie zrobił!

— Widocznie nie było okazji — mruknął Marek zjadliwie.

— Szukał skarbu — wyjaśniłam. — Jeszcze miał nadzieję, że mu oddamy polubownie. Straci nadzieję, zepsuje światło na klatce schodowej i kolejno podusi wychodzące osoby. . .

Lucyna ożywiła się nagle, jakby bliska perspektywa uduszenia dodała jej wigoru. Zerwała się i zaczęła usuwać talerze ze stołu.

— Ale wiecie, że to jest fajna historia! — rzekła z uciechą. — Nigdy bym nie przypuszczała, że w rodzinie wyjdą na jaw takie tajemnice! Słuchajcie, jedziemy do Woli!

Teresa, która podniosła się również, znieruchomiała, popatrzyła na nią ze zgorszeniem, po czym popukała się w czoło trzonkiem noża.

— Zgłupiałaś czy co? — spytała potępiająco. — Chcesz być bliżej tego bagienka, żeby mu ułatwić?

— E tam. Trzeba to zbadać, a już widać, że tam się coś dzieje. Wszyscy tam lecą, nie wiadomo dlaczego, i Mieniuszko, i ci dwaj, co pytali o nas. . .

— Mieniuszko wykazuje nawet pewien upór — zauważyłam.

— No właśnie. Tutaj nic więcej nie wymyślimy. Ja jadę, a wy jak chcecie!

— Ja NIE jadę! — krzyknęła Teresa i z impetem, zapewne dla udokumentowania decyzji, usiadła na tapczanie wprost na tacy, półmisku i szkielecie indyka.

Dość łatwo przyszło potem przekonać ją, że była to kara boska za głupie postanowienie. Bez prób, wysiłków i poszukiwań nigdy w życiu nie oddamy tego czegoś, co należy oddać wszystko jedno komu, i po wieki wieków zostanie nam duszna zgryzota i plama na rodzinnym honorze. Roztoczona barwnie przez Lucynę wizja przewracających się w grobach antenatów przesądziła sprawę ostatecznie i w rezultacie chęć wyjazdu zgłosiły wszystkie baby, nawet ciocia Jadzia. Pozostający w Warszawie Marek i ojciec odczuli wyraźną ulgę. . .

* * *

— Sprzątam tu i sprzątam, a tych śmieci jakoś nie ubywa — powiedziała moja mamusia z wielkim niezadowoleniem, przerywając na chwilę okopywanie dużego kamienia złamanym nożem kuchennym i rozglądając się dookoła. — Nawet wygląda, jakby ich było więcej.

— Bo tak sprzątasz! — prychnęła Teresa. — Robotnica majowa!

— Mnie się wydaje, że ubywa — zaprotestowała ciocia Jadzia. — To znaczy, niektórych ubywa. . .

— Zaraz przybędzie tych łupin, które tu rozwalacie — zauważyła zgryźliwie Lucyna.

— Łupiny sprzątniemy same — obraziła się Teresa.

— Dużo ci od nich nie przybędzie.

Obie z ciocią Jadzią łuskały groch. Moja mamusia i Lucyna usuwały stare żelastwo i kamienie z terenu wokół ruinki, postanowiwszy przeistoczyć śmietnik w elegancki trawnik. Lucynę pchało zamiłowanie do robót ogrodniczych, moją mamusię cicha nadzieja odnalezienia śladów najstarszej studni, która z niewia-

domych powodów była jej potrzebna do szczęścia. Mimo iż praca ta trwała już czwarty dzień, rezultaty jej były nader nikłe. Śmietnik stawiał wyraźny opór.

Znalazłam się za oborą, ponieważ zbocza ruinki wzbudziły nagle moje zainteresowanie. Przywiozłam właśnie z zakładu fotograficznego w Węgrowie odbitki zdjęć cioci Jadzi, obejrzałam je i na jednym odkryłam nadzwyczajny przedmiot. Była to niezwykle piękna klamka, potężna, ozdobna, zaopatrzona w jakieś wymyślne fidrygały. Leżała doskonale widoczna na pierwszym planie wśród zielska i kamieni. Na drugim planie Teresa z Lucyną wlokły jakiś długi łańcuch. Wyglądały, jakby były nim spętane, ale na to nie zwróciłam już uwagi, zajęta klamką. Leżała nie w śmietniku, tylko na zboczu ruinki, tam gdzie nikt porządku nie robił, istniała zatem szansa, że nikt jej jeszcze nie usunął. Z fotografią w ręku popędziłam za oborę.

Nie odpowiadając na propozycję współpracy wlażłam na ruinkę i rozejrzałam się. Klamki nie było.

— Hej, tu leżała klamka — powiedziałam niespokojnie. — Która z was ją wyrzuciła i gdzie?

— Może byś tak pomogła w tej robocie, co? — powiedziała z wyrzutem Teresa.

— Zaraz. Najpierw klamka. Słuchajcie, tu leżała klamka. . .

— Jaka klamka? — zaciekała się ciocia Jadzia.

— Dekoracyjna. Tu była, wyszła ci na fotografii. Przyznajcie się, gdzie klamka?

— Żadnej klamki nie widziałam — oznajmiła moja mamusia znad swojego kamienia.

— Ja też nie — sapnęła Lucyna i przerwała dźganie ubitego gruntu jakimś drągiem z żelaznym okuciem. — Jakbym znalazła dekoracyjną klamkę, to bym ją pieczołowicie schowała, a nie wyrzucała. Tam nikt nic nie robił.

— No, ale była i nie ma. . .

Zlażłam z ruinki i popatrzyłam na zdjęcie, żeby zlokalizować miejsce pobytu antyku. Spojrzałam raz, potem drugi, porównałam widok na fotografii z widokiem w naturze i coś mi się zaczęło nie zgadzać.

— Kantujecie! — stwierdziłam oskarżycielsko. — Wszystko poprzewracane i kawałka brakuje. Coście tu robiły? Niszczycie rodzinny zabytek?

Wszystkie zgodnie zaprzysięły się, że ruinki do ręki nie brały. Żadna tam nic nie robiła, zajmowały się wyłącznie śmietnikiem, ruinki nikt nie tknął.

— Jak to nikt nie tknął, skoro jest tknięta, i to całkiem porządnie! Proszę, same zobaczcie! Tu była górka, a teraz jest dołek, tu wystawały kamienie, o... A teraz chała wystaje, za to tu nawalone...

Lucyna pierwsza wyrwała mi z ręki zdjęcie, ale nie nacieszyła się nim długo. Wszystkie rzuciły się na nią pełne zdumienia i niedowierzania. Z zainteresowaniem zaczęły porównywać.

— Ona ma rację — powiedziała Lucyna. — To wygląda całkiem inaczej. Ktoś tu grzebał.

— Nic podobnego, nikt nie grzebał! — zaprotestowała moja mamusia.

— To niby co? Samo się rozkopało?

— No a kto grzebał? Ty? Bo ja nie.

— Ja też nie. Teresa, ty grzebałaś? Jadziu, może ty?

Teresa zaprzeczyła bardzo stanowczo. Ciocia Jadzia w podziwiewie wpatrywała się na zmianę w ruinkę i w zdjęcie.

— Coś podobnego! — rzekła ze wzruszeniem. — Popatrzcie, taki dowód rzeczowy mi wyszedł... Rzeczywiście, cały ten kawałek wygląda zupełnie inaczej...

Gapiłyśmy się na odmienioną ruinkę, na kępy pokrzyw i wielkie, przykurzone liście łośnianu, odkrywając różnice i na razie nie pojmując zjawiska. Najbardziej żał mi było zaginionej klamki. Lucyna pokazała palcem brzoźkę, która przedtem rosła, a teraz leżała.

— Świeża — zauważyła. — Jeszcze się nie zeschła. Wyrwana niedawno...

— A ten łańcuch, to co? — oburzyła się nagle moja mamusia. — Toście go po to wyciągały, żeby tutaj zostawić? Nic dziwnego, że się śmietnik nie zmniejsza, skoro własne siostry podrzucają mi rupiecie!

— Żadnego łańcucha nie podrzucalam — zaprotestowała Lucyna z lekkim roztargnieniem.

— Jak to nie? Na zdjęciu widać! Już się teraz nie wyprzesz!

Obejrzałam się. Ogromny łańcuch, którym na fotografii spętane były Teresa z Lucyną, leżał blisko ruinki, na skraju śmietniska. Teresa obejrzała się również i wytrzeszczyła na niego oczy.

— A to co tu robi? Przecież go wywlokłam aż tam, do końca ogrodzenia. . . !

Dla wszystkich stało się wreszcie jasne, że w roboty porządkowe musiała wkroczyć jakaś obca siła. Żadna z nas nie ciągnęła z powrotem potwornie ciężkiego łańcucha, który uprzednio został odwleczony na bok o dobre kilkanaście metrów. Ciocia Jadzia zaświadczyła, że widziała na własne oczy, jak dwie zziębnięte siostry porzuciły go na skraju żywopłotu z akacji. Wnikliwsze poszukiwania pozwoliły odkryć krowią szczękę, która na fotografii widniała w pobliżu kłamki, na wierzchu kawałka kamiennego murku, teraz zaś spoczywała w samym środku śmietnika. Tożsamości poszczególnych kamieni nie mogliśmy być pewne, nie były bowiem poznaczone.

— Wygląda na to, że my sprzątamy, a ktoś przychodzi i podrzuca nowe śmieci — zauważyła w zadumie Lucyna. — Bierze z ruinki co popadnie i podrzuca tam. W ten sposób możemy mieć zajęcie do sądnego dnia. . .

— Ja nie — przerwała sucho Teresa. — Mam zamiar wrócić do Kanady, nawet jeśli tu nie będzie sprzątnięte.

— Nie wiem, komu przeszkadza, że chcemy tu zrobić porządek — powiedziała moja mamusia z urazą.

Otworzyłam usta, żeby wyjawić, co o tym myślę, ale spojrzałam na Lucynę i ugryzłam się w język. Wyglądała, jakby myślała o tym samym. Ciocia Jadzia uczyniła nieśmiało przypuszczenie, że Franek w ten taktowny sposób usiłuje dać nam do zrozumienia, iż nie życzy sobie w obejściu żadnych zmian. Ewentualnie Wanda, jego żona. Ewentualnie Jędrak, jego syn. . .

— E tam — powiedziała energicznie moja mamusia. — Mogą sobie tu z powrotem zrobić śmietnik, jak wyjedziemy. Zresztą, zaraz ich dzisiaj zapytam. . .

Przeprowadzone wieczorem śledztwo wykazało niewinność wszystkich podejrzanych. Franek pracował całymi dniami w polu i nie miał czasu na głupie figle, Jędrak nie okazywał nawet zaciekawienia. Był ledwo żywy, bo ojciec orał

w niego jak w peszerona, i nie w głowie mu było podrzucanie łańcuchów. Wanda była wprawdzie bardzo rozweselona śmieszną fanaberią rodziny z miasta, ale nie zamierzała brać w niej czynnego udziału, mając najzupełniej dość zajęcia w gospodarstwie, a ponadto stłuczone kolano. Turystów we wsi brakowało, ludność miejscowa nie przejawiała nami żadnego zainteresowania. Krótko mówiąc, sprawców czynu nie było.

— Wobec tego jutro łapiemy się za ten śmietnik wszystkie — zdecydowałam z wielką stanowczością. — Usuniemy go do zera i zobaczymy, co z tego wyniknie. Podrzuci ktoś nowy czy nie. . .

* * *

Tuż przed świtem Lucyna obudziła się zлана zimnym potem, ponieważ przysniło jej się coś okropnego. Ktoś skradał się w ciemnościach w kierunku ruinki cicho, bezszelestnie, jakoś krwiożerczo. W rękę trzymał ową ozdobną klamkę z fotografii. Lucyna siedziała skulona za załomem murku, usiłując nie oddychać, żeby ten ktoś nie domyślił się jej obecności. Chmury zasłaniały księżyc i prawie nic nie było widać. Ten ktoś skradał się i skradał powolutku, coraz bliżej, straszliwe napięcie wzrastało, Lucyna bała się panicznie, skamieniała z tego strachu, wiedziała, że choćby najbardziej chciała, nie zdoła się poruszyć. Ów ktoś zatrzymał się za osłaniającym ją murkiem, widziała czarną sylwetkę na tle nieba, jedną ręką usunął jakiś kamień, który uchylił się jak drzwiczki, drugą uniół w górę klamkę. W tym momencie chmury odsłoniły księżyc i na jego twarz padło światło. Zamarł tak, oświetlony księżycowym blaskiem, z rękaw górze, klamka złociście połyskiwała. . . Lucyna nie rozróżniła rysów tej twarzy, doskonale natomiast widziała jej wyraz. Był to wyraz tak śmiertelnej zgrozy, nieludzkiego przerażenia, dzikiej trwogi, że w Lucynie nagle coś pękło. Odzyskała zdolność ruchu i poderwała się, żeby też, do diabła, spojrzeć na to coś za kamieniem. . .

I obudziła się. Chwilę leżała, odzyskując równowagę i odtwarzając w pamięci koszmary sen, w którym właściwie działo się niewiele, a to, co się działo, było zaledwie średnio wstrząsające. Skradał się i zamierzył klamką, wielkie rzeczy. Okropność polegała na nastroju, na atmosferze, na świadomości, że widok tego czegoś za kamieniem zapierał dech. . .

Być może odwróciłaby się na drugi bok i zasnęła ponownie, gdyby nie to, że nagle przypomniał jej się inny sen, sprzed lat. Mieszkała wtedy w wynajętej willi z ogrodem otoczonym siatką. Pokój miała na piętrze i przyśniło jej się, że ktoś wszedł do ogrodu przez furtkę. Przeszedł ogród, wszedł do domu, zaczął wchodzić po schodach na górę. Wyraźnie widziała, jak wchodzi na podest, cicho zbliża się do drzwi jej pokoju, wyciąga rękę, ujmuje klamkę. . .

Obudziła się i już w momencie budzenia odruchowo zapaliła nocną lampkę. I ujrzała, teraz już na jawie, jak drzwi jej pokoju powolutku się uchylają. . .

Na moment zamarło wszystko, i Lucyna, i drzwi, i prawdopodobnie ten ktoś za drzwiami. Potem Lucyna zerwała się z łóżka, chwyciła szlafrok i zapalając kolejno wszystkie światła, wyskoczyła do holu. Nikogo tam nie było. Sprawdziła cały dom, drzwi wejściowe były zamknięte, pogasiła zatem światła i poszła spać. Nazajutrz zaś w blasku słońca okazało się, że od furtki do okna werandy prowadzą przez grządki świeże ślady męskich stóp, tam i z powrotem. . .

Pod wpływem tego wspomnienia teraz nie wytrzymała. Czego jak czego, ale braku odwagi nigdy nie można jej było zarzucić. Wstała cichutko, włożyła szlafrok i ranne pantofle, i zeszła na dół. Zaczynało już świtać, coś niecoś było widać. Przeszła przez podwórze, obeszła oborę, zbliżyła się do ruinki i skierowała ku wyśnionemu miejscu. I zobaczyła, co tam było. . .

Obudziłam się, bo coś mnie szarpało za ramię. W szarym świetle wstającego poranka ujrzałam nad sobą twarz Lucyny.

— Obudź się, wstawaj prędzej — szeptała. — Nie wiem, co zrobić, bo milicja nie pozwala nic ruszać, nie należy zdeptać śladów, nie wiem, jak to powiedzieć twojej matce i Teresie, niech Jadzia może odwali ten serwis fotograficzny. W ogóle wstań i zobacz sama, nie wiem, czy nie mam halucynacji, rusz się, tylko cicho, trzeba się zastanowić. . .

Byłam absolutnie pewna, że musiała przed chwilą oszaleć, wstałam więc czym prędzej, żeby jej nie rozdrażnić. Rozdrażniona mogłaby mnie budzić siekierą... Lucyna popędzała mnie gestami, szepcząc dalej.

— Zdaje się, że mamy nowego nieboszczyka, ciekawa jestem, czy też ma nasze adresy, ktoś musi chyba go pilnować, trzeba ich zawiadomić, zanim cała wieś się obudzi, prędzej, bo jeszcze go kto ukradnie i znów będzie na mnie, że sobie wymyśliłam...

W tym momencie na zewnątrz rozległo się przeciągłe, posępne, przejmujące psie wycie. Pistolet Franka informował, że coś mu się wydaje nie w porządku. Po krótkiej chwili przyłączyła się do niego cienko i żałośnie suka sąsiadów, Malwa. Śpiąca pod przeciwległą ścianą Teresa poruszyła się i westchnęła. Lucyna pociągnęła mnie za rękę.

— Prędzej! — syknęła i popędziła ku drzwiom. Rzuciłam się za nią nieco zachwiana w przekonaniu o jej szaleństwie.

— Możesz powiedzieć, o co chodzi? — spytałam niespokojnie na schodach.

— Sama zobaczysz. Prędzej! Trzeba uciszyć te psy.

Pistolet siedział za oborą, uniósł łeb i wył z takim zapałem, jakby już dawno z utęsknieniem czekał na okazję. Lucyna przepędziła go groźnym szeptem, energicznie tupiąc. Wyły już co najmniej cztery psy.

— Rozumiem, że wywęszyły twoje znalezisko — rzekłam smętnie. — Nie damy im rady. Co to jest i gdzie?

— Diabli nadali te psy... Tam. Idź i zobacz. Tam, gdzie było rozgrzebane.

Ruszyłam już ku ruinie, ale zatrzymałam się.

— Zależy ci na moim wstrząsie? — spytałam podejrzliwie. — Jeżeli znalazłaś tam prawdziwe zwłoki, niech się przynajmniej nastawię!

— Wstrząs by ci się przydał, prędzej oprzytomniejesz. Owszem, prawdziwe zwłoki. Świeże i w niezłym stanie. Ludzkie.

Nieufnie, otumaniona nieco wszystkim razem: wczesną godziną, psim wyciem i gadaniem Lucyny, zbliżyłam się do ruiny i rzeczywiście... Oprzytomniałam w mgnieniu oka. W miejscu gdzie poprzedniego dnia szukałam klamki, leżał sobie najprawdziwszy w świecie trup. Nie znam się specjalnie na trupach,

ale jeżeli ktoś ma rozbitą głowę i patrzy w niebo nieruchomymi oczami, musi być trupem. Odetchnęłam głęboko, zebrałam całą siłę ducha i mężnie przyjrzałam mu się z możliwie największą dokładnością.

— No? — powiedziała z triumfem stojąca tuż za mną Lucyna. — I co ty na to?

Zabrzmiało to tak, jakby go sama zabiła, i to po długich staraniach, a teraz oczekuje pochwały. Na razie nie wiedziałam, co ja na to. Cofnęłam się, bo widok nie wydawał mi się cudownie piękny.

— Jesteś pewna, że już mu nic nie pomoże? — spytałam trochę niemrawo.

— Absolutnie — odparła Lucyna spokojnie i również cofnęła się kilka kroków. — Ostatecznie, byłam kiedyś pielęgniarką. Sprawdziłam. Zabity na amen.

— Ty go utłukłaś? Rozkopywał ruinę?

— Zwariowałaś? Obudź się wreszcie! Ja go tu znalazłam. Przed chwilą. Trzeba teraz coś zrobić.

— Ale się Teresa ucieszy! — powiedziałam mimo woli. — Pewnie, że trzeba. Trzeba zawiadomić milicję.

— Słuchaj, a może by go przedtem obszukać? Jeżeli znów ma nasze adresy, będzie draka.

— No przecież nie ukradniesz mu, nawet jeżeli ma! Dopiero wtedy byłaby draka! Poza tym ja nie szukam. Szkoda, że nie ma Marka.

Lucyna spojrzała na mnie, jakby tknięta nową, odkrywczą myślą.

— Jak szybko mogłabyś go tu ściągnąć? — spytała pośpiesznie. — Bo chyba teraz już się bez niego nie obejdzie?

— Trzy godziny — odparłam, kiwając potakująco głową. — Ale zacząć musimy od milicji.

— Szkoda! Spróbowałabym dopilnować, żeby przez trzy godziny nikt go nie zobaczył, gdyby nie te psy. Wiedziałam, że coś tu się musi przytrafić, ale nie byłam pewna co i nie przypuszczałam, że tak szybko. Ciekawe, czy to on robił śmietnik, czy ten, kto go zabił. . .

Znów pokiwałam głową. Lucyna rzeczywiście myślała to samo, co ja. W obliczu klamki, łańcucha i krowiej szczęki można było spodziewać się jakichś wy-

darzeń, najwyraźniej w świecie działo się tu coś niezwykłego. Rozejrzałam się i stwierdziłam, że od wczorajszego wieczora teren nie uległ zmianie. A zatem jedno z dwojga: albo szkodnikowi przeszkodzono, usuwając go z tego padołu, albo też szkodnik nie zdążył, zajęty usuwaniem z tego padołu niepożądaney osoby. Albo może ktoś, natknąwszy się na zbrodnię, wołał chwilowo wstrzymać się od działania. . .

— Jednak trzeba to będzie porządnie oczyścić — powiedziałam z przekonaniem.

— To może raczej nie w tej chwili — zauważyła Lucyna trzeźwo. — Rusz się i zacznij coś załatwiać, bo zaraz się tu zleci cała wieś.

Co do wsi, zleciała się zaledwie połowa z uwagi na roboty w polu. Na posterunek MO odległy o półtora kilometra nie pojechałam od razu, najpierw udałam się na szosę, gdzie szczęśliwie napatoczyła mi się cysterna z mlekiem. Kierowca, wielbiciel kryminałów, nie tylko zgodził się zadzwonić w Warszawie pod podany przeze mnie numer, ale usłyszawszy o zbrodni, z wielkim zapałem zaproponował, że przywiezie tego pana osobiście. Na ósmą już tu będą z powrotem. Pochwiliłam pomysł, podziękowałam i cysterna z mlekiem runęła przed siebie z szybkością wzbronioną ciężarówkom.

Odwaliwszy obowiązki wróciłam do domu Franka. Na straży ruinki od strony drogi stał Jędrzek ogromnie zadowolony z niespodziewanej chwili wypoczynku. Stróżowanie przy zwłokach w porównaniu z pracą w polu wydawało mu się samą przyjemnością i bez mała był wdzięczny zabójcy za przysługę. Po drugiej stronie, od pola, zgromadziła się reszta rodziny z wolna przychodząca do siebie po pierwszym wstrząsie. Ciocia Jadzia drżącymi rękami zakładała nowy film do aparatu, zużywszy poprzedni na dokładne opracowanie miejsca zbrodni. Teresa robiła awanturę mnie i Lucynie.

— Czego się miotacie po nocy, jakby was pchły gryzły! Jakieś wycie mnie obudziło, ja z wami nie wytrzymam!

— To nie myśmy wyły — wtrąciła Lucyna niewinnie. — To psy. . .

— Wszystko jedno! Po diabła cię tam zaniósło, czego latasz, zamiast spać?! Robaki masz?! Nie mogłaś poczekać do rana?!

— Nie mogłam, musiałam zobaczyć, co tam jest.

— Rano mogłaś zobaczyć! I w ogóle mógł go znaleźć ktoś inny! Znów będzie na naszą rodzinę!

— Ale przynajmniej będzie mogła pomóc milicji — powiedziała pocieszająco moja mamusia. — Widziała mordercę i wie, jak wygląda.

— Nic podobnego — zaprotestowała kamiennie spokojnie Lucyna. — Wcale nie wiem.

— No jak to, przecież mówiłaś, że widziałaś jego twarz?

— Po pierwsze, to nie była twarz, tylko zamazana, przerażona maska. A po drugie, to nie był morderca.

— Tylko kto?!

— Nie wiem. Obcy człowiek. I nie wiem, po co przyszedł.

— To wiadomo — wtrąciła jadownicie Teresa. — Po tę ozdobną klamkę. Czy wy specjalnie wymyślacie takie rzeczy, żebym ja się przypadkiem na tym urlopie nie nudziła?

— Czekaście, a ten nieboszczyk to kto? — spytałam. — Też obcy? Zna go ktoś z was?

— Franek mówi, że chyba go kiedyś widział — powiedziała moja mamusia, a podpierający oborę Franek westchnął ciężko i machnął ręką. — Ale nie wie, gdzie i kiedy, i milicji się do tego w ogóle nie przyzna. Czy ten Marek zajmie się tym wreszcie jakoś porządnie...?

Milicja przyjechała nawet dość szybko, wyciem syreny poruszając całą okolicę. Lucyna z zimną krwią opowiedziała władzom dwa sny, uzasadniając oględziny zabytkowych ruin w środku nocy. Naszych adresów zwłoki tym razem nie miały. Co miały, tego nam nie wyjawiono, a podejrzec nikt nie zdołał, ponieważ od razu zostaliśmy przepędzeni z zaplecza obory na podwórze. Pies poszedł po śladach do stogu siana pod lasem, a potem na przystanek PKS-u, nie informując jednakże, czy bada ślady ofiary czy mordercy. Ze śladu Lucyny zawrócono go na samym wstępie.

Obecności Marka na miejscu zbrodni domyśliłam się tylko dzięki temu, że cysterna z mlekiem, w tej chwili już bez mleka, w wyścigowym tempie przeje-

chała przez całą wieś, trąbiąc przeraźliwie i rozpędzając drób. Łatwo odgadłam, że wysiadł z niej gdzieś, gdzie nie zwrócił na siebie niczyjej uwagi, co zaś zrobił potem, miałam nadzieję, że się dowiem.

Przybyłe władze przeprowadziły wstępne śledztwo, które pozwoliło nam wzbogacić zasób prywatnej wiedzy. Bez wielkiego trudu pojęliśmy to, co samo wynikało z zadawanych pytań. Nieboszczyk nazywał się Wiesław Turczyn, pochodził prawdopodobnie z Lublina, zamordowano go zaś około trzeciej w nocy, tuż przed inspekcją Lucyny, waląc kamieniem w głowę. Można powiedzieć, że morderca walił, a Lucynie już się śniło. Kamienia nie znaleziono, wszyscy zgodnie uznali, że został utopiony w bagienku. Zbrodniarz skoczył na łąkę, plusnęło i cześć, narzędzie zbrodni diabli wzięli. Pies miałby tu wiele do powiedzenia, gdyby nie to, że w celach rozpoznawczych na łąkę skoczyło także pół wsi.

Liczne pogawędki z miejscową ludnością przyniosły również pewien plon. Pogawędki toczyłyśmy we dwie z Lucyną, reszta rodziny siedziała przed domem w ogródku, który stanowił znakomity punkt obserwacyjny i do którego donosiłyśmy kolejne wieści. Denat był obcy, ale widziano go parę razy. Pojawiał się co jakiś czas, pętał się po wsi, po cmentarzu i po lesie, z nikim nie nawiązywał rozmów, nikt go nie znał, chyba że ksiądz. Ale ksiądz umarł dwa miesiące temu, więc nie da rady go spytać. Wyglądał zwyczajnie i przyzwoicie, żadnych podejrzeń nie budził, nikt właściwie nie zwrócił na niego uwagi. Pierwszy raz pokazał się jakoś tak na wiosnę...

Tuż przed samym odjazdem milicja zadała nam jeszcze jedno pytanie. Zadał je młody sierżant, wysoki i szczupły, sprawiający wrażenie żyłastego. Miał jasne włosy, niebieskie oczy i miłą twarz, na tej twarzy zaś wyraz głębokiej zadumy i jakby zatroskania. Wsiadał już do radiowozu, ale zatrzymał się, obejrzał, zastanowił i wszedł do środka.

— Czy państwo słyszeli może nazwisko Łagiewka? — spytał z nadzieją.

Spojrzeliliśmy na niego, a potem oczy wszystkich skierowały się na Lucynę. Lucyna zmarszczyła brwi, popatrzyła na sierżanta, potem w dal, a potem potrząsnęła głową.

— Nie — rzekła z serdecznym żalem. — Łagiewka... Nie, nigdy w życiu. I z niczym mi się nie kojarzy.

— Szkoda! — powiedzieli równocześnie sierżant i ciocia Jadzia, nie wiadomo, które smutniej.

— A kto to jest? — zaciekawiała się moja mamusia.

— Właśnie nie wiem, czy jest, możliwe, że tylko był — odparł sierżant z westchnieniem. — To jest nie, nic takiego, jak państwo nie znają, to trudno...

Wyszedł na drogę, wsiadł do radiowozu i milicja odjechała, pozostawiając nas w stanie głębokiego niepokoju. Czyżby ulągł nam się nowy Mieniuszko?

Marka znalazłam po południu na cmentarzu. Chodził od nagrobka do nagrobka i z uwagą odczytywał wszystkie napisy. Od strony kościoła przyglądał mu się jakiś gbur w średnim wieku, zajęty naprawą tacek. Poza tym było pusto, słonecznie, wręcz błogo, panował spokój i brzęczały pszczoły. Sielską ciszę zakłócały tylko czynności gbur, polegające głównie na waleniu młotkiem w żelazo, i poskrzypywanie tabliczek nagrobnych, do których dobierał się Marek w celach poznawczych.

— Czyś oszalał? — spytałam z naganą. — Masz już całkiem źle w głowie? Zależy ci, żeby Lucyna znalazła jeszcze i twoje zwłoki?

— Moje zwłoki? Niby dlaczego?

— Nieboszczyk podobno też chodził po cmentarzu i jak teraz wygląda? Dobrze chociaż, że z księdzem nie uda ci się rozmawiać.

— Z księdzem już rozmawiałem.

— Z tym, który umarł dwa miesiące temu?

— Nie, z obecnym.

— No i co? Co tu znalazłeś?

— Groby twoich pradziadków. Wszystkie w ziemi, żadnego murowanego. To dziwne, żeby na takim cmentarzu nie było żadnego solidnego grobowca, żadnej kaplicy. Mieszkali tu gdzieś przecież jacyś hrabiowie. I co? Gdzie ich chowali?

— To ci mogę przypadkiem wyjaśnić. Na starym cmentarzu. Kiedyś nie było tu ani cmentarza, ani kościoła i ludzie latali potwornie daleko do jakiejś tam innej wsi. Przeszło sto lat temu ta tutejsza hrabina ufundowała kościół, traktując to ja-

ko łapówkę, za którą niebo miało ją obdarzyć uczuciami naszego prapradziadka. Niebo nie spełniło obowiązku, prapradziadek nawalił i hrabina ze zdenerwowania popełniła samobójstwo, w testamencie zakazując grzebania hrabiowskich zwłok na tym cmentarzu. W ten sposób cmentarz pozostał do dyspozycji porządnym ludziom, nie skażony obecnością zwyrodniałej arystokracji.

Marek przyglądał mi się podejrzliwie z mieszaniną zainteresowania i obrzydzenia.

— Co za brednie wygadujesz? Wymyśliłaś to w tej chwili?

— To nie ja, to Lucyna. Sprzedaje, jak kupiłam. Z tego wszystkiego faktem jest tylko istnienie kościoła i cmentarza i, jak sam widzisz, nieobecność hrabiów. Aż do wojny grzebali się na starym cmentarzu. Poza tym na kościele nie ma żadnej wzmianki o fundatorze, bo hrabina załatwiła rzecz anonimowo. Lucyna może ci o tym opowiedzieć z licznymi szczegółami. Podobno całą prawdę znał tylko pierwszy ksiądz...

Zamilkłam, bo coś mi przyszło do głowy. Nieboszczyk od wiosny gawędził z księdzem, a ksiądz nie żyje. Umarł jak na zawołanie, akurat we właściwej chwili, żeby nic się od niego nie można było dowiedzieć...

Oderwałam Marka od wygrzebywania z ziemi głęboko zapadniętej, kolejnej tabliczki.

— Słuchaj no, tyś już pewnie zbadał, jak umarł ten poprzedni ksiądz...?

— Nie tak, jak myślisz — odparł natychmiast. — Zwyczajnie umarł, ze starości. Miał przeszło osiemdziesiąt lat i zszargane zdrowie. Nikt go nie mordował. Też mi to przyszło do głowy, więc sprawdziłem. Zaczyna mnie ta cała sprawa ciekawić, możliwe, że pojedę do Lublina...

Zagłębił się w gąszcz zielska przetykanego głogiem i jeżynami, metodycznie penetrując najstarszą część cmentarza. Po co mu to było potrzebne, nie miałam pojęcia. Nie wdzieralam się za nim w tę kłującą dżunglę, zawróciłam do wyjścia i zaczekałam przy bramie. Podniosłam z ziemi długi, cienki patyk i rysowałam nim na piasku rozmaite wzory, usiłując myśleć, ukradkiem obserwując gbura, który mi się nie podobał i który ciągle spoglądał spode łba niezyczliwym wzrokiem.

— Co to za bandzior siedzi pod kościołem? — spytałam, kiedy razem opuściliśmy cmentarz. — Przyglądał ci się cały czas i źle mu z oczu patrzy.

— Tutejszy grabarz. Jak dotąd jeszcze nikomu nic złego nie zrobił, chociaż rzeczywiście wygląda na zbója. Raczej mało towarzyski.

— No, wyraz twarzy ma dla grabarza całkiem stosowny. Słuchaj, milicja wymyśliła nowe nazwisko. Łągiewka. Może już wiesz, kto to jest?

— Wiem. Nazwisko panieńskie matki tego nieboszczyka. Syn Marii, z domu Łągiewka. Lucyna sobie nic nie kojarzy?

— Nic, mimo najszczęśliwszych starań. Nikt nigdy tego nie słyszał. To bez sensu, żeby w takiej rodzinnej sprawie ciągle pojawiały się jakieś obce osoby!

Marek milczał tak długo, że w końcu mnie tknęło. Zatrzymałam się na piaszczystej drodze i obejrzałam na niego. Wyraz twarzy miał niewinnie przekorny, a wzrok pełen rzewnej zadumy, co niechybnie oznaczało, że dokonał już jakichś sensacyjnych odkryć. Równie pewne było, że nic mi nie powie.

— Mówże coś! — zażądałam pomimo to niecierpliwie. — Przecież widzę, że coś wiesz! Nie ruszę się stąd, póki czegoś nie powiesz!

— Ruszysz się, ruszysz. Długo na tym upale nie wytrzymasz. Ale trochę ci mogę powiedzieć. Bardzo możliwe, że te obce osoby okażą się wkrótce wcale nie takie obce...

Uzczęśliwiwszy mnie tą wyczerpującą informacją, poszedł spokojnie dalej w kierunku domu. Ruszyłam się oczywiście. Nikt by długo nie wytrzymał na żywym słońcu, pośrodku zakurzonej drogi...

* * *

W dwa dni później po śmietniku za oborą nie było najmniejszego śladu. Machnęliśmy tę robotę wspólnymi siłami między porankiem a wieczorem, z zainteresowaniem oczekując skutków. Niepokój co do słuszności naszych poczynań prezentowała tylko Teresa.

— Ja nie wiem, czy my dobrze robimy — powiedziała z obawą. — Znów ktoś kogoś zabije...

— A cóż to ma do rzeczy? — zdziwiła się Lucyna obłudnie. — Zabijać się będą niezależnie od naszych porządków. Poza tym przy Mieniuszce, o ile wiem, nikt tu nie sprzątał. Jedno z drugim nie ma nic wspólnego.

— Właśnie nie wiem...

— To się jutro przekonasz.

— A przy okazji może nam się uda znaleźć tę starą studnię — dodała zachęcająco moja mamusia.

— Ale jeśli jutro rano będzie tu leżał nowy trup... — zaczęła Teresa buntowniczo.

— A co, wolałabyś starego trupa? — zaciekała się Lucyna. — W tym upale z dwojga złego lepszy jest nowy...

Teresa pośpiesznie porzuciła temat. Na uboczu uzgodniłam z Lucyną, która z nas powinna znaleźć się tu o świcie, żeby odpowiednio ustosunkować się do ewentualnych zmian, po czym bez trudu nakłoniłam ciocię Jadzię do uwiecznienia prześlicznie oczyszczonego terenu. Lucyna miała wielkie nadzieje i niecierpliwie oczekiwała poranka.

Nazajutrz okazało się, że żadne zmiany nie zaszły. Ogołocone z żelastwa i śmieci zaplecze obory pozostało nietknięte. Moja mamusia triumfowała, Lucyna była głęboko rozczarowana.

— No i co teraz? — powiedziała trochę bezradnie. — Tyle roboty odwalone i nic?

— Wygląda na to, że przeszkadzał ten nieboszczyk — odparłam niepewnie.

— No, ale ktoś go przecież zabił! Liczyłam na jakiś dalszy ciąg! Coś tu się przecież dzieje...

Przez chwilę w milczeniu przyglądałyśmy się mojej mamusi, która błąkała się po byłym śmietniku, patrząc pod nogi i gdzieniegdzie wydziabując swoim nożem małe dołki. Twardo ubita ziemia robiła takie wrażenie, jakby mógł jej dać radę tylko kilof.

— Trzeba będzie chyba coś zrobić — powiedziałam z westchnieniem. — Nie możliwe, żeby ten jakiś nagle zrezygnował. Też uważam, że coś się dzieje, i im więcej tego, tym prędzej uda nam się odgadnąć co. Na razie nie mogę pojąć, o co mu właściwie chodzi.

— No więc róbmy coś! — zapaliła się Lucyna. — Możemy rozkopywać ruinę!

— Ruinki mi trochę szkoda, zawsze to zabytek. . .

— Może nie trzeba będzie rozkopywać dużo, może on się wtrąci od razu. Nie zostawimy tego przecież w połowie!

Z tym ostatnim zdaniem zgodziłam się bez wahania. Stałam pod ścianą obory, gapiłam się na udeptany grunt i nie przychodziło mi do głowy nic poza tym, że koniecznie trzeba coś zrobić.

— Żadnego śladu nie ma, gdzie ona się mogła podziać — powiedziała z niezadowolaniem moja mamusia, prostując się nad kolejnym wydziabanym dołkiem. — Gdzieś tu przecież musi być góra.

— Jaka góra? — zainteresowała się Lucyna.

— Góra studni. Resztki cembrowiny. Myślałam, że bez śmieci już się ją łatwo znajdzie. . .

— Ach. . . ! — powiedziała Lucyna.

Spojrzałyśmy na siebie jednakowo uszczęśliwione pomysłem. Oczywiście, możemy przecież szukać studni! Przyczyny poszukiwań nie mają żadnego znaczenia, nich je sobie wyjaśnia moja mamusia. . .

Śmiertelnie zaskoczona Teresa nie kryła obaw co do stanu naszych umysłów. Zdumiewał ją nie tyle zapal najstarszej siostry, która od dawna tęskniła do studni, ile fakt, że obie z Lucyną zaczęłyśmy ją nagle popierać z niezwykle gwałtownością. Uczepiłyśmy się studni jak rzep psiego ogona. Nie bacząc na dziki upał i wonie z obory, wszystkie trzy dziabaliśmy skamieniały grunt raz koło razu, zachęcając do udziału w tym niezwykle przedsięwzięciu także Teresę i ciocię Jadzię. Ciocia Jadzia zaczynała się łamać, Teresa twardo odmawiała.

— A jak ją znajdziemy, możemy ją nawet rozkopać — wyszeptła do mnie Lucyna, ocierając pot z czoła. — Co nam szkodzi, może coś z tego wyniknie. . .

— Byle szybko — odszepnęłam. — Inaczej trupem padniemy na tej patelni. . .

— Wszystkie do reszty zwariowały — orzekła ze zgrozą Teresa, widząc, iż ciocia Jadzia sięga po widły. — Upał wam się rzucił na mózg. Ja stąd idę, ja się boję obłąkanych. . .

Opoka za oborą poddała się dopiero po zaangażowaniu do pomocy Jędrka. Żniwa się jeszcze nie zaczęły, łąka została skoszona, Franek zatem, wtajemniczony w poglądy Lucyny i moje, zdenerwowany nieco sytuacją i coraz bardziej skołowany, oddelegował syna do dziabania. Jędrak dość szybko natrafił na kamienny krąg, będący szczątkiem starego obmurowania, i od razu, z rozpędu, zaczął z niego wygrzebywać najrozmaitsze śmieci.

Do zachodu słońca udało nam się wykopać dół głębokości przeszło pół metra, nazajutrz zaś nasze osiągnięcie okazało się całkowicie zniweczone. Dół nie istniał, wypełniały go kamienie z ruinki.

Zostałam siłą wyrwana ze snu i dowleczona za oborę, gdzie nad zasypaną dziurą bulgotały rodzinne temperamenty. Lucyna pokwikiwała z uciechy. Teresa wymyślała swoim siostronom od tępych dyń, zakutych pał i kapuścianych głabów, dopytując się natrętnie, kiedy im wreszcie zaświta, że tu jakiś zbir zakrada się noc po nocy z niedwuznacznym zamiarem wymordowania całego społeczeństwa. Ciocia Jadzia z wypiekami na twarzy pstrykała aparatem, bąkając przy tym nerwowo jakieś przypuszczenia co do Lucyny, która jak wiadomo lubi latać po nocy, a inwencji nigdy jej nie brakowało. Lucyna wyłącznie dla draki rzuciła podejrzenia na mnie, twierdząc, że podstępnie stwarzam sensacje niezbędne mi do następnej książki. Teresa zaczęła się wahać co do zbira. Jędrak chichotał na uboczu.

W moją mamusię wstąpiło nagle złe i odezwał się w niej charakter przodków.

— Wszystko mi jedno, kto to robi, ja temu łobuzowi nie daruję! — rzekła mściwie i z zaciętością. — Jędrak, wydłubujemy to!

Jędrak od razu przestał chichotać. Teresa wydała z siebie rozpaczliwy jęk i zafłamała ręce. Lucyna twardo poparła zdanie starszej siostry, judząc ją przeciwko łobuzowi i zachęcając do kopania. Poszłam w jej ślady, wyraźnie już widząc, że wszelkie nasze poczynania za oborą wywołują żywą reakcję tajemniczego przeciwnika, który być może popełni w końcu jakąś nieostrożność i ujawni się, co po-

zwoli na rozwikłanie zagadki. Innej drogi nie było. Przelotnie zaciekawilo mnie, jaki też skutek dałoby rozbieranie obory, ale z góry wiedziałam, że tego nie sprawdzę, ponieważ trzy niewinne krowy Franka nie mogły zostać bez dachu nad głową. Mimo wczesnej pory zaświtała mi myśl, że uporczywa wojna o dziurę prędzej czy później stworzy możliwość zastawienia na bandytę pułapki.

Marek zjawił się z nowymi wiadomościami akurat, kiedy konfliktowy obiekt ponownie osiągnął głębokość trzech czwartych metra. Przyjrzał się naszej pracy z takim wyrazem twarzy, że odnoszony właśnie na bok żeliwny, dziurawy sagan wyleciał mi z rąk. Czym prędzej wyjawiałam mu prawdziwe przyczyny naszego niezwykłego upodobania do katorżniczej pracy i napomknęłam o pułapce. Lucyna rzuciła we mnie połową kuchennej fajerki, gniewnym gestem brody wskazując Teresę.

— Nie słuchaj jej, ona się wygłupia. . . — zaczęła z przekonaniem.

— Już dawno zgadłam, o co im tu chodzi — przerwała rozgoryczona Teresa.

— Skarbu szukają, akurat! Mnie oczu nie zamydlicie, dobrze wiem, że liczycie na następnego trupa!

— Jakiego trupa? — zdziwiła się moja mamusia. — Nic o tym nie wiem, żeby dziadek zasypał w studni jakiegoś trupa. . . Zresztą, on już byłby bardzo stary.

— To na co ci ten stary trup?!

— Mnie na nic. Ja go wcale nie szukam. . .

— Dobrze, już dobrze — powiedziała ugodowo Lucyna. — Wcale nam nie chodzi o trupa, tylko o wyjaśnienie tajemnicy. Wszystko jedno co robimy, grunt, żeby coś zrobić, bo tylko dzięki temu sprawa się posuwa. . .

— No — przyświadczyła zjadliwie Teresa. — Już dwóch. . .

— Odczep się. Chcesz tak zostawić to coś, co mamy oddać uczciwym ludziom? Franek się męczy, o duszy stryja już nie mówię. . . Chyba że Marek się czegoś dowiedział. . . ?

Wszyscy przypomnieli sobie nagle, że Marek przywiózł jakieś informacje. Ze szczerą ulgą oderwali się od katorżniczej pracy dla wysłuchania sensacyjnego komunikatu. Marek zgodził się mówić.

Znaleziony w naszej ruinie nieboszczyk rzeczywiście nazywał się Wiesław Turczyn, rzeczywiście mieszkał od urodzenia w Lublinie, tamże pracował, wszyscy go znali, dokumenty miał prawdziwe i nie był szpiegiem obcego mocarstwa. Żył samotnie, rodziców nie posiadał, bo umarli, miał w zamian trzy narzeczone i macochę mieszkającą oddzielnie. Nazwisko Łagiewka istotnie było nazwiskiem panieńskim jego matki.

— A ta matka podobno pochodziła z tych stron — relacjonował Marek z jakąś podejrzaną satysfakcją. — W czasie wojny została stąd wywieziona jako dziecko, jej rodzice zginęli, ale ona się uratowała. Wyszła za mąż za faceta z Lublina i w Lublinie zamieszkali. Jej rodzice podobno byli pochodzenia żydowskiego, ściśle biorąc matka. Ojciec nie. Ojciec był notariuszem w Węgrowie. . .

— Zaraz — przerwała Teresa. — Ja się gubię. Czyj ojciec?

— Tej matki z domu Łagiewka. Dziadek waszego nieboszczyka. Był notariuszem w tych stronach i możliwe, że miewał jakieś interesy z waszymi przodkami. Coś w tym musi być, że pokazują się tu osoby z dawnych czasów, najpierw wnuk Mieniuszki, teraz wnuk Łagiewki. . .

— I wszystkich trafia szlag! — wyrwała się Lucyna z nietaktowną uciechą. — Pewnie kłątwa!

— Nie żadna kłątwa, tylko ktoś tu na nich czyha — skorygowała moja mamusia. — Narazili się komuś w tamtych dawnych czasach. . .

— I tak czyha na nich całe dziewięćdziesiąt lat, co? — powiedziała zgryźliwie Teresa. — Uważasz, że ten morderca to co to jest? Zgrzybiały staruszek?

— Dlaczego? Tamto byli wnukowie ofiar, to może być wnuk mordercy. . .

— Znaczy, chcesz powiedzieć, że morderca może być wnukiem dziadka? — poprawiła niepewnie ciocia Jadzia.

— Jakiego dziadka? Naszego?

— Co ty bredzisz, nasi dziadkowie byli porządnymi ludźmi! — oburzyła się Teresa.

— Uspokójcie się z tymi dziadkami! — zażądałam, bo zaczęło mi się wszystko mylić. — Każdy wnuk ma jakiegoś dziadka! Morderca też jest czyimś wnukiem, ale po tym go nie poznamy. . .

— A ty go chcesz poznać? — zdziwiła się moja mamusia. — Po co ci takie znajomości?

— Ratunku — powiedziałam słabo i chwilowo zamilkłam.

Marek również zamilkł. Zajrzał do dziury, po czym porzucił towarzystwo i zajął się oględzinami terenu. Lucyna, coraz bardziej uszczęśliwiona tajemnicą, upierała się przy kłątwie, bliska sugestii, jakoby zbrodnie popełniał duch, wampir lub też inna postać nadprzyrodzona. Ewentualnie któryś przodek przemienił się w wilkołaka i załatwia teraz rozpoczęte za życia porachunki. Posępna i zde gustowana Teresa z niechęcią przyznawała, że chyba jednak rzeczywiście posiadamy coś cennego, co trzeba oddać, inaczej bowiem dojdzie do hekatomb, a pojawienie się w imprezie notariusza tylko pogarsza sytuację. Ciocia Jadzia, mająca jakieś złe doświadczenia z notariuszami, przyświadczała jej gorliwie. Moja mamusia zlekceważyła zarówno notariusza, jak i wilkołaka, nie obchodziło jej nic poza studniami.

Niemniej sedno rzeczy zaczynało się jakby klarować. Musiało się w owych czasach wydarzyć coś, czego stryj Antoni nie zdołał wyjawić na łożu śmierci, choć z pewnością wiedział, co to było. Pojawiający się coraz to nowi potomkowie być może wiedzieli również, nie istniała jednakże szansa, że cokolwiek powiedzą. Obowiązek rozwikłania sprawy spadł na nas i, było nie było, należało mu sprostać, szczególnie że ów tajemniczy depozyt obciążał nasze sumienia. Przypuszczenie, iż cenny przedmiot stanowiła zaginiona ozdobna klamka i jej to właśnie pożywał morderca, wydawało się mało prawdopodobne.

W ten sposób, zamiast czym prędzej opuścić okolicę, w której ściele się trup za trupem, a zbrodniarz dyszy zza węgła, wbrew logice i zdrowemu rozsądkowi, wszyscy postanowiliśmy pozostać na miejscu bardzo zgodnie, acz każdy w innych intencjach. Lucyna zreflektowała się nieco i jeła starannie dozować posiewy paniki, żeby przypadkiem nie przesadzić i nie wypłoszyć swych siostr z tak niezwykle atrakcyjnego terenu. Poruszona wizją znękaney duszy stryja Antoniego Teresa załamała się i poniechała protestów.

Marek nie zdradził nam swoich poglądów, ale w bierności nie wytrwał. Po południu, bez żadnego nacisku, przystąpił do pracy. Obaj z Jędrkiem do wieczoru

wydlubali dziurę głębokości dwóch metrów. Kamienie i rozmaite żelastwo utworzyły malowniczy stos.

— No, tego już chyba ten bandyta nie da rady zasypać — powiedziała z satysfakcją moja mamusia, zagładając w głąb.

— Owszem, da radę — odparł Marek i pomógł Jędrkowi wyleźć na górę. — Nawet bez wielkiego trudu.

— Jak to? To co zrobimy?

— Nic. Zobaczymy, co on zrobi.

Jędrzek spojrział na Marka z wyraźnym niesmakiem i skrzywił się boleśnie. Ciocia Jadzia ustawiła się plecami do zachodzącego słońca i zrobiła kilka zdjęć. Moja mamusia znów zajrzała do dziury.

— Tyle wykopane! — westchnęła. — Co by tu zrobić?

— Mieliśmy zastawić pułapkę — przypomniała Lucyna.

— Taką na myszy? — zainteresowała się ciocia Jadzia, zamykając aparat.

— I szczury — mruknęła zgryźliwie Teresa. — Nie wiem, co tu chcecie zastawiać, chyba wilcze paści czy jak tam się to nazywa. . .

— Wilczych nie mamy — ożywił się Jędrzek. — Są tylko takie na zające, ale nie mówcie ojcu, bo już mnie za to kiedyś sprął. Zresztą, i tak się nie zdadzą.

— To może wilczy dół? — zaproponowała moja mamusia.

— Nad wilczym dołem właśnie stoisz. . .

— Wszyscy się mieli zastanowić i co? — powiedziałam z wyrzutem.

Odpowiedniego rodzaju pułapki nikomu się jakoś nie udało wymyślić, padła zatem propozycja stróżowania nad dziurą przez całą noc. Zaprotestowały z wielką gwałtownością dwie osoby: Marek i Teresa.

— Głupie jesteście potwornie! — wykrzykiwała Teresa, waląc się pięścią w czoło. — Zaćmienie umysłowe was opętało! Przecież ten bandyta wymorduje nas tak samo, jak zabił tego, jak mu tam. . . no, wnuka notariusza! Na głowę trzeba upaść, żeby mu tu w zęby włązić!!!

— W jakie zęby, on nie gryzie. . .

Marek ostro poparł Teresę.

— W ogóle mowy nie ma! Nie będę was tu do rana pilnował, ja też się muszę przespać!

— Nie nas masz pilnować, tylko studni — poprawiła Lucyna.

— Akurat! A rano znajdziemy nowe zwłoki, tak?

— Oj, co on się taki lękliwy zrobił! — powiedziała z niezadowoleniem moja mamusia.

— On jeden ma trochę rozumu! — wrzasnęła Teresa.

— Ale rozum, ho, ho! Tyle roboty ma się zmarnować! Pół studni wykopali, żeby teraz głupi bandyta zasypał!

— Kretynki skończone! Czy wy ciągle nie możecie pojąć, że on was pozabija?!

— Mnie nie zabije — oświadczyła Lucyna stanowczo.

— Bo co?! Masz z nim taką umowę?!

— Nie. Ale ja się schowam. Wcale nie zamierzam pętać mu się pod nosem.

W ogóle mnie nie zobaczy.

— Bardzo dobrze — pochwaliła moja mamusia. — Ja też się schowam.

Teresa zaczęła jęczeć i chwytać się za głowę.

— I co ci z tego przyjdzie, że się schowasz, głupia jesteś, ty będziesz schowana, a on zawali studnię! A tylko mu się pokaż!

Lucyna wzgardliwie wzruszyła ramionami, moja mamusia prychnęła lekceważąco.

— Już się rozpędziłam, żeby mu się pokazywać. Jak tylko zobaczę, że przyszedł, wystraszę go.

— Jak?!

— Zwyczajnie. Zaryczę na niego tak... uuuuuuu! I zobaczycie, że ucieknie.

— Matko święta! — powiedziała Teresa ze śmiertelną zgrozą.

Pomysł wydał mi się wcale nie taki zły, postanowiłam przyłączyć się do tego chowania. Ciemno będzie, ale księżyc przecież trochę świeci. Schowam się w samochodzie i na widok obcej sylwetki zacznę trąbić. Ciocia Jadzia zerwała sojusz z Teresą i drżącym głosem wyraziła chęć przystąpienia do chowającej się ligi. Marek przez chwilę wyglądał tak, że do produkcji nowych zwłok żaden bandzior

nie wydawał się już potrzebny, ale nagle jakby zmienił zdanie. Przyjrzał się nam z rezygnacją i machnął ręką.

— W porządku, niech wam będzie. Ale pod warunkiem, że ja wyznaczę kolejność tego chowania. I żadna nie ma prawa wyłazić za oborę, możecie podglądać z podwórza. . .

Teresa i ciocia Jadzia poszły na pierwszy ogień. Kryjówkę znalazły sobie w ogródku przed domem, pod krzakiem bzu, gdzie ustawiły dwa stołeczki. Miejsce wydawało się bezpieczne, bo ogródek był otoczony parkanem, a rodzina spała w pobliżu, tuż za otwartymi oknami, ponadto od zagrożonego terenu oddzielała je część podwórza i obora. Rzeczywiście, wróciły żywe.

Odsiedziałam swoje w samochodzie, wdychając wonie nocy połączone z woniami chlewni i gapiąc się na przejście między oborą a stajnią. Księżyc istotnie świecił, we wsi niekiedy poszczekiwały psy, na łące rechotały żaby, a w oborze czochrały się i pobrzękiwały łańcuchami krowy. Poza tym nie działo się nic i panował święty spokój. Obudziłam w końcu Lucynę i poszłam spać.

Przed wschodem słońca dziki rejwach wybuchł w kurniku. Z potwornym wrzaskiem wyleciały z niego wszystkie kury, kaczki i gęsi. Cały dom stanął na równe nogi, wypadliśmy na podwórze, zderzając się ze sobą, ze stodoły wyskoczył Jędrzek uzbrojony w grabie.

Drób latał po obejściu, sypiąc pierzem. Z kurnika wyszła moja mamusia, przyprószona nieco plewami, ze złamaną żerdzią w ręku.

— No i po co tu wszyscy lecicie? — spytała niecierpliwie. — Teraz ja stróżuję. Nikt wam nie kazał się budzić. . .

Dość długa chwila upłynęła, zanim udało nam się dowiedzieć, że moja mamusia postanowiła schować się w kurniku, gdzie potknęła się o niewidoczny w mroku cebrzyk. Runąwszy na grzędy, zamiast bandyty przeraziła śmiertelnie drób oraz całą rodzinę. . .

Komisyjne oględziny studni pozwoliły stwierdzić, że mimo tak znakomitego pilnowania spłynęła się o przeszło pół metra.

— Można wiedzieć, gdzie ty się schowałeś? — spytała słodko Teresa, odwracając się do Lucyny.

— W oborze — mruknęła Lucyna.

Odwrociłam się do niej również z wielkim zainteresowaniem.

— Jedyne rozsądne miejsce. Co widziałaś?

— Nie powiem. Nie będę się wyrażać.

— To może chociaż coś słyszałaś?

— Owszem. Krowy. Czochrały się, szeleściły, stękały, brzęczały...

— To po diabła tam w ogóle polazłaś? — zirytowała się Teresa.

— Żeby się schować. I żeby obejrzyć bandytę.

— A co, on też miał przyjść do obory? Umówiłaś się z nim?

Przyciśnięta do muru Lucyna wyznała w końcu niechętnie, że jeszcze w dzień wypatrzyła w oborze szparkę między deskami. Przez tę szparkę zamierzała obserwować kawałek terenu między studnią i ruiną, niestety, szparka jej gdzieś zginęła. W ciemnościach nie mogła jakoś trafić na właściwe deski i spędziła czas na wydłubywaniu innej szparki. Przedłubała się na wylot akurat, kiedy jej dyżur dobiegł końca.

— Toś sobie świetne miejsce znalazła! — prychnęła urągliwie Teresa.

— A ty może znalazłaś lepsze, co?

— Pewnie, że lepsze! Myśmy przynajmniej coś widziały!

— Tak jest — przyświadczyła ciocia Jadzia z przejęciem. — Możliwe, że to był nawet on! Ten bandyta!

— Jak to?! I dopiero teraz to mówicie?!

Teresa i ciocia Jadzia z triumfem stwierdziły, że one jedyne odniosły sukces, przy czym wcześniej nie zdawały sobie z tego sprawy. Tuż przed zapadnięciem kompletnych ciemności widziały jakiegoś gbura, który przelazł przez drogę i poszedł na łąkę. Co uczynił potem, nie wiadomo, możliwe jednak, że wrócił i zawałił studnię, wykorzystując zamknięcie Lucyny w oborze. Przedtem łąził, badając sytuację...

Opowieści o poczynaniach gbura przerwał Marek.

— Możecie sobie dać spokój, ten gbur to byłem ja — rzekł zimno. — Chciałbym wam zadać jedno pytanie...

— No wiesz! — powiedziała z oburzeniem ciocia Jadzia.

— A ja się dziwiłam, że tak się zgadzasz na to stróżowanie! — wykrzyknęłam.
— Powinnam się była domyślić!
— I co? — zainteresowała się Lucyna. — Widziałeś coś?
— Nic ważnego. Chciałbym wam zadać. . .
— Ja więcej nie stróżuję! — oznajmiła gwałtownie Teresa. — Wypraszam sobie, żeby on tu ze mnie głupią robił!
— Z nas wszystkich zrobił, to co ci to szkodzi — pocieszyła ją moja mamusia.
— Chciałbym usłyszeć od was odpowiedź na jedno pytanie — powtórzył Marek głosem nieco znękanym.
— Jeżeli ma być konferencja, to ja usiądę — powiedziała stanowczo Lucyna.
— Na stojąco obrad prowadzić nie będę!
Obejrzała się, sięgnęła po połówkę denka od beczki, ułożyła je sobie na kamieniach i usiadła. Poszłyśmy za jej przykładem, wykorzystując w charakterze foteli rozmaite przedmioty. Marek pozostał nad dziurą.
— Czy ja się mogę od was dowiedzieć. . . — zaczął.
— Nie spychaj mnie! — prychnęła moja mamusia do Teresy. — Tu mi się deska kończy!
— Kto cię spycha, to ty mnie spychasz! Półgębkiem siedzę!
— Spróbuj usiąść tyłkiem — podsunęła Lucyna.
— Ja chyba z wami nie wytrzymam — powiedział Marek z wyraźnym akcentem rozpaczy.
— O to, to! — przyświadczyła Teresa gorliwie. — Właśnie, ja to samo mówię!
— Ale pozwólcie mu wreszcie zadać to jedno pytanie! — zniecierpliwiła się ciocia Jadzia. — Ja jestem ciekawa, czego on się chce dowiedzieć!
— Mów i nie zwracaj uwagi na drobiazgi — poradziłam. — Ja im powtórzę, jeśli nie dostyszą. Spokoju się przecież nie doczekasz.
Marek westchnął i popatrzył w głąb dziury.
— Chciałbym się dowiedzieć, dlaczego właściwie rozkopujecie tę studnię?
Przez bardzo krótką chwilę panowało milczenie.
— Tam była wyjątkowo dobra woda — odezwała się trochę niepewnie moja mamusia.

— Dziadkowi wleciał tam złoty zegarek — rzekła tajemniczo Lucyna. — Warto by go wydostać. . .

— A może babci rozerwała się kolia z pereł, co? — rzekła zjadliwie Teresa. — Też ją warto wydostać.

— A wiecie, że to jest doskonały pomysł! — pochwaliłam, zanim Marek zdążył otworzyć usta. — Coś przecież musimy mówić, w razie gdyby nas ktoś zapytał, po jakiego diabła rozkopujemy studnię!

— Jak to, przecież Marek właśnie zapytał — przypomniała ciocia Jadzia. — I mam wrażenie, że mówicie jakieś głupstwa. . .

Marek oderwał wzrok od dziury i popatrzył na nas.

— Owszem — przyznał. — To się może przydać, bo nie ulega wątpliwości, że ktoś się w końcu zainteresuje. Moje pytanie było retoryczne, wiem, że liczycie na zwabienie wroga. Ale ciekaw jestem, czy on dałby się zwabić czym innym, czy mu chodzi tylko o studnię, czy też w ogóle przeszkadza robić tu cokolwiek. . .

— Zapytaj go — poradziła życzliwie Lucyna.

— Myślałam już o rozbieraniu obory, ale nie da się ze względu na krowy — powiedziałam równocześnie. — Masz jakiś pomysł sprawdzenia?

— Nie, mam pomysł pułapki, ale o tym za chwilę. Czy nie przyszło wam do głowy, że musi być jakiś powód, dla którego ktoś bruździ akurat tutaj?

— Przyszło nam, właśnie chcemy odgadnąć ten powód — odparła żywo Lucyna. — Cały czas przecież wiemy, że istnieje tajemnica.

— Właśnie. Była mowa o jakimś zaginionym depozycie. Ojciec Franka dał do zrozumienia, że to coś, co trzeba oddać, znajduje się tutaj. Gdzie, przecież nie w studni!

— Do czego zmierzasz? — spytałam nieufnie.

— Do tego, żeby połączyć jedno z drugim. Dać spokój tej studni i zacząć na przykład rozkopywać ruinę. Być może rzeczywiście coś tu zostało schowane, zacznijmy tego szukać z jakimś sensem, a przy okazji zobaczymy, co zrobi nasz przeciwnik. Ta ruina podobno ma piwnice. . .

— W piwnicach nic nie ma — przerwała stanowczo moja mamusia. — Znam te piwnice doskonale, wszystkie dzieci się tam bawiły. Franek też je zna. Nic tam nigdy nie było.

— Skąd mama wie?

— Sama widziałam.

— Ale to mogło być ukryte dawno! Zamurowane!

— Zamurowanego nic tam nie ma. Sam kamień. Jak mówię, że widziałam, to widziałam.

— Przestańcie się kłócić — zażądałam stanowczo. — Tu trzeba drogą dedukcji. Gdzie ci się wydaje logiczne schować coś w tamtych dawnych czasach? Bezpiecznie schować?

— No, nie w studni przecież! — warknął Marek.

— A gdzie?

— W różnych miejscach! Zamurowywano w grobowcach, piwnicach, zakopywano w ziemi!

— W studni wydaje ci się najbardziej bez sensu?

— Oczywiście!

— W takim razie moja mamusia ma rację. . .

— No proszę! — wtrąciła z triumfem moja mamusia.

— Cicho bądź, bo cię zepchnę! — zgromiła ją Teresa.

— Jeżeli zgadujemy, co mogła przed laty zrobić nasza rodzina, musimy przyjąć ewentualność najmniej logiczną i najbardziej bez sensu — ciągnęłam w natchnieniu. — Jest coś w tej rodzinie, co, jak sam widzisz, przetrwało do dziś dnia, że zawsze postępowano odwrotnie, niż wymagał rozsądek. Nawet w czasie ostatniej wojny moja babcia całą rodzinę zagnała pod pociski. Wszyscy ludzie lecieli w jedną stronę, a nasza rodzina w drugą, akurat tam, gdzie te pociski padały. Że już nie wspomnę o innych wydarzeniach. Jeżeli cokolwiek jest tu schowane, z pewnością jest schowane kompletnie bez sensu. Co prawda ta jakaś dziwna właściwość przechodzi z pokolenia na pokolenie po żeńskiej linii, ale zwracam wam uwagę, że w tę szopkę wplątana jest moja prababcia. Czyli, chociaż tu jest posiadłość pradziadka, to jednak żeńska linia miała coś do gadania.

— Ona całkiem niegłupio mówi — pochwaliła mnie Lucyna. — Ciekawe, skąd jej się to wzięło. . .

Marek nie wydawał się przekonany w pełni. W zadumie popatrzył na nas, potem w głąb dziury, a potem w dal. Dal widocznie przemówiła do niego, bo nagle podjął decyzję.

— W porządku, niech wam będzie. Rozkopiemy to do końca i będziemy mieli spokój. O pułapce powiem w domu. . .

Do pułapki niezbędny okazał się aparat fotograficzny z fleszem. Aparat miała na miejscu ciocia Jadzia, flesz mogłam pożyczyć od przyjaciół w Warszawie. Jako miejsce stróżowania przewidziany został dach obory. Na belkach pod dachem należało zrobić pomościk, w dachu dziurę, przez dziurę wystawić odpowiednio wycelowany aparat, poczekać, aż przeciwnik przyjdzie, i zrobić mu gustowną podobiznę przy pracy. Złapanemu na gorącym uczynku bandycie można by potem zadać kilka pytań. . .

Do wykonania pomościku i dziury Marek przystąpił od razu. Po flesz mogłam pojechać dopiero za trzy dni. Był akurat piątek, nazajutrz wypadła wolna sobota, wiedziałam, że aż do poniedziałku nikogo z przyjaciół w domu nie zastanę. Zaproponowałam, żeby na razie doprowadzić nad dach obory instalację elektryczną, przyczepić silną żarówkę i zapalić ją w odpowiedniej chwili. Pomysł upadł przez brak silnej żarówki, Franek miał w domu tylko jedną setkę, a sklepy w Węgrowie dysponowały akurat wyłącznie sześćdziesiątkami. Do innych sklepów zdążyłabym już po ich zamknięciu. Poza tym Marek upierał się przy fleszu, twierdząc, że samo oglądanie złoczyńcy nic nam nie da i bezwzględnie musimy zdobyć jego fotografię, która posłuży później jako dowód rzeczowy. Zaczęłam podejrzewać, że wie coś więcej, nocna wycieczka w charakterze gbura przyniosła jakieś rezultaty i, być może, nawet kogoś widział. . .

Franek znosił nasze poczynania z anielską cierpliwością, powiadomiony zaś o rezultatach rozważań ożywił się nikłą nadzieją. Ukrywanie czegokolwiek w studni wydawało mu się wprawdzie dość idiotyczne, ale nie można było wykluczyć, że jakiś promyk błysnie w posępnych mrokach tajemnicy. Zdecydował się wziąć udział w obłąkaństwie i zaproponował nocną pracę z soboty na niedzie-

łę. W niedzielę niby też można, ale lepiej nie, bo się zrobi sensacja i cała wieś stanie nam nad karkiem.

— Ale przecież do soboty on to zdąży zawalić! — oburzyła się moja mamusia.
— I co, zaczynać od początku?

— Sobota jest jutro — zauważyła cierpko Teresa.

— No to co? Będzie miał całą noc.

Franek machnął ręką.

— Niech zawala, czort z nim. We trzech odwalimy. . .

— Ciemno będzie — ostrzegła Lucyna. — Może was pozabijać.

— Wszystkich trzech? Z rozpylaczem przyjdzie? I tak musimy się zmieniać, to zawsze jeden będzie uważał. . .

— Jakby nie zawalił dzisiaj, to i cała noc niepotrzebna — westchnął Jędrrek.
— Wystarczyłoby od świtu, parę godzin i już. . .

— Lepiej zacząć z wieczora. Przyświecimy sobie trochę, słabe te żarówki, bo słabe, ale zawsze coś dadzą. Mam tu gdzieś kawałek przewodu, to się podłączy. . .

Marek nieoczekiwanie poparł Franka. Jego zdaniem dzisiejsze ewentualne zawalenie studni nie miało żadnego znaczenia, dadzą sobie radę nawet z całą jej zawartością, można złoczyńcy zostawić swobodę działania. Nie miałam najmniejszych wątpliwości, że stara się usunąć z drogi rodzinę, żeby zostawić swobodę działania sobie. Byłam pewna, że zamierza zacząć się gdzieś w ciemności i złapać zbira własnoręcznie, na wszelki wypadek nie czyniąc mu wielkiej krzywdy, nie zostało bowiem niezbitcie stwierdzone, iż morderca i szkodnik to jedna i ta sama osoba. Kto inny mógł popełniać zbrodnie, a kto inny zawalać dziurę. . .

Moja mamusia nie odezwała się już ani słowem, znikła z horyzontu i pojawiła się dopiero przy kolacji. Lucyna przyjrzała się jej i dość gwałtownie odwróciła się do mnie.

— Jezus kochany — powiedziała szeptem w panice. — Twoja matka coś zmalowała. Popatrz, jak wygląda!

Moja mamusia miała szelmowski błysk w oku i skrywaną radość na twarzy. Usiadła przy stole ożywiona i zadowolona.

— Kurczę blade, napsociła — zawyrokowałam z troską. — Żeby tak zgadnąć, co zrobiła, zanim się objawia jakieś skutki. . .

— Spróbujmy dyplomatycznie. . .

Nie zgadłyśmy. Podstępne pytania i niezmiernie dyplomatyczne supozycje nie dały żadnych rezultatów, moja mamusia z niewinnym zdziwieniem wypierała się wszystkiego. Dopiero Jędrak, który przybył do kuchni ostatni, dał nam coś niecoś do myślenia. Spoglądał na moją mamusię tak wyraźnie stropiony, że zaraz po kolacji obie z Lucyną wzięłyśmy go na stronę.

— Ciocia mi zakazała gadać, ale ja i tak nie wiem, o co chodzi — wyznał z zakłopotaniem w odpowiedzi na nasze nerwowe pytania. — Kazała mi narąbać drzewa.

— Co ci kazała?

— No, drewna narąbać. . .

— Jakiego drewna?! Do czego?!

— A bo ja wiem, do czego? Kawałków mi kazała narąbać i obstrugać trochę z każdego końca. No to narąbałem i obstrugałem.

— I co ona z tym zrobiła?

— Nic. Leżą. Na kupie, pod szopą. Za Boga żywego nie wiem, na co jej to. . .

Spojrzałyśmy z Lucyną na siebie. Zamysły mojej mamusi wydały nam się niepojęte. Mogłaby zaplanować sobie ekstra ognisko, ale po co jej do tego ogniska obstrugane drewno? Jeszcze gdyby rozrzuciła je dookoła studni, istniałaby szansa, że złoczyńca się potknie, ale pod szopę. . . ?

Na wszelki wypadek postanowiłyśmy tylko udawać, że idziemy spać, a w rzeczywistości pilnować mojej mamusi, która z kolei wyraźnie udawała pogrążoną w lekturze. Czytała książkę w łóżku aż do chwili, kiedy zapewne uznała, że nikt już nie czuwa, po czym cichutko wstała, wyszła na podwórze i zniknęła w cieniu szopy. Obie z Lucyną podglądałyśmy ją wychylone z kuchennego okna, o ile oczywiście wytrzeszczanie oczu w ciemności można nazwać podglądaniem. Usłyszałyśmy ciche skrzypnięcie drzwi szopy, jakiś szelest, odgłos lekkiego popukiwania drewnem o drewno i wreszcie wszystko ucichło.

— Co ona tam robi, rany Julek? — wyszeptwała zaniepokojona Lucyna.

— Bóg jeden raczy wiedzieć — odszepnęłam. — Trzeba chyba zobaczyć, bo jeszcze ją ten bandzior zabije. Pójdę dookoła stodoły i znajdę ją od tyłu.

— To idź, a ja tu poczekam. Tylko niech ciebie nie zabije...

W rezultacie na psotę mojej mamusi narwał się Marek. Zanim w ciemnościach bardzo nędznie rozjaśnionych kawałkiem księżycy zdążyłam na palcach obejść kurnik, stodołę i szopę, omijając przy tym zбитy kłęb ostów i pokrzyw na skraju łąki, moja mamusia wyjaśniła sprawę.

Coś gruchnęło okropnie w szczytową ścianę obory. Czatuający tam właśnie na bandytę Marek zdążył się uchylić w ostatniej chwili. Niewiele mu z tego przyszło, bo następne coś świsnęło mu tuż nad głową, po czym w ścianę obory walnęły dwa kolejne pociski. Marek wykonał klasyczne „padnij” i zaległ pod ścianą, nie pojmując, skąd się bierze i czym jest dziełem kanonada od tej strony, skoro pilnowany zbir znajduje się akurat w stronie przeciwnej. Tego mógł być pewien, doczekał bowiem przybycia w okolice ruinki czarnej sylwetki, która zaczęła się skradać ku studni. Marek przemknął przez podwórze z zamiarem zaczajenia się za węglem obory, tu zaś objawił się nowy wróg. Pociski grzmocły w ścianę, kilka ominęło oborę i z furkotem poszybowało w ciemność, w owej ciemności rozległ się krótki gruchot kamieni i odgłos uciekających kroków. Energiczny ostrzał tuż nad głową nie pozwolił Markowi pogonić za nimi.

Kiedy, wbrew staraniom wpadłszy w pokrzywy i w jakiś dół, przedostałam się wreszcie na miejsce walki, za szopą panował już spokój. Skrzypnięcie i gwałtowne stuknięcie drzwi wskazywały, że ktoś się zabarykadował wewnątrz. Potknęłam się o coś i wpadłam na Marka.

— Do diabła, co ty tu robisz? — syknął dziko.

— Poświeć — poprosiłam słabym głosem pełna złych przeczuc, domyślając się już sedna rzeczy.

Marek pstryknął reflektorkiem. W kręgu światła ujrzałam niski brzozowy pień, o który się właśnie potknęłam, wokół niego zaś porozrzucone kawałki drewna o kształcie zbliżonym do wrzeciona. Drzwi szopy skrzypnęły ponownie, uchyliły się, w blasku latarki ukazała się moja mamusia z drewnianym pagajem w ręku.

— No i co? — spytała żywo. — Wystraszył się?

Marek patrzył na nią przez chwilę.

— Nie wiem jak on, ale ja na pewno. . .

— Powinnam była wcześniej zgadnąć — powiedziała z rozgoryczeniem. — Te obstrugane kawałki drewna. . .

Dziwne to może, niemniej prawdziwe, że moja mamusia we wczesnej młodości doskonale grała w klipę. Wiedziała o tym, była bowiem z tego niezmiernie dumna i chwaliła się niejednokrotnie. Powinnam była domyślić się od razu, do czego mogą jej być potrzebne kawałki drewna obstrugane na obu końcach. Nie utraciła jeszcze dawnych talentów. . .

— Chciałam go trafić — wyznała nam. — Nic by mi nie zrobił, bo bym się zamknęła w szopie na skobel. Nie trafiłam go?

— Nie wiem — odparł Marek dziwnym głosem. — Możliwe, że był trochę za daleko.

— Jak to za daleko? Tu go widziałam, kiwał się na tej ścianie!

— Tu na tej ścianie akurat byłem ja. Mnie mama prawie trafiła, owszem. . .

Lucyna syczała z kuchennego okna niczym rozszalała żmija, domagając się naszego powrotu do domu i wyjaśnienia sprawy. Moja mamusia, zmartwiona i skruszona, tłumaczyła się, że ręką tak daleko rzucać nie potrafi, a metodą klipy mogła razić przeciwnika, pozostając od niego w bezpiecznej odległości.

— Sądzę, że wystraszyłaś także krowy — powiedziała z wyrzutem.

— Świnie — poprawiła Lucyna. — Aż tu było słychać, jak się poderwały i kwiczą. Myślałam, że się wszyscy razem mordujecie w chlewie.

— Była okazja, żeby go złapać — wytknął z goryczą Marek. — A teraz chała. Niech mama, na litość boską odstawi tego pagaja, a ja na wszelki wypadek jeszcze popilnuję, chociaż bardzo wątpię, czy on dzisiaj wróci. Straciliśmy szansę.

— Ale za to nie zasypał studni — powiedziała moja mamusia triumfująco i z wielką pieczołowitością ukryła pagaja za kuchennym kredensem.

Na podwórzu radośnie i przyjacielsko zaszczekał Pistolet, który dopiero teraz wrócił z jakiejś swojej prywatnej wycieczki. Uchyliłam na nowo zamykane właśnie okno.

— Ty głupi — powiedziałam do niego. — Gdybyś tu był wcześniej i pilnował domu jak porządny pies, miałbyś okazję naszczekać się za wszystkie czasy...

* * *

W niedzielę o wschodzie słońca Jędrzek z głębin studni głuchym rykiem oznajmił, że dokopał się dna. Audytorium miał liczne, bo cała rodzina była już na nogach. Wokół dziury wznosiły się potężne zwały kamieni, których nikomu nie chciało się dalej odnosić z uwagi na konieczność rychłego zasypania jej z powrotem. To, że żadnego nie zepchnięto na Jędrka, należy przypisać wyjątkowej łasce opatrności.

Studnia była sucha, kilka lat wcześniej bowiem przeprowadzono meliorację gruntów i poziom wody obniżył się o dobre dwa metry. Marek zlął na dół, wspólnymi siłami oczyścili dziurę do końca, po czym rozpoczęli dokładne oględziny. Sprawdzili wszystko z największą starannością, opukali kamienne ściany z dołu do góry i z góry na dół, zajrzeli w każdą szczelinę i wreszcie wyleźli.

— Tak jak myślałem, nic tam nie ma — oznajmił Marek autorytatywnie. — Zwyczajna, porządna studnia i koniec. Może teraz się wreszcie uspokoić.

— Jak to? — zdziwiła się moja mamusia. — Naprawdę nic nie ma? To po co on nam przeszkadzał?

— Może też myślał, że coś jest — zauważyła ciocia Jadzia bardzo rozczarowana. — Napracował się niepotrzebnie...

— I teraz ci go żal? — zainteresowała się Teresa.

— On jak on, ale my... — mruknął Jędrzek.

Franek westchnął ciężko.

— Prawdę mówiąc, też miałem nadzieję, że ta cholerna studnia coś wyjaśni — wyznał smutnie. — Czepiał się, jakby co wiedział... No trudno, nic nie poradzimy.

— To co teraz będzie? — spytała bezradnie moja mamusia.

— Nic nie będzie, w poniedziałek zasypimy to z powrotem — zdecydował Marek, — Na razie trzeba przykryć deskami. . .

Zainteresowanie tajemnicą jakby nieco osłabło. Osobliwa działalność naszego przeciwnika wszystkich, w gruncie rzeczy, napełniła różnymi nadziejami i teraz niezbita stwierdzona całkowita niewinność studni wpłynęła zniechęcająco. Możliwe było, że ów złoczyńca po prostu zwariował, a jego obłąd objawiał się napadami pracowitości. Możliwe też było, że w nocy między niedzielą, a poniedziałkiem znów dostanie napadu, zawali dziurę i będziemy mieli z głowy. Cała rodzina czuła się potwornie niewyspana i perspektywa spokojnej nocy stanowiła niejaką pociechę.

Noc rzeczywiście przebiegła spokojnie, ale za to w poniedziałek o świcie obudziło mnie coś nowego. Były to gęsi. Skrzypiący, przeraźliwy gęgot wybuchał regularnie co dziesięć sekund z taką siłą, jakby siedziały na oknie. Zamierzałam się raz wreszcie porządnie wyspać, zaparłam się w sobie i spróbowałam zasnąć w ciągu tych dziesięciu sekund ciszy, ale okazało się to niewykonalne. Gęsi nadażały bez trudu. Po kwadransie wstałam i wyjrzałam oknem, czując wewnątrz czynny wulkan.

Wielkie stado gęsi ulokowało się po drugiej stronie drogi, na skraju łąki. Trwały w bezruchu i gawędziły sobie. Zaczynała jedna, odpowiadała jej druga, po czym już wszystkie wybuchały tym potwornym dźwiękiem. Największą aktywność wykazywała jedna, łaciata, telepiąca się z nogi na nogę, stojąca trochę z boku stada.

— Żebyś zdechła! — powiedziałam do niej szeptem pełnym serdecznej nienawiści.

Teresa przykryta z głową spała jak głucha. Gęsi radośnie gęgały. Widok stanowiły nawet dosyć malowniczy, białe stado na tle zielonej łąki, oświetlone promieniami wschodzącego słońca, ale akustycznie były nie do zniesienia. Przyglądałam się im z bezsilną rozpaczą, mętnie rozważając sposoby przepłoszenia. Na parapecie leżało pudełko zapalek, wychyliłam się z okna i z całej siły, chociaż beznadziejnie, cisnęłam w nie tym pudełkiem. Nie doleciało nawet do drogi.

Kiedy byłam wychylona, a wypadło to akurat na krótki moment ciszy, dobiegł mnie nagle jakiś inny, dodatkowy dźwięk. Wytężyłam słuch, ale gęsi zaczęły swo-

je i zagłuszyły wszystko. Czekałam wciąż w połowie za oknem, gęsi zamilkły i znów usłyszałam ów dźwięk. Brzmiał dziwnie i do niczego nie był podobny, trochę przypominał przeciągłe dudnienie, a trochę głuche wycie. Godzina była piąta rano, we wsi panowała cisza, ludzie znajdowali się już w polu, z daleka dobiegał klekot jakiejś maszyny. Blisko rozlegały się tylko gęsi i ten osobliwy dźwięk, głuchy, stłumiony, dudniący, a przy tym jakiś rozpaczliwy.

Wychyliłam się bardziej i zlokalizowałam źródło dźwięku. Dochodził jakby zza obory, od strony ruinki. Senność minęła mi jak ręką odjął, złapałam szlafrok i wyskoczyłam z pokoju.

Ominawszy narożnik obory, stwierdziłam, że rozpaczliwe wycie wydobywa się ze studni. W sercu mi piknęło, podkrađłam się bardzo ostrożnie, ostatnie dwa metry przebyłam na czworakach, wyciągnęłam szyję i zajrzałam.

Widok w środku mógł przyprawić o atak nerwowy. Żelaznej drabinki nie było, drewniana, którą zapomnieli wczoraj wyciągnąć, stała oparta o ścianę studni, dwóch górnych szczebli brakowało, na kolejnym zaś tkwił jakiś facet i przeraźliwym głosem wzywał pomocy, unosząc w górę twarz upiora.

Gdyby nie to, że dotarłam do cembrowiny na czworakach, z wrażenia wleciałabym tam zapewne głową naprzód upiorowi do towarzystwa. Wzniesiona w górę straszna morda w ogóle nie przypominała ludzkiego oblicza. Zakrwawiona i umazana ziemią, zdeformowana kulą wielkości pomarańczy na czole, okropnie wykrzywiona, wydawała się sztucznym tworem na ludzkim kadłubie. Jedną ręką ów dziwny osobnik trzymał się drabiny, drugą przyciskał do siebie, oczy miał chyba zamknięte, bo na moją wystającą zza obramowania głowę nie zwrócił żadnej uwagi. Uporczywie ryczał i wył.

Przemogłam jakoś odrętwiałość zewnętrzną i wewnętrzną.

— Cicho!!! — wrzasnęłam straszonym głosem, bo ryk nie pozwalał mi zebrać myśli.

Wycie umilkło jak nożem uciął, a lekka zmiana w upiornych rysach wskazywała, że facet chyba otworzył oczy. Złapał oddech i odezwał się ludzkim głosem.

— Ratunku! Ludzie, pomóżcie! Nie mogę stąd wyjść! Ratunku!

Miejsce kompletnej pustki zajął w moim umyśle dziki chaos. Zdenerwowałam się niebotycznie. Nareszcie kogoś mamy, nowego trupa, nie, trup nie wyje, nową ofiarę, względnie może mordercę, faktycznie, coś się w studni znalazło, ale skarb! Co, u diabła, mam z tym fantem zrobić?!

— Cicho! — powtórzyłam z irytacją. — Co pan tam robi?! Cicho, do diabła, niech się pan przestanie drzeć!

— Nie mogę stąd wyjść...!

— Trzeba było nie wchodzić! Po cholere pan tam wlaź?!

— Ja nie wlażem! Coś mnie tu wepchnęło! Niech mi pani pomoże! Ja chyba rękę zламаłem! O Jezusie, żeby to szlag trafił...!

— A co pan tu w ogóle robi?

— Nic nie robię! Nie mogę wyjść! O Jezu, ratunku...!

Ciągle tkwiłam na czworakach, zaglądamy w głąb studni. Facet niecierpliwie usiłował podrygiwać na drabinie i obsesyjnie domagał się pomocy. Pomyślałam, że ten studzienny dialog nic mi nie da, a za to załamie się pod nim następny szczebel, co może definitywnie wykluczyć dalszy ciąg konwersacji. Coś należało zrobić. Odrobinę oprzytomniałam, kazałam mu zamknąć gębę i spokojnie czekać, po czym zerwałam się z podmurowania i popędziłam po Marka, który spał w stodole. Marka nie było, pojęcia nie miałam, gdzie się mógł podziać. Nikogo z rodziny Franka również nie było, psa nie było, w ogóle żywego ducha nie było. Rozwścieczyła mnie myśl, że akurat w takiej głupiej sytuacji znalazłam się zupełnie sama.

Ofiarę ze studni bezwzględnie należało jakoś wydobyć. Pomijając już kwestię szczebla, pozostawienie w dziurze człowieka ze złamaną ręką i z taką gębą wydało mi się niehumanitarne. Zdecydowałam się zaryzykować, znalazłam żelazną drabinkę, przywlokłam do studni i wepchnęłam w głąb. Po długich korowodach facet wreszcie wylaźł chwiejnie i z wielkim trudem, przy czym moja wydatna pomoc polegała na chwyceniu go za kołnierz i ciągnięciu w górę. Nie czekając, aż stanie na nogach, i nie puszczając kołnierza, zażądałam danych personalnych. Bez oporu wygrzebał z kieszeni i pokazał mi prawo jazdy, z którego wynikało, że nazywa się Eugeniusz Bolnicki. Następnie wyjaśnił, co tu robi. Znajduje się

mianowicie na urlopie, wracał w nocy od jednej takiej i coś go tu napadło. Nie wie co. Puściłam kołnierz i pozwoliłam mu się wyprostować.

— Pijany pan był? — spytałam surowo.

— No pewnie, że byłem pijany! Jakbym był trzeźwy, to bym się tu zabił! Co za okolica cholerna, wymarło wszystko czy co, krzyczę i krzyczę. . .

— Długo pan krzyczał?

— Nie wiem. Przecknąłem się, jak już było widno. . .

Gapiałam się na niego niepewna, czy można mu wierzyć. Facet był pełen rozgoroczenia, ciężko urażony, wyglądało na to, że mówi prawdę. Ruszał się dość niemrawo, kolejno próbował każdej nogi i jednej ręki, spróbował poruszyć drugą ręką i jęknął, wykrzywając swoją upiorną maskę. Nogi miał w porządku, pomyślałam, że musiał tam wlecieć głową w dół i poczułam dla niego nawet odrobinę współczucia.

— Niech się pan trochę umyje — poradziłam. — Wpuszczę pana do łazienki.

— Zaraz — odparł niepewnie. — Ja tego. . . Mnie niedobrze. . .

Zaniepokoiłam się okropnie. Wstrząs mózgu jak amen w pacierzu! Kiwał się jakoś dziwnie i przestępował z nogi na nogę, kręcąc głową w różne strony. Postanowiłam dać mu spokój z myciem, wepchnąć go do samochodu i jechać do najbliższego pogotowia. Facet w zasadzie nie protestował przeciwko tym projektom, ale ciągle był jakiś nieswój.

— Mnie niedobrze — powtórzył. — Przepraszam bardzo. . . Ja tego. . . No, zaraz wrócę. . .

Chwiejnym nieco krokiem ruszył w kierunku stodoły i zniknął za nią, przechodząc przez otwarte na przestrzał wierzeje. Zawahałam się, czy nie lecieć za nim, ale uznałam, że taktowniej będzie zaczekać. Wyciągnęłam żelazną drabinę, odwlokłam ją kawałek, po czym przywlokłam z powrotem pomyślawszy, że i tak będzie potrzebna do wydobywania tej drewnianej. Wlokąc zaczepiałam o deski i wówczas przypomniałam sobie, że przecież otwór studni był porządnie zakryty. Żeby wlecieć, należało go odkryć. Poszkodowany osobnik od razu przestał mi się wydawać niewinny, upuściłam drabinę, popatrzyłam na stodołę, znów nie wie-

dząc, co robić. Od strony domu nadeszła ciocia Jadzia z aparatem fotograficznym w ręku.

— Nikogo nie ma — zameldowała. — Nie wiesz, gdzie one się podziały? To znaczy twoja matka i Lucyna, bo Teresa śpi. Co to za człowiek był tutaj? Jakiś obcy?

— Nie wiem właśnie — odparłam nieco przygnębiona, wciąż spoglądając w kierunku stodoły. — Był w studni. . .

— Gdzie był?!

— W studni. Znalazłam go. Przez gęsi.

Ciocia Jadzia nie zrozumiała, co mówię. Wyjaśniłam rzecz obszerniej, przy okazji odzyskując trochę równowagi. Ciocia Jadzia okazała żywe poruszenie.

— Coś podobnego! I żywy?! I gdzie jest teraz?

— Poszedł za stodołę.

— Po co?!

— Myślę, że w celach prywatnych. Już go długo nie ma. . .

Ciocia Jadzia zaniepokoiła się bardzo.

— To może mu się coś stało? Może trzeba zobaczyć?

— Może i trzeba, ale jakoś głupio mi go podglądać. . .

Czekałyśmy przy studni zniecierpliwione i coraz bardziej niespokojne. Przykryłam otwór deskami, bo w pobliżu pała się koza. Ofiara nadal była niewidoczna. Zaczęły się we mnie lęgnąć jak najgorsze przeczucia, w dziurze facet jakoś się trzymał, ale teraz mógł się załamać. Mógł stracić przytomność, mógł tam leżeć za stodołą i dogorywać. Subtelność subtelnością, ale nie przesadzajmy, dogorywającego nie można tak zostawić.

— Chodź — powiedziałam do cioci Jadzi. — Trzeba zobaczyć co on tam robi tyle czasu. Wyjrzyjmy delikatnie, żeby go w razie czego nie spieszyć.

Wyjrzałyśmy. Za stodołą nie było nikogo.

Przez długą chwilę rozglądałyśmy się bezradnie dookoła, potem zajrzałyśmy do stodoły i sprawdziłyśmy rozmaite zakamarki. Wszystko puste, ofiara znikła niczym senne widziadło.

— Uciekł? — zdumiała się ciocia Jadzia.

Ponuro pokiwałam głową.

— Dobrze, że też go widziałaś, bo inaczej wyszłoby, że mam halucynacje. Widocznie lepiej się czułam, niż wyglądałam. Żeby to diabli wzięli. . .

Siedząc beznadziejnie na schodkach ganku doczekałam powrotu z pola całej rodziny razem z psem. Zrelacjonowałam wydarzenie od razu. Wszyscy stali kręgiem, patrząc na mnie ze zdumieniem i zgrozą.

— Prawo jazdy miał takie obszargane, że chyba prawdziwe — zakończyłam smętnie. — Nazywał się Eugeniusz Bolnicki, ale adresu nie pamiętam. . .

— Jak się nazywał?! — przerwała Lucyna z niedowierzaniem, szeroko otwierając oczy.

— Bolnicki, mówię przecież, Eugeniusz. . .

Lucynie wyraźnie odjęło mowę. Zastąpiła ją mój a mamusia.

— Bolnicki? Jak to, przecież to rodzina — rzekła z radosnym zdziwieniem. — Nasza babcia była Bolnicka z domu!

W tym momencie nagle wróciła mi pamięć i trzasnęło mnie jak obuchem. Poderwałam się ze schodków. Jak mogłam zapomnieć, że prababcia była Bolnicka z domu?! Nie przydusiłam Bolnickiego! Miałam w ręku jednego z tych upiorów przeszłości i wypuściłam go bez słowa wyjaśnienia! Co za kretynka bezdenna!

Przed gankiem Franka wybuchł istny wulkan. Wszyscy mówili równocześnie, przy czym powszechna zgodność panowała wyłącznie w kwestii stanu mojego umysłu. Co do reszty, każdy zajmował się czym innym. Do głosu doszła wreszcie Teresa dopytująca się z irytacją, jakim sposobem Bolnicki może być rodziną, skoro prababcia była Bolnicka z domu i żadne z jej dzieci tego nazwiska nie nosi, zaś jedyny brat prababci zginął w pojedynku bezpotomnie. Moja mamusia z wysiłkiem przypomniała sobie, że istniał jeszcze drugi brat.

— Babcia nigdy o nim nic nie mówiła — rzekła niepewnie. — O tym pierwszym bracie i o pojedynku raz mówiła, ale o tym drugim nie. Nie pamiętam, kto o nim mówił. . .

— Chyba dziadek — przypomniała Lucyna. — Coś mówił, że ten drugi brat się znalazł, bo przedtem gdzieś przepadł. . .

— W każdym razie skądś się ten Bolnicki wziął — powiedziałam posępnie.
— Mógł być synem tego drugiego brata. . . To znaczy nie, wykluczone, młodszy ode mnie, mógł być ostatecznie wnukiem tego brata. . .

— Dosyć mam już tych wszystkich wnuków! — krzyknęła z gniewem Teresa.

— Jedną okazję wyjaśnienia czegoś zmarnowała mama — wytknął Marek. — Drugą ty. Opisz, jak on wyglądał.

Usiadłam z powrotem na schodkach pełna wstrętu do samej siebie.

— W ogóle nie mam pojęcia, jak wyglądał. Na czole miał guza jak dynia, nos rozkwaszony, mordę umazaną i podbite oko. Na pewno normalnie wygląda inaczej. Co do ubrania to miał dżinsy i kurtkę, nie wiem, w jakim kolorze. Krwawo-czarną. Krwawe sądzę, że zmyje, a czarne upierze albo w ogóle to wyrzuci. Ale wiem, gdzie mieszka.

— Jak to, przecież mówiłaś, że nie pamiętasz adresu!

— Adresu nie, ale miasto. Zamość. Albo Zabrze. Z całą pewnością takie krótkie na Za.

Marek niechętnie wzruszył ramionami i poszedł oglądać ślady dookoła dziury. Przypuszczeniu, jakoby ów Bolnicki wpadł do studni przypadkiem, zaprzeczył z wielką stanowczością. Osobiście przykrywał wczoraj tę dziurę deskami i robił to bardzo starannie. Ktoś musiał te deski pousuwać, możliwe, że Bolnicki istotnie jest ofiarą, możliwe, że został wepchnięty, ale po coś przecież tutaj przyląź, dziura nie znajduje się na środku drogi!

Cała rodzina poleciała za nim. Ślady za oborą zachowały się doskonale, bo nikt się tam nie pętał. Obmacawszy i obwąchawszy teren bez mała na czworakach w myśl wszelkich Holmesowskich reguł, Marek stwierdził, że nad kamiennym obmurowaniem klęczały dwie osoby. Z jednej strony ja, z drugiej zaś ktoś inny. Na dnie studni znalazł zdemolowaną latarkę elektryczną. Moje ranne pantofle wyodrębniały się wyraźnie, a ciocia Jadzia w ogóle nie podchodziła. Część śladów zatarłam wleczonymi do przykrycia deskami i drabinką, pozostałe tropy zaś wokół studni i ruinki należały do trzech psów, jednej krowy, dwóch wieprzy i kilku jednostek ludzkich.

Moja mamusia wpadła na pomysł, żeby cały teren wysypać żółtym piaseczkiem i ładnie zagrabić. Marek zaaprobował pomysł, z tym że był raczej zwolewnikiem szarego piaseczku, który leżał dookoła w wielkiej obfitości. Z żółtym przewidywał kłopoty.

Cała impreza na nowo nabrała rumieńców. Pojawienie się kolejnego wnuka, w dodatku najwidoczniej należącego do rodziny, wyraźnie wskazywało, że w tym wszystkim tkwi coś potężnego. Należało wznowić wysiłki. Fakt, że Bolnicki uszedł z życiem, dodawał nieco otuchy.

— Co teraz? — spytała Lucyna ożywiona i pełna zaciekawienia.

— Teraz trzeba zrobić wszystko razem — odparłam energicznie. — Jadę do Warszawy po flesz, okazuje się, że już dziś by się przydał. Musicie skombinować ten piaseczek. Należy chyba odnaleźć Bolnickiego. Należy zasypać studnię. . .

— Głupiaś, jak zasypujemy studnię, to po co flesz? Nikt już więcej nie przyjdzie.?

— No to studnię można zostawić. Nie wiem, co jeszcze. . .

— Jeszcze mamy drugą studnię — przypomniała zachęcająco moja mamusia.

— O rany! — jęknął Jędrak.

— Czy ja tu naprawdę przyjechałam tylko po to, żeby rozkopywać studnie naszych przodków? — spytała złowieszczo Teresa. — Czy już nie ma innych sposobów, żeby wreszcie dowiedzieć się, o co tu chodzi? Czy to jest jakaś klątwa?

* * *

Do Warszawy tego dnia nie pojechałam, ponieważ zginęła gdzieś kosmetyczka, w której trzymałam wszystkie dokumenty. Wyjęłam ją z torebki, kiedy szukałam na samym dnie pilnika do paznokci, położyłam na stoliku pod oknem i nie schowałam od razu. Był to straszliwy błąd, okazało się bowiem, że zaraz potem Teresa posprzątała w pokoju.

— No to koniec — powiedziałam z rezygnacją do Lucyny i mojej mamusi. — Tam było prawo jazdy i karta rejestracyjna. Chyba trzeba będzie napisać donos na Franka, że trzyma w domu materiały szpiegowskie. Przyjedzie kontrwywiad, zrobi uczciwą rewizję i wtedy kosmetyczka się znajdzie. Inaczej nie ma siły.

Moja mamusia i Lucyna przyświadczyły mi z wielkim niepokojem. Doświadczenia całego naszego życia wskazywały, że moje zdanie jest słuszne. Ilekroć gdziekolwiek sprzątała Teresa, nigdy niczego potem nie można było znaleźć i nie jeden przedmiot przepadł bezpowrotnie. Co gorsza, Teresa nie zносиła bałaganu i sprzątała bardzo często, usuwając wszystko, co leżało na wierzchu, i nie poświęcając najmniejszej uwagi miejscu ukrycia. Teraz również twierdziła, że o kosmetyczce pierwsze słyszy, obraziła się nawet nieco za moje głupie pretensje i poszła na świeże powietrze. W poszukiwaniach pomagały mi obie jej starsze siostry.

— Ja z nią więcej nie mieszkam — powiedziałam do nich stanowczo. — Pod łózkami nie ma. Lucyna, zamień się ze mną.

— Coś ty, ja też z nią nie mieszkam. Schowa mi okulary, ja je ciągle zostawiam na wierzchu.

— Jadzia się z tobą zamieni — powiedziała moja mamusia. — Ona ma anielską cierpliwość. Obie możemy się zamienić.

Przeszukawszy wierzch szafy, zlażłam z krzesła i zastanowiłam się.

— Nie, to na nic. Tamten pokój jest większy. Poza tym z tobą też nie mieszkam, bo od czwartej rano szeleścisz gazetami. Lucyna, zamień się z Teresą. Powiedz dyplomatycznie, że nie możesz z nimi wytrzymać, więc niech ci zrobi łaskę.

— Bardzo dobrze, ja z nimi rzeczywiście nie mogę wytrzymać. Jadzia chrapie, twoja matka szeleści, a wieczorem każą mi gasić światło. . .

Teresa chętnie wyświadczyła Lucynie łaskę, twierdząc, że absolutnie nie można wytrzymać ze mną. Z ulgą pomyślałam, że teraz już będę mogła wszystko rozrzucać. Zaniechałam poszukiwań z nadzieją, że kosmetyczka znajdzie się w trakcie ich przeprowadzki, wieczorem zaś nadzieja okazała się złudna. Prawa jazdy byłam nadal pozbawiona.

Marek uzyskał za to informacje o Bolnickim. Wiejskie dzieci doniosły, że po pierwsze obcy facet, wyglądający jak ofiara katastrofy, mył się w korycie do pojenia bydła na końcu wsi, a po drugie obcy facet odjechał rowerem, który stał przedtem ukryty za kurnikiem sąsiada Franka. Odjeżdżając jęczał i prowadził rower jedną ręką. Marek oznajmił, że nie zamierza głupio tracić czasu i znikł nam z oczu we wtorek o świcie.

Kosmetyczka znalazła się również we wtorek koło południa. Ściśle biorąc, znalazła ją Wanda, która zbierała różne rzeczy do prania i wyciągnawszy z szafy swój kąpielowy szlafrok, domacała się jej w kieszeni. Uprzednio szlafrok wisiał pod moim płaszczem i nie przyszło mi do głowy, żeby go obmacać, chociaż kieszenie płaszcza sprawdzałam. Tuląc do łona odzyskane dokumenty, wyruszyłam po flesz świadoma wagi swojej misji i pełna nowych nadziei.

Posiadaczem flesza był jeden z moich przyjaciół, Tadeusz. Do Warszawy dojechałam po godzinach pracy, w biurze go nie zastałam, a telefon w domu nie odpowiadał. Udałam się zatem do Ewy, stanowiącej parę od niego, licząc na to, że się czegoś dowiem. Okazało się, że Tadeusz jest u blacharza w Milanówku, gdzie ma zostawić samochód i wracać pociągiem. Znałam tego blacharza, umiałam do niego trafić. Tadeusz wracałby pociągiem Bóg wie ile czasu, zaproponowałam więc, żeby po niego pojechać.

Ewa chętnie przyjęła propozycję. Wychodząc przed nią z mieszkania w oficynie, ujrzałam jakiegoś faceta, który stał na środku podwórza i kontemlował przedwojenną kapliczkę z Matką Boską. Westchnęłam sobie rzewnie.

— Za każdym razem jak tu jestem u ciebie, przypomina mi się podwórze mojego dzieciństwa — powiedziałam, odwracając się do Ewy. — Wyglądało identycznie i mieściło się tuż obok, przy Chmielnej sto sześć...

— Łajdak!!! — wrzasnęła na to Ewa ze śmiertelnym oburzeniem.

Facet przed kapliczką uczynił w tył zwrot, jak rażony gromem. Ewa pogroziła pięścią w jego kierunku i tupnęła nogą.

— Łajdak! Do domu! Gdzie ty się włóczysz po nocach?!

Zdziwiłam się nieco i mignęła mi w głowie niespokojna myśl o Tadeuszu. Byłabym taktownie milczała, nie pojmując sytuacji niewątpliwie nader intymnej,

gdyby nie wyraz twarzy zwymyślanego osobnika. Był równocześnie jakiś dziko zachłanny, niebotycznie zaskoczony i kompletnie osłupiały. Ewa ciągle wygrażała mu pięścią i tupała nogami.

— Znasz go? — spytałam podejrzliwym szeptem.

— Kogo? Łajdaka? A jak?!

— O Boże, dlaczego łajdak? Tak przyzwoicie wygląda... Nic mi o nim nie mówiłaś...

— O kim... O rany boskie!

Zza pleców faceta wyskoczył wielki, piękny, zupełnie czarny kot, śmignął przez podwórze i skoczył wprost w otwarte okno. Odwrócony ku nam młody człowiek wydawał się sparaliżowany. Ewa skamieniała spłoszona i zdetonowana. Pojęłam, w czym rzecz.

— Rozumiem, subtelnie skarciłaś kotka — rzekłam zgryźliwie. — Teraz wytłumacz temu panu, że nie jego miałaś na myśli, bo trochę głupio wyszło.

Ewa oprzytomniała od razu, uczyniła dwa kroki i bez namysłu dygnęła grzecznie, zapewne tak samo, jak dygała dwadzieścia lat temu.

— Mój kot nazywa się Łajdak, proszę pana, nie wrócił na noc do domu, więc musiałam mu powiedzieć parę słów — wyjaśniła z wdziękiem. — Ale to nie do pana było, nie. Bardzo przepraszam.

Osobnik zareagował niezwykle. Nie zwracając żadnej uwagi na Ewę, śliczną dziewczynę, rzucił się ku nam dziko wpatrzony we mnie.

— Kim pani jest?! — wrzasnął wzburzonym głosem. Teraz na mnie przyszła kolej zbaranieć. W ogóle nie byłam w stanie uświadomić sobie tak na poczekaniu, kim jestem. Idiotyczne pytanie, nikim nie jestem. Ewa zaczęła podejrzenie prychać. Facet nie czekał na odpowiedź.

— Powiedziała pani, że mieszkała na Chmielnej sto sześć! Gdzie są ci ludzie z Chmielnej sto sześć?! Może pani ich znała? Może pani słyszała nazwisko Włókniewski?!

Oprzytomniałam równie szybko, jak poprzednio Ewa, i zrobiło mi się gorąco. Oczywiście, to musiał być ten, zgadzał się z opisem Franka, ten, który pytał o nas wiosną! Młody, wysoki, szczupły, ciemne włosy...

— Pewnie chodzi panu o Franciszka Włókniewskiego, co? — spytałam ostrożnie.

— O Franciszka! O Boże! Pani go znała?!

— Tak się składa, że był to mój dziadek — rzekłam sucho, przyglądając mu się i usiłując pośpiesznie ocenić, łobuz czy porządny. — Już wiemy, że był pan u Franka. Mam nadzieję, że wyjaśni pan, o co tu chodzi?

— Ty znasz tego pana? — zainteresowała się Ewa.

— Nie, ale słyszałam o nim. Szukał nas w posiadłości rodzinnej.

— Tej po prababci?

— Nie, po pradziadku.

— I czego chciał?

— A skąd ja mam to wiedzieć? Cała rodzina od miesięcy się nad tym zastanawia...

Mogłyśmy swobodnie toczyć konwersacją na dowolne tematy, bo omawiany osobnik wydawał się niezdolny do niczego. Mowę mu wyraźnie odjęło, zniechęcił się wpatrzonej we mnie jak w cudowny obraz, a na twarzy miał wyraz jakby ekstatycznej niewiary. Pomyślałam, że zostanie tak już na wieki w charakterze pomnika na podwórzu Ewy i będzie przeszkadzał przechodzącym. Trzeba mu trochę pomóc.

— Nie ma nic niezwykłego w tym, że jestem wnuczką mojego dziadka — zauważyłam niezycyliwie — Już pana może odblokować. Niech pan wyda jakiś głos.

No i facet wydał z siebie głos. Takiego skutku propozycji doprawdy nie mogłam się spodziewać! Potężny, triumfalny ryk zagrzmiał na przedwojennym podwórzu, młody człowiek wpadł w szaleństwo, trzasnął hołubce, wykonał przytup, odpracował coś pomiędzy czardaszem i kankanem, uzupełnił fragmentami zbójnickiego, zamienił grzmiący ciągły ryk na radosne okrzyki, spowodował ukazanie się w otwartych oknach licznych głów i wreszcie, ciężko zdyszany, opanował się nieco. Pozwolił się powlec w głąb bramy, na co bardzo nalegała Ewa z uwagi na sąsiadów. Chaotycznie, gorączkowo i zupełnie niezrozumiale wyjaśnił mi, że marzy o potomkach mojej babci, Pauliny Włókniewskiej. Śnił mu się po nocach,

musi się z nimi zobaczyć, musi i koniec! Są to dla niego jedyne godne uwagi osoby na całym świecie!

Dość długo potrwało, zanim wreszcie doszliśmy w tej bramie Ewy do jakiego takiego porozumienia. Głęboko poruszona z wielkim trudem wydarłam z szaleńca jego dane personalne. Nazywał się Michał Olszewski i był kustoszem muzeum w Liwii. W Liwii! Prawie pod naszym nosem! Usiłowałam dowiedzieć się czegoś więcej, ale szaleniec nie chciał mówić. Wrywały mu się tylko entuzjastyczne okrzyki, świadczące, że sprawa jest wielkiej wagi i niesłuchanie wstrząsająca. Zważywszy ilość wmieszanych w nią zwłok, z łatwością mogłam w to uwierzyć.

Jasną jest rzeczą, że tej zdobyczy już z ręki nie wypuściłam.

— Żadnego czekania do jutra — oznajmiłam stanowczo. — Jak znam życie, mur beton przed jutrzejszym porankiem ktoś pana zamorduje i cała kołomyja zacznie się na nowo. Jedzie pan ze mną i nie ma gadania!

Ewa z aprobatą pokiwała głową, a Michał Olszewski rozpromienił się jeszcze bardziej, choć wydawało się to niemożliwe. Szczerze wyznał, że miał podobne obawy co do mnie i już sobie postanowił jechać za nami taksówką. Całkowita zgodność poglądów pozwoliła nam przystąpić do działania.

Tadeusz wracał zatem z Milanówka w licznej asyście. Flesza, jak się okazało, nie miał. Dwa tygodnie wcześniej pożyczył go komuś innemu i ten ktoś unika teraz starannie najmniejszego z nim kontaktu, co pozwalał mniemać, że flesz diabli wzięli. Pewnie go rozbił. Zmartwiona nieco zażądałam od Tadeusza wykrzesania z siebie energii i zawiadomienia mnie, jeśli odzyska przyrząd. Oboje z Ewą mogą mi go przywieźć do Woli, gdzie wobec kolejno zachodzących wydarzeń, życie płynie nader atrakcyjnie.

— Jadę tam teraz z tym panem — dodałam na wszelki wypadek. — W razie gdyby po drodze zamordował mnie nieznanego sprawcę, będziecie wiedzieli, co zeznawać przed sądem.

Michał Olszewski siedział cicho i nie wtrącał się do naszej rozmowy. Wyglądał, jakby od wewnątrz rozsadzała go jakaś substancja, wydzielająca z siebie blask. Jego obecność sprawiła, że nie rozpoczęłam poszukiwań flesza u innych

osób i machnęłam ręką na pułapkę, którą w pełni powinno zastąpić żywe źródło informacji. Spod domu Tadeusza ruszyłam wprost do Woli.

— Po jakiego diabła pętał się pan po podwórzu Chmielnej sto dwadzieścia dwa, skoro pan wiedział, że Włókniewscy mieszkali przy Chmielnej sto sześć? — spytałam, wydostawszy się na lubelską szosę. — To pan chyba może powiedzieć?

— Ja się pętałem po wszystkich podwórzach — odparł Michał Olszewski tonem bezgranicznego szczęścia. — Pętałem się wszędzie. Co przeżyłem, tego ludzkie słowo nie opisze!

— Naprawdę tak trudno było nas znaleźć?

— Trudno! Cha, cha! W ogóle niemożliwe! Proszę bardzo, to pani mogę od razu opowiedzieć!

Z wielkim zainteresowaniem wysłuchałam opisu ciernistej drogi do potomków mojej babci i dziadka. Od Włókniewskich ze wsi Michał Olszewski dowiedział się, że Franciszek i Paulina mieli trzy córki, które najprawdopodobniej powychodziły za mąż i zmieniły nazwiska. Tych nowych nazwisk, rzecz jasna, nie znał. W biurze adresowym nikt nie umiał mu nic powiedzieć, Włókniewscy istnieli, owszem, dostał różne adresy i mnóstwo czasu zmarnował na upewnienie się, że są to zupełnie inne osoby, wcale nie te, których szuka. Porzrucani byli po całej Polsce, niektórzy nie odpowiadali na listy, ujeździł się zatem tyle, że już mu to nosem wyszło. Jeszcze więcej czasu zmarnował w Tarczynie, gdzie Włókniewscy mieszkali w czasie wojny i gdzie nawet znalazł rodzinę znającą ich niegdyś, prześladował go jednakże okropny pech. Jedyne dziecko owej rodziny, pamiętający dokładnie Franciszka Włókniewskiego, niedawno właśnie zmarł, pozostali zaś nie wiedzieli nic i nie mieli pojęcia o nazwiskach zamężnych córek. Co gorsza, zorientował się, że tych Włókniewskich szukał także ktoś inny, nieco wcześniej, i ten ktoś inny zdążył dogadać się za życia ze zmarłym członkiem owej rodziny. Zdenerwował się niewymownie i zaczął obchodzić cmentarze. Obszedłszy Powązki, grób po grobie i napis po napisie, zorientował się, że ta metoda zapewni mu zajęcie na najbliższe dziesięć lat, przerzucił się zatem na administrację cmentarzy. W żadnej administracji, nigdzie, w całym województwie, nie znalazł nazwiska Włókniewski. Oburzające!

— Pewnie, że pan nie znalazł, bo Włókniewscy leżą w grobie — przerwałam.
— A rodzinny grób jest na nazwisko mojej mamusi. A w ogóle skąd się panu wzięły Powązki, trzeba było zacząć od Bródna!

— Stara rodzina, więc zacząłem od najstarszego. . .

Poniósłszy klęskę na cmentarzach, Michał zmienił kierunek działania i odnalazł wieś Głodomorzyce, gdzie również miał nadzieję na uzyskanie informacji. Uzyskał je, owszem, ale takie, że włosy zjeżyły mu się głowie. . .

— Ho, ho! — wyrwało mi się i ugryzłam się w język.

— Proszę? — zainteresował się Michał.

— Nic, nic. Niech pan mówi dalej. . .

Michał przyjrzał mi się nieco podejrzliwie i po chwili podjął opowieść. Informacje z Głodomorzyc wpędziły go w ostateczną desperację i w przyływie tej desperacji jał spędzać całe godziny na bląkaniu się po ulicy Chmielnej. Ci cholerni Włókniewscy mieszkali tam przecież długie lata, ktoś ich musiał znać! Ktoś mógł wrócić po wojnie do własnego domu, jakaś maglarka, jakiś cięć, jakiś sąsiad, ktoś mógł o nich coś wiedzieć. . .

— No i proszę! — zakończył z triumfem. — Najgłupszy pomysł ze wszystkich okazał się słuszny! Znalazła się pani!

Nawet mi się to dość spodobało. Znalazłam się wyłącznie dzięki temu, że mieszka tam Ewa, której w tamtych czasach w ogóle nie było na świecie. Facet miał ślepe szczęście. . .

— Można jeszcze było dać ogłoszenie do jakiejś gazety — zauważyłam krytycznie. — Niekiedy coś czytamy. . .

Michał Olszewski poruszył się niespokojnie.

— Co pani? Do gazety wykluczone! To już byłaby ostateczność!

Zdziwiłam się, skąd u niego taka niechęć do prasy. Michał Olszewski tajemniczo zniżył głos.

— Tej całej historii nie należy rozgłaszać. Śliska sprawa i nie powinna budzić niczyjego zainteresowania. Może mieć takie. . . no. . . kłopotliwe skutki. . .

— Nie może mieć, a ma — poprawiłam zgryźliwie. — Dwa trupy i jeden niedobitek, to zupełnie niezłe efekty.

— Co? Jak to?!

— Tak to. Nie słyszał pan o morderstwach pod Węgrowem? Cała okolica się od nich trzęsła. Jestem zupełnie pewna, że ta pańska tajemnica i te nasze zwłoki w ilości dwa i pół to jedna i ta sama sprawa. Wszystko kotłuje się wokół mojej rodziny.

— Co pani mówi?! Zwłoki?! Naprawdę kogoś zamordowano?!

— Owszem, między innymi Mieniuszkę z Głodomorzyc. Przysięgnę, że pan tam szukał Mieniuszki! Niech pan sobie milczy dalej, może jeszcze parę osób padnie trupem. . .

Michał Olszewski skamieniał. Opowiedziałam mu o zbrodniach w Woli z nadzieją, że nie wytrzyma, zareaguje, puści farbę i czegoś się wreszcie dowiem. Zaintrygowana byłam szaleńczo. Co za szopki jakieś moja rodzina mogła wyczynić w owych odległych czasach, o których najwyraźniej ten facet coś wiedział? Wszystko w zasadzie trzymało się kupy, ale źródło zagadki wciąż było nie do pojęcia!

Michał Olszewski zareagował tak, że zaniepokoiłam się o całość samochodu. Wyrwie mi rączkę biegów, stłucze szybę albo rozwali tablicę rozdzielczą. . .

— Mieniuszko! — jęczał potwornie wzburzony, łamiąc ręce i szarpiąc włosy na głowie. — Łagiewka! Musiało się rozejść! Bolnicki!

— Niech się pan natychmiast uspokoi, bo pana wypchnę! — zagroziłam w rozpaczy.

— Wypchnie mnie pani, oczywiście. . . Boże drogi! Jednak się rozeszło! No tak, te kobiety w pani rodzinie. . . Wypchnie mnie pani!

— Zwariował — zawyrokowałam ze zgrozą i docisnęłam gaz, żeby szybciej dojechać na miejsce i pozbyć się obłąkańca z samochodu. Kobiety z mojej rodziny zdołały mu widocznie zaszkodzić zza grobu. . .

* * *

O wpół do dziewiątej wieczorem w pokoju na piętrze w domu Franka zgromadziła się cała rodzina. Michał Olszewski postawił na stole wielką pakę, okropnie ciężką, po którą wstąpiliśmy po drodze. Zabrał ją z muzeum w Liwii, oprzytomniały już po wstrząsie i nieco spokojniejszy.

Operacja udowadniania na piśmie, kto jest kim, przeszła bezboleśnie. Wszyscy w gorliwym pośpiechu pokazywali mu dowody osobiste, Teresa miała przy sobie nawet metrykę, nie mówiąc o paszporcie. Z łatwością dało się wyodrębnić trzy prawowite spadkobierczynie Pauliny z Wojtyczków Włókniewskiej, kontakt z nimi zaś najwyraźniej sprawił Michałowi olbrzymią ulgę.

— Nareszcie! — westchnął ze wzruszeniem. — Boże, co ja się pań naszukałem! Nareszcie! Teraz będzie można do czegoś dojść. Nic nie powiem, potem będziemy wyjaśniać, bo już widzę komplikacje. A teraz ja paniom to po prostu pokażę. . .

Uroczyście rozpakował ów ciężki, przywleczony na górę tłumok. Patrzyliśmy mu wszyscy na ręce jak zahipnotyzowani. Z warstw grubego papieru wyjął jakiś papier, sztywny, pożółkły, wyraźnie bardzo stary.

— To jest testament — oznajmił natchnionym głosem. — Testament pani Zofii Bolnickiej, matki Katarzyny Wojtyczko, prababki szanownych pań. Panie życzą sobie czytać same czy mam przeczytać na głos?

— Czytaj, synku, na głos — powiedziała pośpiesznie Lucyna. — Nie wiem, gdzie są moje okulary.

— A co, Teresa sprzątała? — wyrwało mi się mimo woli.

— Cicho! — syknęła Teresa.

— W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego — zaczął wznosie Michał i Teresa przeżegnała się odruchowo. — Ja, niżej podpisana, Zofia z Chmielewskich Bolnicka, w pełni władz umysłowych, aczkolwiek złożona niemocą i bliska po długim życiu korony niebieskiej, w obecności wielmożnego pana notariusza, Bartłomieja Łagiewki, oznajmiam niniejszym moją ostatnią wolę. . .

W narastającym osłupieniu i oszołomieniu, nic nie mówiąc, słuchaliśmy niezwykłych słów. Świętej pamięci nieboszczka prababcia zapisywała gigantyczny majątek potomkom swojej najstarszej wnuczki, z całkowitym pominięciem swojej córki, Katarzyny. Jedynymi potomkami owej wnuczki była moja mamusia i jej dwie siostry. . .

Dojechawszy do końca testamentu Michał Olszewski jednym tchem odczytał inne dotyczące rodziny dokumenty. Następnie zamilkł i spojrzął na nas wzrokiem pełnym dumy i triumfu. W pokoju panowała martwa cisza.

— No to nareszcie Franek się uspokoi — powiedziała nagle z wielką ulgą ciocia Jadzia. — Nareszcie wiadomo, czego miał pilnować. . .

— Nic nie rozumiem — odezwała się moja mamusia z niezadowoleniem. — O te folwarki po prababci tak się tutaj mordują? O te młyny?

— To już prędzej o gorzelnię — mruknęła Lucyna.

— Czekaście no! — ożywiła się zniecka Teresa. — Zaraz, przecież z tego wyraźnie wynika, że to nie my mamy komuś coś oddać, tylko nam się należy, tak? No mówcie, tak czy nie?

— No tak. . . Wygląda na to, że tak. . .

— I nikomu nie jesteśmy nic winne? O, chwała Bogu! To ja to mam w nosie! Michał Olszewski poderwał się z krzesła.

— Jak pani może?! — krzyknął ze śmiertelnym oburzeniem. — Jakie folwarki w ogóle, kto tu mówi o folwarkach!

— No jak to, sam pan czytał, prababcia w testamencie napisała — przerwała ze zdziwieniem moja mamusia. — Po co oni się zabijają, przecież to i tak upaństwowione. . .

— Ależ nie to jest ważne! Do diabła z folwarkami i z gorzelnią! Czy panie wcale nie słuchały?! Ta skrzynia!

— Jaka skrzynia? — zaciekawiała się Lucyna.

Michał Olszewski jęknął rozpaczliwie, chwycił testament i ponownie odczytał fragment dotyczący okutej skrzyni, którą dostał na przechowanie Bartłomiej Łągiewka. Skrzynia miała zawierać liczne wartościowe przedmioty oraz piętnaście tysięcy rubli w złocie.

— I co się z tą skrzynią stało? — zainteresowała się moja mamusia.

— Dawno ją diabli wzięli — odparła z przekonaniem Lucyna. — Od tamtych czasów były dwie wojny światowe...

— I jedna rewolucja — podsunęłam jadowicie.

— Dwie rewolucje — poprawił okropnie zdenerwowany Michał. — Co za różnica, to nie ma znaczenia...

— Synku, opamiętaj się — rzekła Lucyna z politowaniem. — Co się mogło uchować przez dwie wojny i dwie rewolucje? Dawno zostało rozkradzione!

Michał Olszewski zdenerwował się tak, że przestał wypowiadać całe zdania, a nawet całe słowa.

— Po pierwsze nota... Z trzydzieste wiatę... roku! — wykrzykiwał. — Leżało jak leży! Zgodnie z wo... po drugie! Takie rzeczy! Ja to znam! Na żadnych rynkach! Nie było...!

— Dajcie mu trochę wody, bo dostanie konwulsji — powiedziała niespokojnie Teresa.

— Bo po co wy się z tym panem kłóćcie — rzekła z wyrzutem ciocia Jadzia. — Nie dajecie mu dojść do słowa. Niech już powie wszystko, co wie.

— No dobrze, niech powie — zgodziła się Lucyna. — Ja w to wszystko w ogóle nie wierzę, ale niech mu będzie.

Michał Olszewski trzęsącymi się rękami wyciągał ze skrzyni i rozrzucał dokumenty, usiłując odzyskać zdolność posługiwania się ludzką mową. Chwycił szklanę Teresy z resztką herbaty i wypił ją duszkiem, zakrztusił się, odzyskał dech, zaparł się w sobie, ułożył papiery na stole we właściwej kolejności i na nowo przystąpił do wyjaśnień, z wysiłkiem tłumiąc szaleńcze zdenerwowanie.

Z odczytanych ponownie notatek wyraźnie wynikało, że tajemnicza skrzynia dwie rewolucje i jedną wojnę przetrzymała. Pozostała kwestia drugiej wojny. Mi-

chał Olszewski upierał się do ostatniego tchu, że musiała przetrzymać i drugą, bo żaden z zawartych w niej przedmiotów nigdy nie ujrzał światła dziennego. Żadnego nikt nie sprzedawał ani nie kupował. Żaden nie pojawił się nigdzie. Musi gdzieś leżeć nienaruszona i koniec!

— Co to w ogóle za przedmioty? — spytała z irytacją Teresa.

— No więc właśnie — wykrzyknął Michał z triumfem. — Nareszcie! Zaraz się panie przekonają. . .

Chwycił kolejny papier, bardzo dużego formatu, ale za to częściowo poszarpany i jakby pogryziony przez mole.

— Pieniądźów złotych i srebrnych różnych sztuk dwa tysiące, w tym bizanty-ny z dawna nie używane — ogłosił z satysfakcją. — To jest numizmatyczny zbiór wysokiej klasy! O, proszę. . . Świecznik złoty, siedmioramienny wagi pudów jeden i ćwierć, kamieniami sadzony z zieloną perłą kształtu gruszki w podstawie, odkupiony przed trzystu laty od rodu niejakich Ożynów, zdobyty w czasie wypraw krzyżowych, sztuk jeden. . . Z zieloną perłą, proszę pań, takie świeczniki istnieją, ale akurat z zieloną perłą nie ma. . . Pucharów srebrnych na zamówienie hrabiów Lepieżyńskich sporządzonych za życia króla Batorego z jeleniami na nóżce kształtu rogów sztuk trzy. . . Serwis srebrny, z pięćdziesięciu ośmiu sztuk zastawy złożony, przez złotnika krakowskiego wykonany w roku pańskim 1398, sceny z polowania wyobrażający. . . Puzdro na klejnoty z czystego złota, włoską modą misternie rzeźbione. . .

— Czy on zwariował? — spytała ze śmiertelnym zdumieniem Lucyna. — Synku, co ty czytasz?

— Dla króla Zygmunta Augusta sporządzone — ciągnął w rozpędzie Michał — koralem sadzone, odkupione od rodu książąt Radziwiłłów. Starodawny strój głowy z trzystu sztuk pereł wykonany. . .

— Co pan czyta? — przerwała podejrzliwie Teresa. — To mają być te przedmioty ze skrzyni?

— To jest pewnie opis jakiegoś skarbcza z dawnych czasów — podsunęła niepewnie ciocia Jadzia.

— Nic podobnego! — zaprotestował energicznie Michał, unosząc głowę nad dokumentu. — To jest właśnie ten spadek, który panie dziedziczą! Przedmioty zostawione dla wnuczki przez panią Zofię Bolnicką! Zawartość tej skrzyni!

— Nonsens — oznajmiła pogardliwie Lucyna. — Kompletna bzdura! Strój głowy z trzystu pereł! Idiotyzm. Nigdy w tej rodzinie nic takiego nie było.

— Skąd pani wie? To leżało schowane!

— E tam — powiedziała sceptycznie moja mamusia. — Nasza rodzina nigdy w życiu nie była taka bogata.

Cała sprawa zaczęła mi się nagle podobać. Do tej pory słuchałam w niej jakimś ośpieniu, usiłując tylko odgadnąć przyczyny, dla których ten obcy facet tak się dziko gorączkuje. Teraz mi to przeszło, pojęłam zapach Michała Olszewskiego, bądź co bądź historyka sztuki.

— Cicho bądźcie! — wtrąciłam się stanowczo. — Co prawda osobiście mnie ta impreza nie dotyczy, musiałabym je wszystkie trzy zamordować, żeby dziedziczyć, ale interesują mnie przedmioty zabytkowe. Niech no pan pokaże jeszcze raz te papiery!

— No, nareszcie! — westchnął z ulgą Michał.

— W ogóle w te brednie nie wierzę — zakomunikowała zimno Teresa.

Obejrawszy przy pomocy Michała wszystkie dokumenty jeszcze raz, nabrałam pewnych nadziei. Wynikało z nich dość wyraźnie, że nie tyle rodzina, ile praprababcia wzbogaciła się jakoś nagle i bez widocznych skutków. Spadek po hrabinie, spadek po krewniaku, posag prababci... Wszystko, co miała, upchnęła w skrzyni, dzięki czemu nie zostało roztrwonione...

— Frajerki jesteście — powiedziałam bez żadnego szacunku. — Pewnie, że rodzina wcale nie była bogata. Proszę, po samej praprababci zostało jakieś barachło...

— Bacciarelli! — wykrzyknął Michał z oburzeniem.

— Co to jest jeden Bacciarelli w porównaniu z resztą! Parę sztuk byle czego, a wszystko inne to te spadki uboczne, których praprababcia w ogóle nie używała. Poza tym, folwarki i młyny były prawdziwe, Franek je pamięta. Nie dziwiło was nigdy, że prababcia nic nie miała po przodkach?

— Nic nie miała, bo i przodkowie nic nie mieli — odparła godnie moja mamusia.

— Znaczy co, folwarki Franek sobie wymyślił? Zawsze się zastanawiałam, co za kant kryje się w tej karecie. . .

— W jakiej karecie? — przerwała nieufnie Teresa.

— Wszyscy wiedzą, że prababcia nawiała od pradziadka i została potem odwieziona do Tończy kareta w cztery konie. To skąd ta kareta? Z tej nędzy? Niby co w tym jest, że mamusia prababci dysponowała kareta i czterema końmi, a prababcia tą chałupą w Tończy. . .

— Babcia została wydziedziczona — wyjaśniła niepewnie moja mamusia.

— No owszem, to widać. A z majątkiem przodków co się stało? I z jej posagiem? Kareta była, a posagu nie było?

— Ona bardzo mądrze mówi — pochwaliła mnie ciocia Jadzia.

— Wydaje się, że tego jest tak dużo naraz tylko dlatego, że praprababcia wszystko elegancko zapakowała. Myślcie logicznie, gdyby prababcia odziedziczyła swoje we właściwym czasie, co by z tego zostało? Pradziadek dokupiłby ziemi, wybudował porządną chałupę, może by też się postarał o kareta, a potem całość rozlałaby się po tych dziewięciorgu dzieciach. Już przed pierwszą wojną światową zaczęłyby się rozłazić. . .

Agitacja wychodziła mi niezłe, Michał Olszewski z aprobatą kiwał głową, moja mamusia i Teresa zaczynały się łamać. Lucyna była nieprzejednana.

— Trzysta pereł! — prychnęła wzgardliwie. — Iiiii tam!

— Co cię tak gryzie akurat te trzysta pereł! — zirytowała się na nią Teresa. — Trzysta pereł i trzysta pereł! Nic tam więcej nie zauważyłaś?

— Puzdro ze złota, włoską modą rzeźbione! — wypomniała Lucyna z jeszcze większą wzgardą. — Bizantyjski świecznik! Phi!

— Kielich ze szkła weneckiego, bogato rżnięty, w złoto oprawny — podsunął zuchwale Michał.

— Taki jak ten, co go sobie Lubomirski rozbił na głowie — dołożyłam. — Ja bym chciała coś takiego zobaczyć. . .

— Zobaczysz! — prychnęła urągliwie Lucyna. — Ucho od śledzia!

Ciocia Jadzia znów spróbowała się wtrącić.

— Ale czekajcie, niech ten pan powie do końca. Dlaczego pan uważa, że tego jeszcze nikt nie ukraść? Skąd pan to wie?

Michał spojrział na nią z wyraźną wdzięcznością i odczekał chwilę, aż pozostałe osoby przestały się kłócić.

— Ja to zaraz wyjaśnię — rzekł pośpiesznie. — Mówiłem, że jestem historykiem sztuki. Od dziesięciu. . . Co ja mówię, od piętnastu lat interesują mnie zabytki. Już od szkolnych czasów szperałem, oglądałem. . . Później wszystkie wakacje spędzałem za granicą, narobiłem się jak dziki wół, ale nie o to chodzi. . . Obejrzałem wszystkie muzea, wszystkie dostępne zbiory prywatne, zbierałem wszystkie wiadomości o aukcjach, sprzedażach, spadkach, mogę paniom w tej chwili wyliczyć, co się gdzie znajduje prawie na całym świecie, Z największą dokładnością wiem, co było w Polsce, co ukradli i wywieźli, wiem, co jeden Potocki w 1909 roku przegrał w Monte Carlo. . .

— Co przegrał? — zaciekała się znienacka moja mamusia.

— Barokowy rząd na konia ze srebra, wysadzany turkusami i perłami. Uprząż i siodło. Zastawił to.

— Pojechał do Monte Carlo w barokowej uprzęży? — spytała niedowierzająco Teresa.

— Na odległość! Zastawił na odległość, a pieniądze dał mu jeden francuski handlarz, który już dawno na to czatował. W miesiąc później wszystko przeszło na własność angielskiego zbieracza. Ja te informacje kolekcjonuję od lat.

— No dobrze — przerwała Lucyna. — Ale co to ma do rzeczy? Co ma do tego skrzynia naszej prababki?

— Właśnie mówię. Znam losy wszystkich zabytków w całej Europie i większości na całym świecie. I mogę powiedzieć. . .

Michał przerwał. Spojrział na nas, podniósł się z krzesła, pomilczał chwilę i dokończył wielce uroczyście.

— Otóż, proszę pań. . . Z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że ani jeden z wymienionych tu przedmiotów nie pokazał się nigdzie. Absolutnie nigdzie. W żadnym okresie. Nikt o tym nawet nie wspomina. A to może oznaczać tylko

jedno... To może oznaczać tylko to, że nikt tego nie ma. Całość tego skarbu nadal spoczywa w skrzyni, jak spoczywała przed laty. Nienaruszona. Nietknięta!

Patrzyliśmy na niego zafascynowanym, acz nieco tępym wzrokiem, a treść jego słów docierała do nas stopniowo i z pewnymi oporami. Jeżeli mówił prawdę... Jeżeli nie wyolbrzymiał swojej wiedzy... Rzeczywiście istniała możliwość, że skarb po prababci w doskonałym stanie do tej pory spoczywał gdzieś w bezpiecznym miejscu i czekał na spadkobierców...

— No wiecie... — wyszeptała wzruszona ciocia Jadzia.

Lucyna ocknęła się pierwsza.

— E tam! — prychnęła sceptycznie. — Zawracanie głowy! Może to i spoczywa nietknięte, ale że tego nie dostaniemy, to pewne. W ogóle bzdura!

— Dlaczego?! — oburzył się Michał. — Przecież mówię!

— No i co z tego, że mówisz, synku, mówić sobie możesz. Zastanówcie się trochę, przecież od tego byśmy się wzbogacili, nie?

— No pewnie! — przyświadczyła moja mamusia z zapalem.

— No więc wiadomo, że nic z tego. Nasza rodzina nie może się wzbogacić. Mało było okazji? I co się z tymi okazjami stało? Kto się wzbogacił?

Ocknęłam się również. Lucyna miała rację, nad moją rodziną ciążyło jakieś fatum, które sprawiało, że wszelkie możliwości uzyskania dóbr materialnych omiialiśmy z największą starannością.

— Fakt — przyznałam niechętnie. — Każdy robił, co mógł, żeby broń Boże nic nie zyskać. Już nie mówię, że wszyscy wszystko przywieźli do Warszawy przed samym powstaniem, bo inni ludzie też tak robili, i upchali w mieszkaniu babci, a w to mieszkanie pierwsza bomba trafiła. Ale, o ile wiem, mój tatuś sprzedał sad akurat wtedy, kiedy badylarze zaczęli robić majątki, że już nie wspomnę o przedwojennych dolarach, których się pozbył za okupacji, bo uważał, że mu są niepotrzebne. Zdaje się, że wcześniej też coś było...

— A owszem — podchwyciła cierpko Lucyna. — Twój dziadek sprzedał grunt pod Warszawą, jedenaście hektarów, i następnego dnia twoja babcia kupiła za to pudełko zapalek...

— Nic podobnego — przerwała godnie moja mamusia. — Wcale nie pudełko zapalek, tylko koguta. I z tego koguta był rosół.

— Naprawdę kupiła koguta za jedenaście hektarów? — zainteresowała się ciocia Jadzia.

— Naprawdę. Była inflacja i ten kogut akurat tyle kosztował.

— Wielki Boże! — powiedział Michał Olszewski z rozpaczą. — Ale to było dawniej! Może państwu już przeszło?

— Wątpię — rzekła zimno Teresa. — Moja średnia siostra już po wojnie wrzuciła do Wisły dwie obrączki z dukatowego złota. . .

— A moja mamusia wyrzuciła na śmietnik gorset, w który babcia zaszyła złote ruble — uzupełniłam. — Ale czekajcie, może pan ma rację. Ostatecznie, kto wie? Teresa nie doprowadziła jeszcze Tadeusza do bankructwa. . .

— Ale go namówiłam, żeby kupił akcje kopalni złota — warknęła Teresa z rozgoryczeniem.

— I co?

— Nic. Mamy je. Są warte sześć dolarów.

— A za ile je kupiliście?

— Za czterysta. . .

— Tylko ich aby nie próbujcie sprzedawać — ostrzegła Lucyna. — Następnego dnia okazałoby się, że tam znaleźli uran. . .

Roztoczona przez Michała Olszewskiego wizja skrzyni w gruncie rzeczy podobała mi się nadzwyczajnie i nie zamierzałam z niej zrezygnować. Postanowiłam wlać w rodzinę nieco optymizmu.

— Czekajcie, mówię! Bo może to omen? Jedna jedyna praprababcia miała trochę oleju w głowie i przewidziała te rodzinne starania. Nie dała bogactw na roztrwonienie, tylko je ładnie zaoszczędziła. Może i rzeczywiście nic nam w końcu z tego nie przyjdzie, ale znaleźć je trzeba. Zastanówcie się, gdybyśmy teraz nakichali na tę skrzynię, to już byłby klasyczny przykład postępowania odwrotnie niż należy, każdy normalny człowiek szukałby do upadłego, nawet gdyby jej nie było. . .

— Ale ja ręczę, że jest! — krzyknął Michał Olszewski.

— Jest czy nie ma, poszukać trzeba. Może ta klątwa już trochę zelżała. . .

— Ona ma rację — poparła mnie gorąco ciocia Jadzia.

— Iiii. . . — powiedziała Lucyna.

Michał, szaleńczo zdenerwowany, bezustannie wstawał i siadał. Teraz znów zerwał się z krzesła.

— To już nie chodzi o klątwę! — krzyknął z ogniem. — Proszę państwa, to byłaby zbrodnia. . . ! Zbrodnia wobec narodowej kultury! Taka okazja zdarza się raz na stulecie, w naszym kraju, w naszej sytuacji. . . ! Byłoby zbrodnią nie uczynić nawet próby odzyskania takich skarbów sztuki. . . !

* * *

Ostatnia załamała się Lucyna, uporczywie prezentująca niewiarę w trzysta pereł. Przypomniała sobie nagle, że coś słyszała o jakimś lokaju Radziwiłłów, możliwe zresztą, że był to hajduk, który okazał się postacią wielce sensacyjną. Gachem którejś Radziwiłłowej czy też może złodziejem, nie wiadomo było dokładnie, rzecz miała bowiem miejsce w bardzo dawnych czasach, a opowiadał o niej mętnie książećcy ogrodnik, nabywający od prababci flance. W każdym razie ów lokaj czy też hajduk złote puzdro mógł ukraść albo dostać w prezencie od księżnej-gaszycy. Jakiś skandal z lokajem zdarzył się na pewno, po czym niewątpliwie powód skandalu został wylany z roboty, nie trzymaliby ani złodzieja, ani amanta. Później mógł sprzedać zdobycz za pół ceny, możliwe, że się rozpił, możliwe, że ukradł i sprzedał za pół ceny coś więcej. Chociażby ten strój głowy z trzystu pereł, modę na perły wprowadziła Barbara Radziwiłłówna. . .

Konflikt w rodzie Radziwiłłów przekonał Lucynę ostatecznie i wreszcie przestała bruździć.

Miejsce ukrycia bezcennej skrzyni nie budziło wątpliwości. Musiała znajdować się na terenie posiadłości Franka, o czym wyraźnie świadczyły ostatnie słowa jego ojca.

— Ojciec mówił, że tu — przyświadczył stanowczo Franek zarazem pełen ulgi i głęboko zmartwiony. — „Tutaj, tutaj”, powtarzał, to niby co mógł mieć na myśli? Przecie nie te upaństwowione folwarki!

— No dobrze, tu, ale gdzie? — rzekła niecierpliwie Teresa.

— To było schowane dawno — przypomniał Michał Olszewski, dla którego wieś Wola stała się od razu ulubionym miejscem pobytu. — Notariuszowi pomagał Franciszek Włókniewski, człowiek, jak napisali, nieposzlakowanej uczciwości. Notariusz miał do niego zaufanie. Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że tu. . .

— Poza tym wszyscy tutaj szukają — zauważyłam zjadliwie. — Potomkowie zainteresowanych walą tabunami. . .

— O rany, to już wiemy, że tu, ale gdzie tu?! — jęknęła Lucyna.

Na to pytanie nikt nie umiał udzielić odpowiedzi. Rozkopana studnia okazała się pusta. Wbrew zapewnieniom mojej mamusi, że w starych piwnicach nic nie ma, coraz natrętniej zaczęła pojawiać się myśl rozwalenia ruinki. Zanedbana, leżąca odłogiem kupa kamieni aż się prosiła, żeby pod nią coś schować, i te piwnice należało przynajmniej obejrzeć. Odwalić wejście do nich, poświecić lampą, sprawdzić cegły i tynk. . .

Do robót rozbiórkowych dojrzeliśmy w ciągu jednego dnia, po czym rozważyliśmy kwestię włączenia w całą sprawę milicji. Wyszło nam, że absolutnie nie można tego zrobić, nie ze względu na podatek skarbowy, a ze względu na Franka. On właśnie został przed laty mianowany strażnikiem skarbu i teraz wyglądał dosyć głupio. Nie był w stanie udowodnić, że dotychczas o tym skarbie nie miał najmniejszego pojęcia, i mogły paść na niego jakieś idiotyczne podejrzenia. Milicja miewa czasami takie dziwne pomysły.

Franek był nam wyraźnie wdzięczny za podjętą decyzję, aczkolwiek mężnie i szlachetnie sam był gotów zawiadomić władze. Z zapałem wyraził zgodę na przekopanie nawet całej posiadłości i zgłosił swój udział, poświęcając żniwa. Do roboty zagnała nas tym razem nie moja mamusia, a Teresa śmiertelnie obrażona na Michała za wysunięte przez niego przypuszczenie, jakoby chciała cokolwiek z tego spadku wywieźć do Kanady. Kategorycznie oświadczyła, że kicha na swoją

część i będzie szukała do upadłego wyłącznie dla wzbogacenia siostr i polskiej ojczyzny. Pierwsza ruszyła na podbój ruinki, która z niewiadomych powodów przypadła jej do gustu znacznie bardziej niż studnia.

Gruzowisko przed wejścia do piwnic udało nam się usunąć w ciągu jednego dnia, wieczorem wszyscy poszli spać całkowicie bezmyślnie, rano zaś okazało się, że wszystko jest z powrotem zasypane kamieniami zepchniętymi z wierzchu.

To już było nie do zniesienia. Rozwścieczony Jędrzek oznajmił, że dłużej tego nie wytrzyma i zaczął się na drania z widłami. Sama bym się zaczęła z czymkolwiek, bodaj z patelnią, gdyby nie wspomnienie upiornej gęby Bolnickiego, mocno zniechęcające do bezpośrednich kontaktów z przeciwnikiem. Sprawa robiła się skomplikowana, zgoła nie do rozwikłania, przeistaczała się w jakieś generalne obłąkaństwo. Zawalenie wejścia było wyraźnym dowodem działalności upartej mordercy, który tylko dlatego nikogo nie zabił, że nikogo w pobliżu nie było. Stróżowanie przedstawiało sobą zbyt wielkie ryzyko, bez stróżowania zaś praca stawała się całkowicie syzyfowa. Wyłączenie z imprezy milicji wyglądało w tej sytuacji na karygodny idiotyzm, włączenie zaś komplikowało położenie Franka. Intensywny wysiłek zbrodniarza pozwalał mniemać, że jesteśmy bliscy sukcesu, i tym bardziej należało coś zrobić, żeby zbrodniarz nie zdążył przed nami, za którymś razem bowiem mógł postąpić odwrotnie. Zamiast niszczyć naszą pracę, wykorzystać ją i dokopać się do skrzyni. Nikt nie miał wątpliwości, iż owo odrażające indywidualum czatuje na ten sam skarb, wiedząc o nim więcej niż my, i to była jedyna kwestia, co do której udało nam się osiągnąć porozumienie. Reszta stanowiła kłębowski sprzecznosci.

Nocne czaty wybiliśmy z głowy kolejno Jędrkowi, Michałowi i mojej mamusi. Lucyna wpadła na pomysł, żeby postawić na straży element zastępczy, coś pośredniego między strachem na wróble a manekinem wystawowym. Pomysł wydał się nam doskonały, istniała szansa zdezorientowania złoczyńcy. Zaniepokoi się, może wystraszy, może postanowi przeczekać lub też długo będzie się skradał i nic przez noc nie zrobi. We dwie z ciocią Jadzią wykonały piękną kukłę, złożoną ze starej odzieży Franka, dużej ilości siana i niewielkiej dyni, niezbędnej jako twarz, która

by majaczyła w mroku. Na nowo odwaliliśmy wejście, żeby ów dziwoląg miał nad czym stróżować.

Skutki tego oszustwa były nadspodziewanie wstrząsające. Przyleciawszy o poranku za oborę, ujrzelśmy nieszczęsną kukłę w pożałowania godnym stanie. Poszarpany kadłub i rozdyżdana po kamieniach dynia wyraźnie wskazywały, iż sprawca czynu pastwił się nad ofiarą rozwścieczony zapewne nie od razu odkrytą pomyłką. Dziwna rzecz, sponiewierane szczątki uczyniły na wszystkich potężniejsze wrażenie niż prawdziwe zwłoki, wyobraźnia ostro wzięła się do roboty i całą rodzinę ogarnęła zgroza, tak jakby dopiero teraz ustawiczna obecność zbrodniarza i związane z nią niebezpieczeństwo zostały przyjęte do wiadomości. Dwie zbrodnie rzetelne i jedna wybrakowana to było nic, rozmazana dynia, rozwłócone siano i podarte portki Franka wywołały bez mała histeryczną panikę.

Jedno stanowiło pociechę, to mianowicie, że wejście do piwnic zostało zawałone tylko częściowo. Widocznie zacięty zbir dał się zmylić, długo czatował, kryjąc się przed kukłą, potem wpadł w furję i zajął się zemstą, na roboty ziemnobudowlane zaś zabrakło mu czasu. Wstrząsający w skutkach pomysł okazał się dobry, ale tylko na raz.

— Teraz już nie daj Boże wpaść mu w ręce! — westchnął Franek, oglądając smętnie oderwany rękaw od marynarki.

— Słuchajcie, czy to nie jest ktoś znajomy? — powiedziała niespokojnie ciocia Jadzia. — Pistolet wcale nie szczeka. To znaczy szczeka, ale jakoś tak łagodnie i ciągle jednakowo...

— Dla tego psa cała wieś jest pełna znajomych — odparł z rozgoryczeniem Jędrek.

— Całe szczęście, że nie szczeka, jeszcze by otruł psa — zauważyłam z obawą.

— Głupia jesteś, psa ci szkoda, a to, że morduje ludzi, to nic? — zirytowała się Teresa.

— Pies znajomy... — mruknęła Lucyna.

— Tym razem zamordował dynię — przypomniałam równocześnie. — Nie myl ofiar...

— W każdym razie trzeba coś zrobić — powiedział energicznie Michał Olaszewski wsparty na swojej ulubionej halabardzie, którą przytargał z muzeum, zainspirowany wzmianką Jędrka o widłach. — Teraz trzeba coś innego, bo na dynię się drugi raz nie narwie. Możemy myśleć przy pracy!

Penetrację wejścia do piwnic i rozważania na temat nowych metod walki z upiornie pracowitym mordercą przerwał Marek. Przywiózł wieści, którymi uznał za słuszne podzielić się z resztą rodziny, budząc tym żywe poruszenie, nader rzadko bowiem zdarzało mu się dobrowolnie sypać informacjami niejako w połowie drogi. Odstępstwo od ulubionych zwyczajów wzmógł jeszcze kategoriycznym protestem przeciwko pogawędce na świeżym powietrzu, gdyż ktoś niepowołany mógłby podsłuchiwać. Zgodził się na kuchnię Franka, gdzie wprawdzie panowało nieznośne gorąco, ale za to wszyscy mogli się swobodnie zmieścić. Po krótkiej kłótni na temat zamknięcia okna, pozostawiliśmy je otwarte, z tym że stanął w nim na straży Jędrak zobowiązany bacznie sprawdzać, czy ktoś się nie skrada przez podwórze. Po takim wstępie ciekawość rodziny znacznie podniosła temperaturę pomieszczenia.

Marek z kamiennym spokojem odczekał, aż wszyscy zamilkną, po czym jeszcze przez chwilę nadśluchiwał. Rodzina zamarła w napięciu. Jakaś kura, zniósłszy jajko, z przeraźliwym gdakaniem wyfrunęła z kurnika. Marek zaniechał nasłuchiwania.

— Bolnicki jest prawdziwy, istnieje — rzekł zniecacka, jakby przedtem czekał tylko na tę kure. — Był u niego jakiś facet, sądząc z opisu wylizany Nixon. Nagadał mu Bóg wie czego o starym rodzinnym skarbie. Bolnicki wprawdzie nie bardzo uwierzył, ale trochę go to zaciekało. Namówiony przez Nixona przyjechał tu powęszyć i zaraz na samym wstępie ktoś go wepchnął do studni. Zniechęcił się i nie chce mieć z tym do czynienia, chociaż wylizany Nixon bardzo go namawiał na współpracę. Nazwiska Nixona nie zna i nie ma pojęcia, kto to jest. Tak brzmi oficjalna wersja.

— Fajnie — powiedziałam natychmiast. — A jak brzmi wersja nieoficjalna?

— Czy to ten wylizany Nixon morduje? — spytała moja mamusia.

— Skąd on o tym wie, do wszystkich diabłów?! — zdenerwował się Michał Olszewski. — Jak to się mogło rozejść?! Powiedział, skąd wie?!

— A czy to nie ten Nixon przypadkiem wepchnął go do studni? — powiedziała podejrzliwie Teresa.

— Cicho! — wrzasnęła Lucyna. — Zamknijcie gęby i pozwólcie mu odpowiedzieć. Przecież widzicie, że on coś dusi w sobie!

Marek zaczął od końca.

— Bolnicki nie wie, kto go wepchnął. Dopuszcza możliwość, że Nixon, ale nie jest pewien. Nixon o studni wyraźnie nie mówił, kazał mu tylko wszystko spenetrować. Bolnicki desek ze studni nie usuwał, kiedy przyszedł, dziura była odsłonięta i o mało w nią nie wpadł. . .

— Owszem, wpadł — poprawiła Lucyna.

— Cicho!!! — wrzasnęła na nią Teresa.

— Ukląkł i zaglądał, świecąc sobie latarką, no i nagle coś go wepchnęło. Nixon nie powiedział, skąd wie o skarbie, motywował swoje zainteresowanie bardzo mętnie. Wątpię, czy to on morduje, bo dzisiejszej nocy go tu nie było. . .

— Przecież dzisiaj nikogo nie zamordował — zdziwiła się moja mamusia.

— Owszem, zamordował kukłę — poprawiła znów Lucyna. — On ma rację, to chyba ten sam. . .

— Cicho! — wrzasnęłam niecierpliwie. — Zostaw te dyrdymały i mów, jak wygląda nieoficjalna wersja, bo jestem pewna, że tu leży ten pogrzebany pies!

Marek popatrzył na Jędrka, Jędrak uprzednio zagapiony na rodzinę drgnął nerwowo i gwałtownie wychylił się za okno. Rozejrzał się bystro po niebie i ziemi, i kiwnął uspokajająco głową.

— Spokój, żywego ducha nie ma. . .

— Nieoficjalna wersja jest taka, że Bolnicki o starym skarbie słyszał. Objęło mu się o uszy. Pamięta swojego dziadka, który niekiedy z rozgoryczeniem wspominał o jakimś niesprawiedliwym podziale majątku w rodzinie. Jego ojciec, czyli pradziadek tego Bolnickiego, czegoś tam nie dostał. Nikt tego czegoś nie dostał, bo zostało to schowane nie wiadomo gdzie i ktoś na to czyhał. Ojciec dziadka czuł się skrzywdzony, dziadek również czuł się skrzywdzony, przy czym z gada-

nia o skarbie wynikały same niejasności. Raz było pewne, że znajduje się w bezpiecznym ukryciu, w którym ma podobno przeleżeć sto lat, drugi raz było równie pewne, że ktoś go ukraść. W opowieściach dziadka przewijało się jedno nazwisko, jakby głównego wroga, które Bolnicki przypomniał sobie z wielkim trudem, bo w dzieciństwie na te opowieści nie zwracał wielkiej uwagi, uważając je za sklerotyczne gędzenie. Skarb ukrywano właśnie przed tym głównym wrogiem, który nazywał się... No, zgadnijcie!

— Mieniuszko! — wykrzyknęła Lucyna bez chwili namysłu.

Marek kiwnął głową z uznaniem.

— Zgadza się, Mieniuszko. Były jakieś kontrowersje między tym Mieniuszką a rodziną Bolnickich...

— Kompletnie bez sensu — przerwała krytycznie Teresa. — Wszystko poprzekęcane. Tu prababcia, tu Bolnicki, to niby w co ja mam teraz uwierzyć?

— No właśnie, on tu coś kłamie — przyświadczyła z niezadowoleniem moja mamusia.

— Wcale nie kłamię. Powtarzam wam dokładnie, co na ten temat wiedział Bolnicki. Taką wersję wydarzeń zdołał sobie przypomnieć, a i to dopiero po wizycie Nixona, bo przedtem w ogóle o tym nie pamiętał. Uważał to za głupie gadanie i nie zaprzętał sobie głowy. Teraz, po tej wizycie w studni, tym bardziej nie zamierza wdawać się w idiotyczną wojnę o skarb, którego jego zdaniem już dawno nie ma.

— Oj, czy aby nie łże? — spytałam nieufnie. — Jeszcze go ten Nixon może namówić...

— Raczej nie może. Wyjechał wczoraj na urlop do Bułgarii. Widziałem to.

— Bolnicki wyjechał czy Nixon?

— Bolnicki. Z ręką w gipsie.

— A czy z tego gadania w jego rodzinie nie wynikło, gdzie ukryto skarb? — spytał z nadzieją Michał Olszewski. — Nie było plotek, przypuszczeń co do miejsca?

— Co do miejsca, to już dawno wiemy, że tu — rzekła z niechęcią Teresa. — Moglibyście ruszyć wreszcie tymi głębami, co je macie na karku, i zdecydować się, gdzie trzeba szukać.

— A ty co, nie możesz ruszyć swoim głębem? — obraziła się moja mamusia.

— Ja jestem najmłodsza i prababci nie pamiętam.

— Podfruwajka się znalazła! — prychnęła Lucyna. — Tyle samo wiesz, co i my! Prababci żadna z nas nigdy w życiu nie znała!

— No, ale to właśnie ta prababcia jest chyba potrzebna — powiedziała ciocia Jadzia ciężko zmartwiona. — To przecież ona wymyśliła, gdzie schować skrzynię, nie? Wy jesteście jej prawnuczki i mogłybyście myśleć tak samo. . .

Michał Olszewski przyświadczył jej gorliwie, przypominając, że jedyną drogą do skarbu jest wnikliwa analiza hipotetycznych pomysłów testatorki i jej notariusza. Mimo ciężkich wysiłków i pochodzenia w prostej linii od owej testatorki nic jakoś z tej analizy nie wychodziło. Co mogło przyjść do głowy nieboszcze prababci, było zagadką nie do rozwiązania. Na dobrą sprawę istniały tylko trzy sensowne możliwości.

— Mogłoby być ukryte na cmentarzu, w grobowcu, gdyby nie to, że nie ma grobowca — westchnęłam smętnie. — Z braku grobowca może w trumnie. . .

— W tej ruinie — powiedziała żywo Lucyna. — Normalni ludzie zamurowałiby w takiej ruinie. Leży tyle lat nietknięta i nikt się nią nie interesuje.

— Mnie się zdawało, że wszyscy się nią interesują — zauważyła moja mamusia. — Ale w posiadłości prababci, jestem pewna, też była studnia. Musiała być.

— Ciebie on nie musi mordować, ja to załatwię za niego — powiedziała Teresa dzikim głosem. — Jeżeli jeszcze raz wspomnisz jakąś studnię. . . !

— W posiadłości prababci mógł być także grobowiec — wtrąciła pośpiesznie ciocia Jadzia. — Może najpierw zajrzemy do grobowca. . .

— Ale to ma być tu, a nie tam! — zaprotestowała Lucyna.

— Znaczy uważacie, że mogli to schować albo w grobowcu, albo w tej ruinie, albo w którejś studni — zreasumował Franek rzeczowo. — Może i macie rację.

To nasz dziadek chował, on był chytry. Zależy, czy musiał się śpieszyć, czy miał dużo czasu.

— No? — podchwycił Michał. — Miał dużo czasu?

— Nie wiem. Nie było mnie przy tym.

— Załóżmy, że niezbyt dużo — zaproponował Marek.

Michał spojrział na niego bystro i zmarszczył brwi.

— On był już stary — rzekł powoli. — Ten notariusz. Pani Bolnicka umarła i został z tą skrzynią, i z Franciszkiem Włókniewskim, i z Mieniuszką. . .

— Z Mieniuszką! — wyrwało się Lucynie.

— Pomiędzy testamentem jego klientki, a notatką upłynęły dwa lata — ciągnął Michał. — Zaledwie dwa lata. . . Jego syn już nic nie chował i nie prznosił, to znaczy, że załatwili wszystko w ciągu tych dwóch lat. . .

Lucyna poruszyła się niespokojnie.

— Zwracam wam uwagę na Mieniuszkę. . . — przypomniała słodkim głosem.

— Latał po polu — mruknęła Teresa z nie skrywanym wstrętem. — Można wiedzieć, co komu z tego, jeżeli nawet rzeczywiście latał?

Michał Olszewski uparcie trwał przy temacie.

— Ten Mieniuszko mógł być trochę niebezpieczny. Może był chciwy? Może musiał ukryć wszystko w pośpiechu, w tajemnicy przed nim? Z tego, co państwo mówią, wynika, że z nim nie było różowo, jego potomek tu się kręcił. . .

— Ciepło, ciepło. . . — powiedział zachęcająco Marek.

— Ale go przecież zabili w bagienku, to o co chodzi? — zdziwiła się moja mamusia.

Nagle przestałam słuchać, co mówią. Oczyma duszy ujrzałam obraz sprzed lat. Nie znaną mi posiadłość praprababci, okolicę, której nigdy w życiu nie widziałam na oczy, dwóch ludzi w czerni pochmurnej nocy, stękających przy załadunku na wóz ogromnej, ciężkiej skrzyni. . . I trzeciego człowieka, podglądającego zza drzew i krzewów, patrzącego roziskrzonymi, chciwymi oczami. . . Ujrzałam, jak ci dwaj ludzie dają sobie jakiś znak, naradzają się szeptem, nieznacznie spoglądają w kierunku tego trzeciego, zacinają czwórkę koni, ruszają z kopyta, odjeżdżają

w mrok. . . Ten trzeci czeka chwilę, odwiązuje konia od drzewa, skacze na siodło, rusza za nimi. . .

— Na ich miejscu symulowałabym chowanie w piwnicy notariusza — powiedziałam z rozpędu. — A potem, pozbywszy się Mieniuszki, nie zamieszkałby przecież obok tej piwnicy razem z koniem, przewiozłabym gdzie indziej, najlepiej do domu Franciszka Włókniewskiego, i tu szybko, szybko, gdzie ukryć, byle prędzej, byle Mieniuszko nie zdążył. . . Do studni, oczywiście, najszybciej i śladu nie ma. . .

Rodzina patrzyła na mnie w milczeniu takim wzrokiem, jakbym zniecka oszalała. Lucyna nagle pojęła, kiwnęła głową ze zrozumieniem.

— Ale Mieniuszko zdążył — rzekła złowieszczo. — Zgadł, że to tu, tylko tej studni może nie był pewny. Szukał śladów, może na cmentarzu, może ruinka, może gdzieś rozkopane. . .

— I tylko użycie studni nie zostawiało śladów! — podchwycił okropnie przejęty Michał Olszewski. — Nic innego nie dałoby się tak szybko zamaskować!

Nagła cisza zapanowała we Frankowej kuchni. Wszyscy w milczeniu patrzyli na mnie, na Lucynę i na Michała.

— No proszę, mówiłam, że studnia — rzekła nagle moja mamusia z wielkim zadowoleniem.

Napadłam gwałtownie na Marka.

— A ty co na to? Czego siedzisz i nic nie mówisz? Ty o tym coś wiesz!

— Może i wiem — przyznał Marek i znów spojrzął na Jędrka, który przypomniał sobie, że stoi na warcie, o mało nie wyleciał za okno. — To jest właśnie to, co chciałem wam powiedzieć, żebyście sobie mogli wydedukować resztę. Dowiedziałem się trochę bezpośrednio, a trochę ze starych zapisków, bo w kościołach i zakrystiach jeszcze się niektóre uchowały. To zależało personalnie od księdza albo od kościelnego; jeżeli nie było pożaru, mieli możliwość schować, z tym że przeważnie chowali księgi parafialne. Ale czasem i inne zapiski również.

— Czy on już powiedział to coś, co chciał nam powiedzieć? — spytała nieufnie Teresa, bo Marek przerwał na chwilę.

— Jeszcze nie, ale powie, nie ma obawy — zapewniłam ją. — Już ja go przypilnuję.

— I czego pan się dowiedział? — spytał chciwie Michał.

— Bardzo to było romantyczne — odparł Marek, rezygnując ze znęcania się nad rodziną. — Dawno temu, przed laty, pewnej burzliwej nocy pod kościół podjechał wóz zaprzężony w cztery spienione konie. . .

— Pod tutejszy kościół? — przerwała Lucyna.

— Pod tutejszy. Z kościoła wyszedł ksiądz i poświęcił ładunek na wozie, po czym konie w galopie odjechały. Na wozie siedziało dwóch ludzi. Jednym z nich był znany księdzu Franciszek Włókniewski, który złożył ofiarę na kościół w wysokości dwustu rubli w złocie. Gdyby nie te dwieście rubli pewnie by ksiądz wydarzenia nie zapisywał. W każdym razie scena nosiła znamiona wielkiego pośpiechu. . .

— Coś podobnego! — wykrzyknęłam zdumiona i bardzo dumna z siebie. — Całkiem to samo przywidziało mi się przed chwilą! Pewnie mam widzenia. . .

Czym prędzej opisałam rodzinie ową dramatyczną sceną w posiadłości prababci. Wielki pośpiech, drapieżny, czyhający Mieniuszko, wóz i cztery konie, wszystko się zgadzało. Nawet pogodą odgadłam, burzliwa, czarna noc. . .

— No i proszę, mamy Pytię w rodzinie — rzekła drwiąco Lucyna. — Trzeba ją posadzić na trójnogu i trochę okadzić, od razu zgadnie całą resztę.

— Wynika z tego, że to ona jest najbardziej podobna do prababci, my się w ogóle nie liczymy — zauważyła Teresa z lekką urazą.

— No pewnie, że jest podobna, jeszcze tego nie dostrzegłaś? Nie wiem, czy do prababci, ale babcia wykapana. Ma takie samo nabożeństwo do gospodarstwa domowego. . .

Rozgorączkowany Michał Olszewski przerwał rozpamiętywanie charakteru prababci i mojego. Zreasumował wnioski i wyszło z nich, że jednak tylko studnia. Zamurowywanie gdziekolwiek trwa zbyt długo, świeży tynk się zawsze odznacza, zakopywanie w ziemi też pozostawia ślady i też trwa. Do studni opuścić łatwo, a wydobyć wręcz przeciwnie. . .

— Chyba że mieli przygotowany jakiś dół — zakończył. — Może taki po kartoflach. I na wierzch czegoś szybko narzucili. . .

— Dziwię się, że pan to mówi, historyk — rzekł Marek zgorszony. — Kto jak kto, ale pan powinien wiedzieć, że poświęconych przedmiotów nikt nigdy nie zakopywał w ziemi. Wszyscy powinniście to wiedzieć. Dlatego właśnie uważałem za niezbędne powiedzieć wam o tym poświęceniu przed kościołem.

— No więc studnia, dawno to mówię! — zniecierpliwiła się moja mamusia. — W ogóle nie rozumiem, na co jeszcze czekacie. . . !

W ten sposób zapadła decyzja rozkopywania następnej studni. Ze wspomnień Franka wyliczyliśmy sobie mniej więcej daty zasypywania studzien i okazało się, że pierwszą rozkopaliśmy zupełnie niepotrzebnie. Pradziadek zasypał ją w czasie, kiedy o ukrywaniu skarbu nie było jeszcze mowy. Druga studnia powinna być tą właściwą.

Oczywistą jest rzeczą, że główny problem stanowiła ochrona przed złoczyńcą. Jędrzek stanowczo oświadczył, że jeśli ktoś wrzuci z powrotem to, co on wydłubie, trafi go na miejscu szlag albo też dostanie ataku szału i polecą lać po pysku wszystkich chłopów we wsi. Należało tym ewentualnościom przeciwdziałać. Franek znów zaproponował pracę jednym ciągiem, bodaj nawet przez całą noc, z tym że nie w ciemnościach, a przy dobrym oświetleniu. Wykupiłam w okolicy cały zapas przedłużaczy i żarówek. Jędrzek i Michał przy montowaniu iluminacji trzy razy spowodowali tak zwane krótkie spięcie, przy czym raz udało im się pogrążyć w ciemnościach całą wieś. Moja mamusia nie rozstawiała się z grabiami, rozsiewając wszędzie szary piaseczek i przepędzając każdego, kto bezmyślnie zostawiał ślady na pielęgnowanym terenie. Michał Olszewski na stałe ulokował halabardę w stodole Franka, ponieważ było mu bardzo niewygodnie jeździć z nią autobusem.

Marek w przygotowaniach nie brał udziału. Po udzieleniu kluczowej informacji znikł nam z oczu, komunikując, że musi jeszcze załatwić kilka pilnych spraw.

Na wszelkie pytania udzielał odpowiedzi wymijających i nedorzecznych, zapewniając tylko, że wkrótce wróci.

Po trzech dobach wysiłków można było przystąpić do zasadniczej pracy. Noc przebiegła w ten sposób, że Franek, Jędrak i rozplomieniony Michał rozkopywali studnię, dziwnie pouczepiane żarówki oświetlały ruinę i oborę niezmiernie malowniczo, na skraju ciemności zaś pętały się wszystkie baby z latarkami elektrycznymi w rękach w charakterze obstawy. Impreza pod tytułem światło i dźwięk wyszła nam doskonale, z tym że jako dźwięk wystąpiły: rechotanie żab, szczekanie psów, wysilone stękanie pracowników fizycznych oraz trwożne okrzyki warty. Ciemność ma to do siebie, że nic w niej nie widać. Gdy księżyc zaszedł, ruszało się nam wszystko, co chwila któraś ze strażniczek nadbiegała z gorączkową informacją, że skrada się ku niej czterdziestu rozbójników, przenikliwe szepty krzyżowały się w powietrzu. Moja mamusia uparcie twierdziła, że jakaś postać tkwi za węglem obory. Na brak rozrywek nie można się było uskarżać.

Nad ranem okazało się, że ponieśliśmy klęskę. Znow padło na Jędrka, który z głębin studni wydał z siebie ryk tak potężny, że cała obstawa runęła ku niemu pewna sukcesu. Jędrak wściekłym głosem zawiadamiał, że wręcz odwrotnie, dokopał się dna. Leżąca na tym dnie reszta kamieni nic już nie skrywa, żadnego skarbu tam nie ma. Kolejna studnia okazała się pusta.

Rozczarowanie było tak wielkie, że nikt nic nie mówił. Postaliśmy długą chwilę nad głęboką dziurą, czekając, aż wyjdzie z niej zrozpaczony Michał, który oświadczył, że chce pomóc utracone nadzieje. Wylazł w milczeniu, a wyraz jego twarzy mówił sam za siebie. Ruszyliśmy ku domowi.

Lucyna szła pierwsza. Dotarła do narożnika obory i nagle, wpatrzona w ziemię, zatrzymała się jak wryta. Pośpieszyliśmy za nią i zastopowało nas tak samo.

Na szarym piaseczku mojej mamusi, elegancko zagrabionym, wyraźnie były widoczne ślady wielkich stóp, idące tam i z powrotem. Przy samym narożniku zawracały, trochę zamazane.

— No proszę! — powiedziała z wielką satysfakcją moja mamusia. — A mówiłyście, że ja mam omamy. I co, omam tu siedział?

— Siedzieć to chyba nie siedział — skorygował niepewnie Jędrak. — Stał i patrzył. Przylazł, powstał, popatrzył i poszedł sobie.

Reszta milczała, ze zgrozą wpatrzona w ślady, wstrząśnięta niewątpliwym dowodem obecności złoczyńcy. Był tu w nocy, czatował za węglem obory, przyglądał się nam, kto wie, czy nie czyhał na chwilę dogodną do nowej zbrodni. . .

— Ciekawe, dlaczego cię nie zabił — rzekła ze zdziwieniem Lucyna do swojej starszej siostry. — Stróżowałaś od tej strony, miał cię pod ręką. . .

— Wcale nie pod ręką — przerwała z urazą moja mamusia. — Siedziałam sobie dalej, na pniu, tam gdzie było widniej.

— I nie zbliżałaś się tutaj?

— A bo ja głupia? Cały czas wiedziałam, że tu ktoś jest, miałam mu się podtykać? Widzicie, jakie trąby jesteście, mogliśmy się zakraść od tyłu i dać mu w łeb. A tak co?

— Bezczelny typ! — powiedziała ze śmiertelnym oburzeniem Teresa.

Zażądałam od cioci Jadzi dokładnego sfotografowania śladów, po czym udałam się za nimi. Szły do drogi i ginęły w trawie nad rowem. Trawa była pokryta rosą nierównomiernie, pognieciona rozmaicie i nie udało mi się odgadnąć, dokąd poszedł złoczyńca.

* * *

— Ja się boję — powiedziała posępnie Teresa przy śniadaniu. — Wy jesteście nienormalni, a on tu czyha cały czas. Wszyscy będziemy tak wyglądali jak ta rozdyżdana dynia!

— Pestek mamy w sobie trochę mniej — zauważyła Lucyna.

— W kupie jakoś nie napada — rzekł pocieszająco Franek. — Dzisiaj nikogo nie zabił. Aby tylko nie wychodzić do niego pojedynczo. . .

— Co mnie dziwi, to to, że on przeszkadza niepotrzebnie — odezwał się zgnębiony Michał. — Przeszkadza, zawala, a tu ciągle nic nie ma. Może on też nie wie, gdzie to jest?

— Pewnie, że nie wie, gdyby wiedział, dawno by ukradł.

— Boże drogi, więc gdzie szukać?

— Nigdzie nie szukać, czyście zgłupieli ostatecznie? Uciekać stąd, niech się udławi tym całym spadkiem!

Rodzina podzieliła się na dwa obozy. Jeden, w osobach Teresy i cioci Jadzi, obstawał za ratowaniem życia, drugi, złożony z całej reszty, usilnie próbował odgadnąć miejsce ukrycia skarbu, na dalszy plan usuwając grożące niebezpieczeństwo. Konieczność gruntownego rozebrania ruinki jawiła się przed nami coraz natrętniej, był to w końcu jedyny obiekt, jaki mógł wchodzić w rachubę. Dom Franka w tamtych czasach jeszcze nie istniał, obora była zamieszкана przez liczne grono osób, obecność skrzyni w stodole, stajni lub chlewie została już dawno zauważona. Tylko piwnice ruinki stanowiły teren dziewiczy.

— Przecież to już wtedy była ruina — tłumaczył gorączkowo Michał, przełamując opory mojej mamusi. — Wcale nie musieli tego zamurowywać, wystarczyło zepchnąć na to po prostu kupę kamieni. Kamienie mogli przygotować wcześniej. I nawet nie w piwnicach, w byle jakim miejscu. . .

— Dzieci by chyba zauważyły — wtrąciłam z powątpiewaniem. — Dzieci wszystko zauważą. Pogrzebałyby w kamieniach i znalazły.

— Co wy myślicie, że te dzieci to były buldożery? — obraziła się moja mamusia.

— Dzieci zauważą, fakt — przyświadczył Franek. — Ale rzecz w tym, że tam nie było żadnych kamieni. Ja te piwnice dobrze pamiętam, puste były i trzymały się nieźle, sklepienia miały takie, że nic ich nie ruszyło. Kamienne wszystko, i te sklepienia, i ściany.

— Przecież mówisz, że nie było tam żadnych kamieni. . .

— Luzem nie było. Żadnej kupy. Tylko ściany i sklepienia.

— Ale mogła być jeszcze jedna, niższa kondygnacja. Albo chociaż loch. Opuścić do lochu, przykryć bodaj deskami, narzucić kamieni. . . No, udeptać. Jest pan pewien, że nie było lochu?

Istnienia lochu Franek nie mógł wykluczyć. Moja mamusia również zachwiała się w swoich opiniach. Pomiędzy chwilą ukrywania skrzyni a jej wizytami w piw-

nicach upłynęło tyle czasu, że nawet narzucone luzem kamienie zdążyłyby się uleżeć. W zaistniałej sytuacji ruinka pchała się na myśl wręcz nachalnie.

— Robimy to sami czy zaangażujemy jakieś przedsiębiorstwo rozbiórkowe?
— spytała Teresa ze zjadliwą uprzejmością.

— Lepiej Marka — podsunęła moja mamusia. — Przynajmniej jest trzeźwy. . .

Marek zjawił się jak na zawołanie akurat w chwili, kiedy decyzja rozkopania minki zapadła ostatecznie. Z kamiennym spokojem wysłuchał wszystkich informacji, pomyślał trochę, po czym wyraził chęć obejrzenia drugiej studni. Wszyscy razem stanęliśmy mu nad głową, kiedy zląził po drabinie.

Krótko zląził. Zatrzymał się z twarzą na wysokości pierwszych kamieni, nieco poniżej poziomu terenu, i przyjrzał się uważnie obmurowaniu.

— A na to nikt nie zwrócił uwagi? — spytał zgryźliwie. — Nikt tu nie ma oczu w głowie?

Padliśmy na kolana dookoła dziury, pchając głowy do środka.

— Odsuniecie się, bo zasłaniacie całe światło — powiedział Marek i zlął niżej.

— Co tam jest? — spytała niespokojnie Teresa. — Co on tam znalazł?

— Ja nic nie widzę — stwierdziła z niezadowoleniem moja mamusia.

— Nie mam okularów — powiedziała Lucyna.

— Kto tam coś widzi? — Zapomniałam, gdzie on pokazywał — rzekła z żalem ciocia Jadzia.

— Jest!!! — wrzasnął Jędrak.

— Co jest? Gdzie ty coś widzisz?!

— A o, tu — rzekł Jędrak dumnie i wskazał jeden z kamieni.

Wreszcie wszyscy dostrzegli to coś. W kamieniu wykuta była niewielka strzała, skierowana ostrzem w dół. Nie rzucała się bardzo w oczy, ale przy pewnym wysiłku można ją było zauważyć.

— Strzała w dół, no i co z tego? — skrzywiła się moja mamusia rozczarowana.
— Wydłubaliśmy przecież wszystko i nic tam nie było. . .

Marek wylazł ze studni na powierzchnię z dziwnym wyrazem twarzy.

— Gdzie jest to wszystko, co zostało stąd wywalone? — spytał sucho.

— On niedowidzi? — zdziwiła się Teresa.

Jędrak, nieco spłoszony, gestem wskazał potężne zwały pomiędzy dwiema rozkopanymi studniami. Piętrzyła się tam cała zawartość dziury, tworząc malownicze stosy, których doprawdy trudno było nie zauważyć. Marek popatrzył na nie.

— Nigdzie dalej nie było wynoszone?

— Po ciemku? Pewnie, że nie!

— Boże wielki! — wyszeptał wstrząśnięty Michał. — Przeoczyliśmy coś...

— To teraz to wszystko przeszukacie — powiedział Marek zimno. — Ja z wami chyba zwariuję, na chwilę was nie można zostawić samych, bo zaraz narobicie szkody! Tyle osób i żeby nikt nie zauważył strzałki, przecież wyraźnie widać, że została wykuta prymitywnie kilkadziesiąt lat temu!

— Nie wiem, skąd mamy wiedzieć, że kilkadziesiąt, a nie kilka albo kilkaset — zaprotestowała gniewnie Teresa.

— Przecież to widać! Wół by zauważył!

— Ani jeden wół nie zaglądał do studni — przypomniała z urazą moja mamusia.

— Szukaliśmy skrzyni, a nie malowideł ściennych — wyjaśniła Lucyna ze słodyczą. — Poza tym było ciemno...

— Za to teraz jest widno. Róbcie sobie, co chcecie, ale macie przeszukać te całe kupy. Niczego, Boże broń, nie wrzucać do studni i odkładać na bok wszystko, co nie jest kamieniem. Ja jeszcze sprawdzę tę dziurę, na wszelki wypadek...

Z oburzonego osłupienia wyrwał rodzinę Michał Olszewski, który pierwszy z dzikim zapalem rzucił się na kamienne stosy. Za jego przykładem poszła po chwili reszta winowajców ogłuszona nieco kompletnym brakiem informacji, czego właściwie szukamy. Kupy kamieni zmieniły miejsce, przenosząc się bliżej pola, pod oborą zaś rosła stopniowo góra najprzedziwniejszych śmieci. Ciocia Jadzia wyłamała się, aparat fotograficzny sam jej wlaźł do ręki. Teresa zaniechała urągań, bo zabrakło jej sił, moja mamusia uporczywie domagała się określenia przedmiotu poszukiwań. Rozgorączkowany Michał porzucił pracę, udał się do muzeum, załatwił sobie delegację służbową do Woli i bardzo szybko wrócił. Marek spenetrował wnętrze studni z zegarmistrzowską dokładnością, po czym nie wytrzymał i wziął udział w katorżniczym szaleństwie.

Późnym popołudniem, rozgrzebawszy gruntownie górę odłożonych na bok śmieci, natrafił na niewielkie, płaskie, metalowe pudełko, stare, ale niezbyt zniszczone.

— To chyba będzie to, bo nic innego nie pasuje — rzekł w zamyśleniu i zwrócił się do Franka. — Czy nie ma pan gdzieś małego, płaskiego kluczyka?

Franek otarł pot z czoła i obejrzał pudełko.

— Są stare rupiecie, jeszcze po ojcu — odparł niepewnie. — I tak mi się widzi, że tam może być kluczyk do tego. Jakoś ich nigdy nie wyrzuciłem. . .

Znikł za oborą. Ziajana rodzina oderwała się od galernicznych wysiłków i zagapiła w pudełko. Michał obmacał je ze wszystkich stron.

— Tabakierka z końca zeszłego wieku — powiedział odruchowo. — Czasem bywały zamykane na kluczyk, ale rzadko. Myśli pan. . . ?

— Zobaczymy. Mogło być tak, że wybuch wojny skomplikował sprawę. Każdy mógł zginąć nagle. Powinni byli przekazywać wiadomość o skrzyni ustnie, ale w takiej sytuacji coś zostawili. Może wiadomość na piśmie. . . Ojciec Franka zamierzał powiedzieć mu o tym przed śmiercią. . .

— No i powiedział — sarknęła Lucyna. — Że tutaj. . .

— Właśnie. I to ma oznaczać to „tutaj”. Nie skrzynia, tylko wiadomość. Wrzucił pudełko do suchej, zasypanej studni i wykuł na kamieniu strzałkę, która powinna wpaść w oko już przy pierwszej próbie odkopania. . .

— To ono było chyba blisko wierzchu? — zauważyła moja mamusia.

— Na pewno. Dzięki czemu znalazło się teraz na samym spodzie. Można było je znaleźć bez tego całego szarpania.

— Cholera — powiedział ponuro Jędrak.

— To cud, że w ogóle nie zginęło! — westchnęła ciocia Jadzia.

— Jeszcze nie wiadomo, czy rzeczywiście chodzi o to pudełko — mruknęła Lucyna z powątpiewaniem.

Na myśl, że pudełko okaże się niewypałem i trzeba będzie wznowić poszukiwania nie wiadomo czego, wszystkim zrobiło się trochę słabo. Jędrak splunął trzy razy przez lewe ramię, Michał spojrzął na Lucynę z bolesnym wyrzutem. Moja mamusia przypomniała sobie nagle, że ma wątrobę, i chwyciła się za prawy bok.

Wrócił Franek z kilkoma kluczami. Jeden z nich pasował do zardzewiałego zameczka. Pozwolił się przekręcić. Rodzina przestała oddychać.

W pudełku leżała biała koperta, złożona na pół, nieco przyżółcona wilgocią. Wszyscy zbiorowo złapali oddech i utkwili w niej dziki, zachłanny wzrok. Marek podsunął pudełko Michałowi.

— Niech pan wyjmie ostrożnie, może się rozlecieć. . .

Michał, okropnie blady, wyjął kopertę jak świętość i rozłożył z najczulszą delikatnością. Okazała się zaklejona i w ogóle trzymała się nieźle. Adresu na niej nie było.

— Widzi mi się, że to chyba ta — mruknął Franek po chwili ogólnego milczenia. — Ta, co ją ojciec dostał, a potem nigdzie nie mogłem jej znaleźć. . .

— To już mu chyba przebaczę, że nam takiego popędu dodał — westchnęła Teresa wspaniałomyślnie. — Otwórzmy ją może, co?

— Lepiej w domu — powiedział niepewnie Michał.

— Lepiej, lepiej — przyświadczyła gorliwie ciocia Jadzia. — Tutaj jest niebezpiecznie. Ciągłe mi się wydaje, że ten bandyta nas podgląda. . .

— Jeśli ma chociaż trochę oleju w głowie, powinien nas podglądać przez cały czas — oznajmiłam stanowczo.

— Idziemy! — zarządziła niecierpliwie moja mamusia. — Nie wiem, na co jeszcze czekacie. . .

Wyglądało to co najmniej jak pochód koronacyjny. Pierwszy szedł Michał, niosąc kopertę na rozwartych dłoniach niczym koronę na atłasowej poduszce. Za nim postępowali Marek i Franek w charakterze ni to obstawy, ni to uroczystej asysty. Dalej pchały się wszystkie baby, a zamykał procesję Jędrak na wszelki wypadek z widłami w ręku. Ciocia Jadzia, mimo obaw, nie wytrzymała, odskoczyła na bok i pstryknęła kilka zdjęć. Na podwórzu Michał potknął się o Pistoleta, który goniąc kota wpadł mu pod nogi, upuścił kopertę i wlaź na nią butem.

Wszyscy wtoczyli się do pokoju na piętrze, pomieszczenia parterowe nie wydawały nam się bowiem dostatecznie bezpieczne. Gdyby Franek miał wieżę, niewątpliwie wleźlibyśmy na wieżę.

Michał położył na stole przydeptaną kopertę, wybrał jedno z podawanych mu sześciu narzędzi, drut do wełny numer dwa, pohamował drzenie rąk i ostrożnie ją przeciął. Wewnątrz znajdowała się zapisana kartka, co zostało powitane zbiorowym westchnieniem ulgi, przypominającym wypuszczanie pary z parowozu. Do ostatniej chwili wszyscy obawiali się, że koperta jest pusta. Michał chciwie rozłożył kartkę.

— Pismo ostatniego Łągiewki! — oznajmił od razu głosem zdławionym ze wzruszenia. — Boże wielki! Posłuchajcie!

@”Wielce szanowny panie! W obliczu grożącej zewsząd śmierci łamię złożoną ojcemu memu przysięgę i pozostawiam na piśmie wieść przekazywaną dotychczas ustnie z pokolenia na pokolenie. W razie mojej śmierci pozostanie pan jedynym depozytariuszem powierzonego nam obu mienia. Spoczywa ono tam, skąd szanowny pan przed laty czerpał źródło życia, na samym dnie. Dokumenty ukryłem w piwnicy obecnie zamieszkiwanego domu. Oby Bóg pozwolił panu przetrwać te straszne czasy”.

Podpisał Bolesław Łągiewka.

— I data. Węgrów, 1 października 1939 roku.

Michał opuścił rękę z kartką i popatrzył na nas roziskrzonym wzrokiem. Gapił się na niego wzajemnie przez dłuższą chwilę.

— Przeczuł, biedak... — westchnęła rzewnie ciocia Jadzia.

— Źródło życia! — powiedziała z jękiem Lucyna. — O matko... Na samym dnie...

— Studnia? — podsunęłam niepewnie.

— Która studnia, na litość boską?! — wrzasnęła buntowniczo Teresa. — Przeszukaliśmy już dwie, nie, trzy, licząc tę w Tończy! Ile tych studni jeszcze będzie?!

— Dla mnie to nic nowego — oznajmiła spokojnie moja mamusia, odsunęła krzesło i usiadła przy stole. — Od początku wiem, że trzeba szukać w studni!

— Skąd szanowny pan czerpał źródło życia — powtórzył Michał, odchodząc niemal od zmysłów. — Źródło życia i na dnie... To musi być w tutejszej starej studni!

— Chyba że ktoś to ukradł — zauważyłam ponuro. — Franek, byłeś tu cały czas...

— Nikt niczego nie kradł z żadnej studni — odparł stanowczo Franek i w głosie jego pojawił się nagle akcent rozpaczy. — Jak rany Boga żywego, chyba nie myślicie, że to ja...! Albo mój ojciec...! Chryste Panie...!

— Półgłówek — ucięła krótko Lucyna. — Odczep się od siebie i od swojego ojca, dobrze? Trzeba się zastanowić.

— Nad czym? — warknęła Teresa. — Już dwie studnie okazały się puste, gdzie masz tę trzecią, faszerowaną?!

Lucyna wzruszyła ramionami, odebrała Michałowi swój drut i wetknęła go w kłębek wełny. Marek w zamyśleniu popatrzył w okno.

— Na tej kopercie nie ma adresu — rzekł powoli. — A jeśli on to pisał do kogoś innego...

— A ojcu dał tylko na przechowanie? — ożywił się Franek. — I ta cholerna studnia jest całkiem gdzie indziej, u kogoś innego? Może tak być!

— U nieboszczyka Mieniuszki, co? — podsunęła jadownicę Teresa.

— Tu święcili — przypomniałam.

Michał popatrzył na nas wzrokiem pełnym rozpaczy, a potem uniósł kartkę.

— Do Antoniego Włókniewskiego, syna Franciszka, we wsi Wola — przeczytał z rozgoryczeniem. — Napisane jest u góry jak byk...

— W takim razie zaczynamy na nowo starymi, dobrymi metodami — powiedział Marek z westchnieniem. — Jak tu było dawniej? Panie Franku...

— Nijak nie było, wszystko było, jak jest — odparł Franek posępnie. — Tyle że mieszkaliśmy w starej chałupie...

— Oj, po co wy go pytacie, ja to wiem lepiej — przerwała moja mamusia niecierpliwie. — Przyjeżdżałam tu, jak jego jeszcze na świecie nie było. Dom był w oborze, a tu, gdzie teraz siedzimy, rosły porzeczki. Reszta stała, jak stoi, wszystko doskonale pamiętam.

— I nie wiedziałaś, gdzie była studnia? — spytałam z naganą.

Moja mamusia spojrzała na mnie nagle olśniona. Wszyscy zamilkli zaskoczeni i spojrzeli na nią. Coś tu się wydawało nie w porządku...

— Rzeczywiście, maglowałaś o studnię Franka — przypomniała potępiająco Teresa.

— Nie pamiętasz studni? — spytała napastliwie Lucyna. — To niby co tak doskonale pamiętasz?

Moja mamusia ocknęła się ze swego olśnienia.

— Jak to co? Wszystko! Wcale nie było studni tam, gdzieśmy kopali! Studnia była przy drzewie, sama z niej brałam wodę.

— Przy jakim drzewie? — spytał Franek nieufnie.

— Przy dębie. Ona była nawet blisko tej pierwszej rozkopanej, ale bardziej w stronę dębu. Zupełnie o niej zapomniałam!

Przez chwilę wydawało się, że dwie młodsze siostry uduszą starszą, a pomoże im w tym bratanek. Gdyby wzrok mógł zabijać, już by ją mieli z głowy. Michał Olszewski uciał w zarodku rwące się z ust okrzyki.

— Zaraz — rzekł pośpiesznie. — Kiedy to było? Czy ona była najdawniejsza?

— Wcale nie była najdawniejsza, najdawniejsza była ta rozkopana na początku. Już wtedy była stara i zasypana. Ta przy dębie też była stara i stryjek nawet coś mówił o wykopaniu nowej studni, bo z tej woda zrobiła się jakaś żelazista. . .

Michał zerwał się z krzesła i usiadł z powrotem.

— Żelazista! Jeżeli skrzynia była okuta. . . Żelazo rdzewiało. . . Gdzie jest to miejsce?!

— No przecież mówię, przy dębie..

— Matko cudowna, trzecia studnia. . . — zakwiliła cichutko Lucyna.

Teresa powoli podniosła się na skraju łóżka z obłędem w oczach.

— Czy cały świat usiany jest studniami naszych przodków? — spytała dziwnym głosem. — Czy ja już do końca życia będę rozkopywała studnie po pradziadkach?! Ja nie chcę tych trzystu pereł!!!

* * *

Trzecia studnia znalazła się już kilku godzinach poszukiwań. Dąb, samotny, stary i potężny, rósł na skraju uprawnego pola, w odległości czterdziestu metrów od ruinki. Kamienny krąg pojawił się pod trawą mniej więcej w połowie drogi. Aż dziw brał, że nie został do tej pory gruntownie przywalony kamieniami, bo na tyłach obory wznosiły się już istne piramidy.

Marek objął komendę nad całością działań. Wbrew protestom Michała i mojej mamusi w pracach wykopaliskowych zarządził przerwę i całą rodzinę oddelegował do prac polnych. Włączony w studzienną katorgę Franek skandalicznie zaniedbał gospodarke. Odnalezioną studnię mieliśmy się zająć dopiero po ukończeniu żniw i odwalić ją jednym ciągiem, nie zostawiając złoczyńcy czasu na żadne machinacje. Franek odetchnął z ulgą i od świtu wyjechał w pole w dwie maszyny, rodzina przystąpiła do ustawienia mendli, ciocia Jadzia dawała upust namiętności, pstrykając co popadło, ja zaś zostałam wypchnięta do zakładu fotograficznego w celu wywołania filmu z zelówkami zbrodniarza. Musiałam udać się z tym do Warszawy, w Węgrowie bowiem tematy zdjęć mogły wzbudzić niepotrzebną sensację. To nieboszyk, to jakieś wielkie łapy, to inne nietypowe elementy...

Z mojego przyjazdu do Warszawy nadzwyczajnie ucieszył się ojciec, który właśnie zaczął urlop.

— Miałem jechać do Woli jutro — powiedział. — Ale jak tak, to pojedę dzisiaj z tobą. Zaraz będę gotów.

W drogę powrotną udałam się zatem razem z ojcem, do którego wykrzyczałam w czasie jazdy wszystkie sensacyjne wiadomości. Było mi trochę niewygodnie, bo ojciec siedział z tyłu i musiałam wrzeszczeć za siebie. Na przednim siedzeniu

nie chciał jechać za nic w świecie, ponieważ trzydzieści lat temu przeżył katastrofę samochodową i do tej pory został mu uraz. Ile dosłyszał z moich ryków, nie miałam pojęcia, w każdym razie dopytywał się o szczegóły z wielkim zainteresowaniem. Starłam się zaspokoić jego ciekawość możliwie dokładnie, na miejscu bowiem rozmowa z ojcem na temat skarbu była wykluczona. Ustawicznie zdejmował swoje okulary ze słuchawkami i przestawał słyszeć, a zdejmował je, ponieważ ich nie lubił. Wywrzaskiwanie tajemnicy na cały powiat wydawało nam się absolutnie niewskazane i ostatecznie ojciec musiał poprzestać na informacjach uzyskanych ode mnie w czasie drogi. Gdybym wiedziała, co z tego wyniknie, nie odezwałabym się ani jednym słowem.

Wróciłam do Woli pod wieczór. Następnego dnia o świecie wszyscy znów poszli w pole, zaś ojciec na ryby. Marzył o tych rybach już od zimy i nie było takiej siły, która zdołałaby go do nich zniechęcić. Lucyna go nawet popierała z cichą nadzieją, że może coś złapie.

Ze żniwami należało się śpieszyć, bo owies się już osypywał i nawet pszenica dojrzała. Franek był ostatni, przynosił wstyd całej wsi, a przy tym, jak na złość, akurat tego roku miał więcej zboża niż zwykle. Ponadto telewizja przepowiadała cudownie piękną pogodę, więc obawialiśmy się, że tylko patrzeć, jak zaczną się deszcze. Pracowaliśmy niczym szatany, dodatkowo gnani myślą o studni, która tym razem nie powinna już zawieść oczekiwań.

Wróciliśmy wieczorem kompletnie ochwaceni. Za oborę poleciał tylko Michał Olszewski, który część godzin pracy spędził w muzeum i trzymał się najlepiej, ponieważ nikt nie wymagał tam od niego zbyt wielkich wysiłków fizycznych. Poleciał i zaraz wrócił niezmiernie wzburzony.

— Proszę państwa, draka! — zawołał strasznym szeptem. — On rozkopał studnię! Tę pod dębem! Pół wywalone...!

Jak jeden mąż oderwaliśmy się od wykonywanych zajęć i popędziliśmy za nim, bo rzuciwszy hiobową wieść, natychmiast zawrócił. Teresa wyskoczyła z łazienki, Marek i Jędrak, ociekając wodą, porzucili kran na podwórzu, moja mamusia popędziła z wielkim nożem kuchennym, którym kroїła boczek do jajecznicy.

Ojciec popędził ostatni i on jeden tylko pytał, co się siało, bo złowieszczy szep-
tu Michała nie dosłyszał.

Trzecia studnia rozkopana była częściowo. Dół miał przeszło półtora metra,
kamienie uzupełniły górę obok. Wewnątrz tkwiła drabina, na obmurowaniu leżał
wiklinowy kosz ze sznurkiem przywiązany do ucha.

— No wiecie! — powiedziała Teresa z oburzeniem i zgrozą. — To już bez-
czelność! Nawet się nie ukrywa, zostawił sobie wszystko przygotowane! Co za
bydlak!

Franek ze zdumieniem obejrzał przyrządy pomocnicze.

— Nasza drabina! — stwierdził. — I nasz kosz!

— Nie wierzę! — wykrzyknęła Lucyna. — Nie byłby taki głupi, żeby w biały
dzień...! To musiał być ktoś inny!

— Ale chyba trochę pracy nam zaoszczędził? — powiedziała niepewnie ciocia
Jadzia.

— No! — przyświadczył Jędrzek z tłumionym zachwytem. — Odwalił robotę,
że hej!

— O co chodzi? — spytał ojciec. — Więcej nie zdążyłem, ale jutro pogłę-
bię...

Na moment zapadła cisza, wszyscy spojrzeli na ojca osłupiałym wzrokiem.
Ojciec zajrzał do studni.

— Im głębiej, tym trudniej — wyjaśnił z lekkim zakłopotaniem. — Przez
jeden dzień nie dam rady, ale pojutrze skończę.

— Zapytajcie go, co on mówi, bo ja nie mam siły — powiedziała słabo moja
mamusia.

— Tato, to tyś tu kopał? — wrzasnęłam gromko.

— Oczywiście, że ja — odparł ojciec. — Nikogo innego nie było.

Odjęło mi mowę. Marek i Lucyna spojrzeli na mnie wzrokiem bazyliuszka.
Ojciec promieniał zadowoleniem.

— Przecież poszedłeś na ryby! — zajęczała cicho Teresa. — Jak mogłeś rów-
nocześnie być na rybach i tu kopać?

— Co? — spytał ojciec.

Teresa nabrała tchu.

— Na ryby poszedłeś! — ryknęła straszliwie.

— No owszem, byłem na rybach, ale wcale nie brały. Dzisiaj zły dzień na ryby. Więc wróciłem i pomyślałem, że mogę wam trochę pomóc. . .

Moja mamusia nagle odzyskała siły.

— To dlaczego nie przyszedłeś na pole? Tam trzeba było pomóc!

— Bo ja nie wiem, gdzie to jest. A tutaj wiem, że to należy wykopać. . .

— Coś ty ojcu powiedziała?! — rzuciła się na mnie Lucyna.

— Nic, jak Boga kocham! — przysięgam. — To znaczy to co trzeba! Mówiłam, że tego nie należy ruszać, ale możliwe, że nie dosłyszała. Nie wiem, które dosłyszała, a którego nie!

— Rany boskie, co robić?! — jęknął Michał i załamał ręce.

Franek nad studnią w zamyśleniu drapał się po głowie. Moja mamusia, wspomagana przez Teresę, wymyślała ojcu.

— Kto cię prosił, żebyś rozwał studnie! Co ci do głowy strzeliło?! To my rozkopujemy studnie, a nie ty!

— Kiedy ja nie wiedziałem, że wy to tak lubicie — tłumaczył ojciec. — Trzeba mi było powiedzieć. . .

— Nie, ja nie mogę. . . — jęknęła słabo Teresa i chwyciła się za głowę.

Lucyna zaczęła chichotać. Ciocia Jadzia usiłowała załagodzić sytuację, podkreślając fakt, że ojca bandzior nie zabił. Michał zlął do studni i obmacywał kamienie pod nogami. Marek westchnął ciężko.

— Głupia sprawa — rzekł z troską. — Wszyscy zmęczeni. Trzeba by tego pilnować. . .

— Po co? — zaprotestowała gniewnie Teresa. — Najwyżej przyjdzie i zawali, niech zawala, odwalimy z powrotem. Mój szwagier, jak widać, wyrywny do roboty.

Marek pokręcił głową.

— Gorzej. Tym razem on może nie zawalić. Może przyjść z pomocnikiem i dokopać się dna. Na upartego w jedną noc zdąży.

— Niech Bóg broni! — krzyknął żarliwie Michał, podrywając się z głębi studni.

— Ty coś wiesz? — spytałam nieufnie.

— Mam podejrzenia. Moglibyśmy sami to zawalić, ale szkoda sił.

— Wykopmy do końca! — zaproponowała moja mamusia.

— Żeby mu ułatwić? Kto ma kopać? Ja sam się nie podejmuję. A jeżeli coś znajdziemy, trzeba to będzie zabezpieczyć, do jutra nie skończymy. A żniwa co?

— Jeszcze ze dwa dni i byłby koniec — wtrącił smętnie Franek.

Michał Olszewski wystawił ze studni głowę i ramiona.

— Ja popilnuję, proszę państwa — rzekł stanowczo. — Jestem najmniej zmęczony. A z dotychczasowych doświadczeń widać, że wystarczy go spłoszyć i już nic nie zrobi. O to przecież chodzi, nie?

— Czy pan wie, że to niebezpieczne? — spytał grzecznie Marek.

— Wiem, oczywiście. To znaczy, zależy co. Nie będę się do niego zbliżał, ukryję się gdzieś i w razie czego narobię krzyku. Poza tym wezmę coś do ewentualnej obrony. . .

Zmrok zapadał, całodzienne żniwne wysiłki padły wszystkim także i na umysł. Stało na tym, że Michał Olszewski zaczął się wśród kamieni przy studni, postara się nie spać, zaś w wypadku dostrzeżenia złoczyńcy wyskoczy z krzykiem i ucieknie. Wyrwanie ze snu całej rodziny zmusi wroga do odwrotu, a takie osiągnięcie chwilowo nam wystarczy. Nazajutrz podejmiemy decyzję w kwestii dalszego działania.

Rozwiązanie wszystkim przypadło do gustu. Marek po namyśle pozwolił mi włączyć się do akcji. Wiadomo było, że pójdę spać ostatnia, miałam zatem wytrzymać do jedenastej.

— O jedenastej mnie obudzisz — zarządził. — Pan będzie siedział przy studni, a ja się przejdę dookoła. Tak będzie bezpieczniej.

— Ale on może pana zabić! — zaprotestował Michał.

— Raczej nie. Prędzej spróbuje zabić pana. Wiem, co robię, i nic mi nie grozi. Pan się powinien schować jak najwcześniej. . .

— I niech pan weźmie ze sobą coś do jedzenia — poradziłam. — Bo wyraźnie widać, że teraz panu posiłek przez gardło nie przejdzie...

* * *

Michał Olszewski połowę kolacji jednakże zjadł, połowę zaś, zgodnie z moją radą, zabrał ze sobą. Zaopatrzony w latarkę elektryczną i halabardę ulokował się pomiędzy kamieniami. Plecy miał osłonięte solidną górą, a przed sobą doskonały widok na studnię, drzewo i ścieżkę. Pełen niebotycznej emocji zamarł w bezruchu.

Czas płynął. Księżyc zaszedł. Zrobiło się prawie zupełnie ciemno. Do szaleństwa przejęty Michał trwał nieruchomo w okropnym napięciu. Mniej więcej po roku, czy też dwóch latach, zdecydował się ostrożnie spojrzeć na zegarek i fosforyzujące wskazówki wykazały, że siedzi tak już całe trzy kwadranse.

Przypomniał sobie, że na czatach czas ma inny wymiar. Poruszył się, westchnął, napięcie mocno zelżało, poczuł się głodny, zjadł zatem kolację do końca, odrzucając na kupę kamieni serwetkę z kośćmi kurczaka i okruszynami chleba. Szczęki rozdarło mu nerwowe ziewnięcie.

Czas w ogóle przestał płynąć, stanął w miejscu. Michał poczuł, że mu wszystko drętwieje, i zaniepokoił się, czy wytrzyma do świtu. Wstał tego dnia o czwartej rano, do ósmej pracował przy Frankowych żniwach, od dziewiątej do trzeciej siedział w muzeum, od czwartej do ósmej wieczorem znów brał udział w pracach polnych. Możliwe, że nie był tak doskonale wyspany...

Zmienił pozycję szesnaście razy, kiedy wreszcie nadeszła północ. Teraz już mógł być pewien, że sojusznik krąży w pobliżu. Ciemność dookoła gęstniała, cisza panowała prawie zupełna, z oddali dobiegało tylko rechotanie żab i od czasu do czasu poszczekiwały psy. Nic się nie działo i Michał całkowicie rozluźnił napiętą uwagę, gdy nagle wydało mu się, że słyszy coś bliżej. Coś jakby szelest zarośli i czyjeś chrapliwe westchnienie.

Wrażenie było straszne. Michał nigdy w życiu nie bawił się w podchody ani w Indian, był dzieckiem miejskiej cywilizacji, o czatowaniu w ciemnościach wyłącznie czytywał. Wytrzeszczył oczy, aż zaczęły mu łzawić, i wydało mu się, że czerń pod dębem jakby się poruszyła. Poruszyła się i znieruchomiła. Nie dawało się dostrzec nic innego, jak tylko ten krótki ruch w ciemności. Niewątpliwie skradła się tam morderca. . . To bestialskie, zbrodnicze indywiduum zakradło się pod dąb i teraz usiłuje rozpoznać teren. Siedzi tam i czeka, kto mu się tu pokaże. . .

Powolutku, delikatnie, płynnymi ruchami Michał zmienił pozycję. Przyklął i krzepko ujął halabardę, całkowicie zapomniawszy o posiadaniu latarki elektrycznej. Pomyślał, że w razie czego zdoła się obronić, a na ucieczkę i krzyki jeszcze chyba za wcześnie. . .

Tak długo nie działo się nic i tak długo ciemność pod dębem trwała w bezruchu, że Michał nie wytrzymał. Nie wypuszczając halabardy z ręki, przysiadł na boku i oparł się łokciem o kamienie. Pomyślał, że pewnie mu się przywidziało. Następnie pomyślał, że przez takiego parszywego bandziora musi tu tkwić i opływać zimnym potem. Co to za świnia jakaś ostatnia, mordować ludzi, czyhać na cudze rzeczy, marnotrawić, niszczyć skarby sztuki. . .

Wyrywał skarby sztuki spod zachłannych, świńskich ryjów. Ryje, pochrząkując z lubością i chrupiąc, pożerały filiżanki z miśnieńskiej porcelany. Jeden ryj zabrał się do srebrnego świecznika, zrozpaczony Michał chwycił świecznik, szarpnął, ryj nie puszczał, świecznik rozciągnął się niczym guma, ryj pchał się, wyżerał mu prawie z ręki. Michał szarpnął się w tył. . .

Coś twardego uderzyło go w łopatki, otworzył oczy. Dookoła była ciemność, za plecami miał kamienie. Poczuł się jakoś niewyraźnie, skąd mu się wzięły te świńskie ryje, nie spał przecież. . . ?

Pod dębem nic się nie ruszało, za to bliżej, wśród kamieni, coś zaszeleściło. Michałowi zrobiło się gorąco. Znow wytrzeszczył oczy i wydało mu się, że u podnóża stosu kamieni tkwi jakaś czarna masa, której przedtem nie było. Czarna masa, skupiona, niska, nieruchoma. . .

Następny rok czekał na inicjatywę czarnej masy, która bez wątplenia była skradającym się wrogiem. Wróg zamarł na czworakach. Michał też. . .

Wróg wdzierał się na mury, których Michał bronił. Michał wdzierał się na mury, których bronili liczni wrogowie. Ciskali do fosy i na mury puchary z we-neckiego szkła, puchary rozpryskiwały się z dźwięcznym trzaskiem, należało im je koniecznie odebrać, zanim wytluką wszystkie. Michał poderwał się do boju, wróg zjechał z murów z drugiej strony z hurkotem kamieni. . .

Michał znów otworzył oczy, choć przysięgłby, że nie zamykał ich ani na moment. Mury, fosa i puchary znikły, wróg nie. Wróg wdzierał się na stos kamieni od drugiej strony. Michałowi przemknęło przez myśl, że musi tu być doskonale ukryty, skoro tamten nic o nim nie wie, lezie z takim hałasem, nie zachowując żadnej ostrożności. Zaraz się ukaże. . .

Nawet mu do głowy nie przyszło, że miał się przecież nie narażać, tylko uciekać i alarmować krzykiem. Wyrwany z drzemki atakiem wroga zgłupiał nieco, naprężył mięśnie i ścisnął mocniej halabardę.

I nagle coś czarnego wyrosło mu jakby nad głową. Coś czarnego runęło wprost na niego z jakimś okropnym, nieartykułowanym, chrapliwym rżeniem. Na myślenie Michał nie miał już czasu, zadziałał instynkt, odruch obronny. W tym odruchu, podrywając się na nogi, Michał z całej siły pchnął halabardą. Halabarda w coś trafiła, czarny wróg stoczył się z kamieni i runął prosto do studni, wydając z siebie cienki, krótki krzyk. . .

Po jakimś nieokreślonym, przeraźliwie długim czasie Michał Olszewski z kamienia przeistoczył się z powrotem w ludzką istotę. W istotę tak przerażoną, że ogrom tego przerażenia przerastał wszystko. Nastąpiło coś potwornego. Zabił człowieka!!!

Obie z Lucyną zostałyśmy wyrwane ze snu w sposób brutalny i urągający dobremu wychowaniu. Michał Olszewski szarpał mnie lewą ręką, w prawej cały czas ściskając halabardę z ostrzem pokrytym jakąś brunatną mazią.

— Zabiłem go! — jęczał strasznie. — Zabiłem go! Skradał się! Runął na mnie! W czarnej opończy! Zabiłem człowieka!

Rzut oka na halabardę upewnił nas, że nie majaczy.

— To i chwała Bogu — zawyrokowała nerwowo Lucyna, usiłując wydrzeć mu szlafrok. — Nie wycieraj, synku, tego narzędzia moim szlafrokiem. . . Zabiłeś go, bardzo dobrze, będzie wreszcie spokój. . .

— Zabiłem człowieka. . . — jęczał rozdzierająco półprzytomny Michał. — W czarnej opończy. . . ! Rzucił się na mnie. . . !

W pośpiechu nie mogłam znaleźć pod łóżkiem rannych pantofli. Błysnęła mi myśl, że skąd opończa, ale odpowiedź przysłała od razu. Pewnie znów jakaś historyczna postać. Jeszcze nam tylko tego brakowało, żebyśmy sami zaczęli ich zabijać, potworne, co ten Michał zrobił. . .

Lucyna była okropnie blada, ale usiłowała trzymać się twardo.

— Gdzie on jest? — spytała rzeczowo. — Przy studni?

— Co? Nie. . . Wleciał. . . Wleciał do studni. . .

— A kto to był? Ktoś znajomy?

— Nie wiem. . . Zabiłem go. . . Rzucił się na mnie. . .

Lucynie udało się wreszcie włożyć szlafrok. Jęcząc i szczękając zębami, Michał Olszewski poprowadził nas na miejsce swojej zbrodni. Usiłowałam go po drodze pocieszyć, tłumacząc, że zabił tego kogoś w obronie własnej, ale sama się czułam niewyraźnie. Zza obory dobiegło szczekanie psa.

— Obszczekuje zwłoki — szepnął Michał martwym głosem.

— Wie, co robi — rzekła Lucyna z zimną krwią. — A przedtem co? Nie szczekał?

— Nie wiem. Nie słyszałem. . .

W szarym blasku wstającego poranka coś niecoś było już widać. Wyjrzelśmy zza węgła obory. Pistolet stał nad studnią i szczekał w głąb, bardziej można było domyślić się go, niż zobaczyć.

— Dziwne — zauważyła Lucyna niespokojnie. — Pistolet szczeka, zamiast wyć. Może on jeszcze żyje?

— Wolałbym chyba, żeby żył. . . — wymamrotał niepewnie Michał.

Osobiście też bym wolała. Jediną pociechę stanowiła nadzieja, że może zabił mordercę. Ostrożnie zajrzeliśmy do studni, wybałuszając oczy w ciemność.

Po dłuższym patrzeniu można było dostrzec w głębi jakąś czarną masę, zupełnie nieruchomą.

— Chyba jest — stwierdziła Lucyna. — Rzeczywiście, w czarnej opończy...

— Może i w opończy, ale nic nie widać — powiedziałam z niezadowoleniem.
— Trzeba było wziąć latarkę. Pan miał latarkę...

Michał obejrzał się bezradnie. Miał latarkę, ale gdzieś mu przepadła. Powinna tu leżeć. W zdenerwowaniu i pośpiechu zapomnieliśmy o latarkach, chociaż w pokoju były pod ręką dwie. Przez chwilę nerwowo i bezmyślnie gmeraliśmy między kamieniami, po czym znów spróbowaliśmy zajrzeć do studni. Z całą pewnością na dnie leżała czarna masa, nie wiadomo, żywa czy martwa. Wszystko razem wydawało się zupełnie rozpaczliwe.

— Matko Boska, co teraz będzie...? — wyszeptał załamany Michał.

— A po coś go właściwie zabijał, synku? — zainteresowała się nagle Lucyna.
— Miałeś go tylko spłoszyć i uciec z krzykiem.

— Nie wiem — odparł niemrawo Michał. — On się na mnie rzucił zniemacka. Z góry, z tych kamieni. Zapomniałem, że mam uciekać. Bo tego... Nie wiem...
Możliwe, że się zdrzemnąłem...

Z całą szczerością opowiedział nam swoje przeżycia na czatach. Okazałyśmy mu zrozumienie. Pistolet przestał szczeekać do studni i szczeeknął raz w kierunku drogi. Staliśmy wszyscy troje nad dziurą i nie było wiadomo, co teraz robić.

Na szczęście w tym właśnie momencie z szarego mroku wyłonił się Marek.

— Na litość boską, co się tu dzieje? — spytał z irytacją. — Co wy tu wyprawiacie?

Jedno przez drugie wyjaśniliśmy mu, że Michał zabił człowieka w czarnej opończy, z tym że zabił go w obronie własnej. Opis okoliczności towarzyszących wychodził nam nieco chaotycznie. Marek wysłuchał bez słowa, zajrzał do studni, po czym popatrzył na nas.

— Tu nie było żadnego człowieka — oznajmił zimno.

— No przecież leży! — oburzyła się Lucyna.

Marek znów zajrzał do studni. Przyglądał się dość długo z kamiennym wyrazem twarzy, przykląkł i poświecił sobie, bo on jeden miał latarkę. Czekaliśmy w napięciu, nie ośmielając się zajrzeć również.

— Nie do wiary — rzekł w końcu, podnosząc się. — Czekajcie tu spokojnie, przyniosę drabinę.

Nie wiadomo, po co popędziłam za nim do stodoły, gubiąc ranne pantofle, bo mojej pomocy przy wleczeniu drabiny wcale nie potrzebował. W drodze powrotnej natknęłam się na Teresę i ciocię Jadzię, które od razu uszczęśliwiłam informacją o nowej zbrodni. Teresie zabrakło głosu, ciocia Jadzia potknęła się o coś i runęła mi na plecy. Marek opuścił drabinę do studni jakoś niezbyt ostrożnie.

— Czy nie ustawiasz jej na zwłokach? — spytałam niespokojnie. — Nawet jeśli to morderca i nawet jeśli już nie żyje, to chyba jakoś nie wypada. . .

— Weź latarkę i poświeć lepiej od góry — odparł na to i wlaź do studni.

Ciocia Jadzia i Teresa szeptały na uboczu z Lucyną, wydając półgłosem dramatyczne okrzyki. Michał klęczał na obmurowaniu niczym symbol skruchy i rozpacz. Marek na dnie starannie badał nieboszczyka. Tamte trzy przestały szeptać, zbliżyły się do dziury, Marek wylaź w chwili, gdy Teresa zaczęła uroczyście:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie. . .

Marek przeczekał modły grzecznie i w milczeniu. Wyraz twarzy miał taki, że zaczęłam węszyć jakiś kant. Coś tu nie grało z tą zbrodnią Michała Olszewskiego. . .

— Wyjątkowy okaz — powiedział do Michała, kiedy Teresa skończyła. — Moje gratulacje, tak trafić jednym ciosem! Mówiłem, że nie było tu żadnego człowieka.

— Co? — spytała ciocia Jadzia po chwili zaskoczonego milczenia. — Co on mówi?

— W takim razie, kto tam leży? — spytała Lucyna z szaloną ciekawością.

Michał patrzył na Marka bez tchu, z wyrazem tępej rozpacz.

— Wieprz — powiedział Marek. — Wspaniały okaz, chyba ze dwieście pięćdziesiąt kilo. Zastanawiam się, jak przy tej wadze mógł chodzić. . .

Więcej mu się nie udało powiedzieć. Lucyna dostała czegoś w rodzaju konwulsji, Michał o mało nie wleciał głową na dół do studni, ciocia Jadzia, usiłując zajrzeć jak najgłębiej, upuściła do środka latarkę. Zeszłam po nią, żeby przy okazji obejrzeć z bliska czarną szczecinę złoczyńcy. Teresa urągała Markowi, nie mogąc mu darować, że pozwolił jej odmówić modlitwę nad zwłokami wieprza. Marek w końcu znów doszedł do głosu.

— Nie ma się z czego śmiać, nic dobrego z tego nie wyniknie — powiedział proroczo. — Najlepiej byłoby wydostać go ze studni i gdzieś podrzucić, zanim się rozwidni. Inaczej od rana będziemy mieli na karku milicję.

— Zaczniemy zaraz! — zawołał Michał nagle odrodzony. — Boże, co za szczęście! Za skarby świata nikogo więcej nie zabiję! Co potrzebne? Jakies sznurki?

Akcja wydobywania wieprza ze studni przerosła wszystkie nasze dotychczasowe poczynania. Wzięli w niej udział wszyscy, nawet moja mamusia. Franek i Jędrak włączyli się o świcie. Wieprz uporczywie stawiał opór i gdyby nie głęboka wiara w spoczywający pod nim skarb, zapewne usypalibyśmy mu po prostu gustowny kurhanek.

Franek tylko raz rzucił okiem.

— O Jezu Chryste, czarna świnia Paciorków! — rzekł zgnębiony. — No, to już się nam nie upiecze, Paciorek swego nie daruje. A ile razy mówiłem, żeby nie puszczał wieprza samopas, to nie! Wiecznie się to po wsi włościło. . .

Zamierzonego celu nie udało nam się osiągnąć.

O wschodzie słońca była już na nogach cała wieś i mieliśmy nie tylko licznych widzów, ale nawet pomocników. Nie wiadomo, kto zawiadomił milicję, dość że w chwili, kiedy wydobyte ze studni zwłoki legły na trawie obok, przybył przedstawiciel władzy. Nadszedł energicznym krokiem i obejrzał wieprza dokładnie i w milczeniu.

— No i tak, kurczę — rzekł wreszcie z mieszaniną zgryzoty i satysfakcji. — Nielegalny ubój, że proszę siadać. Panie Włókniewski, co pan. . . ?

— To nie mój — zaprotestował gorąco Franek. — Ja go nie szlachtowałem. Nie mój i nic mnie nie obchodzi!

— A czyj?

— Paciorków.

— Tak mi się wydawało, kurczę. Paciorek zaszlachtował?

— Nie.

— No to kto?

Zanim zdążyliśmy go powstrzymać, Michał Olszewski wystąpił.

— Ja — rzekł mężnie.

Sierżant obejrzał go z wyraźnym zdumieniem.

— Pan? Jakże...? To pański?

— Nie, przecież pan słyszy. Paciorków.

— Paciorek wyraził zgodę?

— Nie wiem. Raczej nie. Nie znam Paciorka.

— Jak pan nie zna Paciorka, kurczę, to dlaczego pan zaszlachtował jego świnie? Kradziona?

Michał Olszewski zachłysnął się i sčerwieniwał.

— Ależ co pan! Ja nie szlachtowałem... To jest, tego, to w ogóle pomyłka! Ja wcale nie chciałem tego wieprza zabić!

— Jak pan nie chciał, kurczę, to dlaczego pan zabił?

— Bo ja myślałem, że to człowiek...

Od tego momentu zrobiła się Sodomia i Gomora. Michał Olszewski usiłował wyjaśnić, z jakich przyczyn, oszczędzając wieprza, koniecznie chciał zabić człowieka. Nadleciał właściciel zwłok, ówże Paciorek, z piekielną awanturą, rzucając na wszystkie strony podejrzenia, jakoby zabito mu świnie przez zemstę. Ciągłe tu komuś miłe zwierzątko przeszkadzało! Milicjant z uporem traktował wydarzenie jako klasyczny przykład nielegalnego uboju, nie mogąc się tylko zdecydować, na kim ciąży odpowiedzialność za przestępstwo. Zarazem na poczekaniu próbował przeprowadzić śledztwo w kwestii zamiaru zamordowania człowieka. Nadjechała milicja z Węgrowa i zebrała się komisja mająca ocenić fachowość szlachtowania. Jednogłośnie uznawszy, iż wieprz został zabity absolutnie prawidłowym, rzeźnickim ciosem, poszukiwano noża. Informacji, że za narzędzie zbrodni posłużyła halabarda, nikt nie brał poważnie. Paciorek przestał się awanturować, bo padły na

niego podejrzenia, jakoby działał w zмовie. Michał Olszewski doszczętnie zapłatał się w zeznaniach i w końcu zaczął się wypierać udziału w uboju, bo organa MO przypomniały sobie, że tu już było parę zabójstw. Wyłoniła się alternatywa: albo Michał Olszewski mordował wszystkich, w tym wieprza, albo też nieznan sprawca zabił wieprza jako kolejną ofiarę. Z dwójga złego woleliśmy trwać przy drugiej wersji.

Po całym dniu nieopisanych komplikacji, wzmożonych przez dociekania w kwestii dziwnego krajobrazu za oborą Franka, sprawę rozstrzygnął młody sierżant, który już raz pytał nas o znajomość z Łagiewką.

— Mięso zbadane, świnia zdrowa, niech ją sobie Paciorek zabiera — zdecydował. — Za nielegalny ubój zapłaci karę. Będzie za sprawcę, bo ja w żadnym protokole nie napiszę, że tu zaszlachtowano świnie halabardą. Jeszcze bym musiał zbadać, skąd się wzięła muzealna halabarda. Pana Olszewskiego znam, wszystko rozumiem i nie będę się wygłupiał. Pan tę karę Paciorkowi zwróci i wszystko będzie w porządku. Zgoda?

Wyraziliśmy zgodę z zapalem i nareszcie wszystko wróciło do jakiej takiej normy.

Marek nie wtrącał się do świńskiej afery, przezornie zniknąwszy z horyzontu zaraz po wschodzie słońca. Pojawił się dopiero po odjeździe wieprza. Cała rodzina zgromadziła się w ogródku przed domem, odpoczywając po wstrząsach i usiłując nabrać nowych sił, bo w najbliższej perspektywie majaczyła kolejna skomplikowana noc. Połowicznie rozkopana studnia ciągle była w niebezpieczeństwie i należało się naradzić, co z tym fantem zrobić.

W ogródku znalazł nas sierżant.

— Państwo pozwolą, że się teraz przedstawię — rzekł z galanterią. — Starszy sierżant Stanisław Bielski. Lepiej późno niż wcale.

— Bardzo nam przyjemnie — powiedziała za wszystkich Lucyna i zaprosiła sierżanta do zajęcia miejsca w rodzinnym gronie.

Staszek Bielski usiadł na brzozowym pieńku, zdjął czapkę i powachlował się nią. Franek westchnął.

— Już wiem, co będzie — mruknął posepnie.

— Wcale pan nie wie — odparł sierżant Bielski stanowczo. — Proszę państwa, ja nie jestem ślepy. Tu już były dwie zbrodnie i widzę, że szykuje się trzecia. . .

— Trzecia też była — przerwała moja mamusia. — Tylko z tamtych nieboszczyków nie mieliśmy żadnego pożytku, a z tego będzie szynka i schab.

Wszyscy wzdrygnęli się wyraźnie, Teresa cicho jęknęła. Sierżant Bielski był odporny.

— Niech państwo wezmą więcej, bo zdaje się, że tu już nikt inny świni luzem nie puszcza — poradził. — Chciałem powiedzieć, że ja jestem też człowiek. I też mi zależy na awansie. Niech mi państwo tu nie opowiadają głodnych kawałków o zegarkach dziadka i koralikach babci, pogadajmy jak ludzie. Czego państwo szukają w tych studniach?

W ogródku zapanowało grobowe milczenie. Wyraźnie było widać, że nikt za skarby świata nie odezwie się ani jednym słowem. Staszek Bielski westchnął ciężko

— Ja bardzo dobrze wiem, że się z państwem nie dogadam — oznajmił smutnie. — Niech wam będzie, zacznę inaczej. Niejaki Adam Dudek znalazł u siebie w domu skrzyneczkę z dokumentami, byłem przy tym. Oddał tę skrzyneczkę do muzeum. Zgadza się?

Teraz Michał Olszewski nie mógł już milczeć.

— Zgadza — przyznał niechętnie.

— Ja tam tego odczytać nie mogłem, trudne pismo, ale panu się to na pewno udało. Przeleciało parę miesięcy i pokazał się pierwszy denat. Niby nic, żadnego związku, ale za jakiś czas, proszę, jest drugi denat. W tej samej okolicy. Niby ciągle nic, ale na miejsce zbrodni przyjeżdża cała jedna rodzina i zaczyna rozkopywać studnie. A z tą rodziną razem pan Olszewski z muzeum, czyli ten, kto odczytał dokumenty. Jeżeli to nie ma związku, to ja jestem, proszę państwa, hiszpański kardynał. Pomyślałem sobie, że może zawrzemy tu jakieś przymierze albo co, bo ja osobiście wątpię, czy to państwo tamtych dwóch zamordowali. Moglibyśmy pogadać po przyjacielsku. Inaczej my będziemy musieli robić oficjalne

przesłuchania, państwo będą musieli fałszywie zeznawać i po co to komu? Dokumenty trzeba będzie zabrać do ekspertyzy, jeszcze się poniszczą. . .

Michał Olszewski poruszył się nerwowo. Nie zwracając na niego uwagi, sierżant Bielski ciągnął dalej.

— Znaczy, wyjdą z tego same trudności i przykrości. A tak, porozmawiamy po ludzku, naradzimy się i od razu się okaże, co ważne, a co nie. To jak będzie?

— No! — popędziłam niecierpliwie Marka po chwili ogólnego milczenia. — Mówże coś!

— Nic nie powiem — odparł Marek stanowczo. — Musicie same zdecydować.

— To ja powiem! — wyrwał się Franek.

— Cicho bądź! — syknęła gniewnie Lucyna.

— No tak, teraz to już wyraźnie widać, że nie mamy nic do powiedzenia — zauważyła sarkastycznie Teresa.

Mój osobisty stosunek do milicji nie pozwolił mi pozostać na uboczu.

— Cicho bądźcie wszyscy! — zażądałam. — Zaraz. Ostatecznie, istnieje przecież jakiś przepis prawny, według którego, jeżeli ktoś coś ukradnie w rodzinie, ściga się przestępcę tylko na wniosek uszkodzonego. Istnieje czy nie?

— Istnieje — przyświadczył sierżant. — Państwo sobie coś ukradli?

— Nie, ale milicja mogłaby tak pomyśleć. Porozmawiamy z panem jak ludzie, bo i tak nam nic innego nie pozostaje, ale pod warunkiem, że nie zacznie pan podejrzewać Franka. On tyle wie o tym, czego szukamy, co i my. Więc nie życzymy sobie głupich komplikacji.

Sierżant poprzysiągł uroczyście, że tak kretyński pomysł, jak podejrzewanie Franka, w życiu by mu nie przyszedł do głowy. Atmosfera uległa znacznej poprawie, rodzinę wyraźnie odblokowało. Przerywając sobie wzajemnie, wyjawiliśmy prawdę, którą sierżant przyjął z filozoficznym spokojem. Przejął się dopiero, kiedy Michał przyniósł z góry dokumenty, pokazał je i odczytał szeptem. Staszek Bielski słuchał wręcz oczarowany.

— Coś podobnego! — wykrzyknął ze wzruszeniem. — I ja sam to wyciągałem spod podłogi, własnymi rękami! No, no. . .

— Ja tylko nie rozumiem, skąd o tym spadku wie tyle osób — powiedział Michał zdenerwowany i przejęty. — Ja sam nikomu nie mówiłem i tych papierów nikt nie widział. Państwo dowiedzieli się ode mnie. Pan mówi, że ci, co znaleźli, nie umieli odczytać. No więc...? Skąd wiedzą?

— To się jeszcze zbada. Teraz już wyraźnie widzę, że te zbrodnie i ten wasz spadek to jest jedno i to samo. Policzmy... Wychodzi na to, że oprócz państwa wiedziały trzy osoby. Tych dwóch zabitych i ten, co uciekł, jak mu tam, Bolnicki...

— Cztery — sprostowała Lucyna. — Morderca też chyba wiedział...

— Pięć — poprawiła ją Teresa. — Wylizany Nixon to co? Pies? Głędził o małątku po przodkach, jak był u mnie w Kanadzie. Myślałam, że jest pomyłony, ale okazuje się, że nie. Wiedział, co mówi.

— Wylizane, przepraszam, co...? — spytał sierżant nieco zaskoczony.

Jakim cudem zdołaliśmy złożyć relację o wydarzeniach, omijając wylizanego Nixona, było nie do pojęcia, niemniej postać jego pojawiła się dopiero teraz. Sierżant Bielski okazał wielkie zainteresowanie. Z szaloną uwagą wysłuchał szczegółowego opisu jego powierzchowności, zachowania oraz hipotetycznych cech charakteru, nie zgłaszając żadnych pretensji o zatajenie tych wieści we wcześniejszym śledztwie. Przeciwnie, wyglądał nawet tak, jakby był wdzięczny Teresie i Frankowi za przyznanie mu w tej kwestii pierwszeństwa. Ożywił się wyraźnie i w oku zaczęło mu coś błyskać.

— Chyba mi się już trochę układu — oznajmił z zadowoleniem i zapatrzył się w dal. Medytował długą chwilę, najwidoczniej przetrawiając wszystkie uzyskano informacje, prawdopodobnie nawet wyobrażał sobie kolejne wydarzenia, bo nagle zwrócił się do Michała.

— Naprawdę ta świnka rzuciła się na pana? — spytał z lekkim niedowierzaniem.

Michał popadł w okropne zakłopotanie.

— Nie... Raczej nie... Ale tak wyglądało... To znaczy, teraz mi się wydaje, że ona po prostu zleciała. Wlaziła na tę kupę kamieni i runęła razem z nimi. Ale

dają słowo, że wyglądała jak gruby facet w czarnej opończy, który się rzuca prosto na mnie!

— Po cholere włąziła na kamienie?

— A skąd ja mam to wiedzieć? W każdym razie runęła z góry...

— Pewnie lubiła wspinaczkę — podsunęła jadownicę Teresa.

— No dobrze, mogę wam powiedzieć — rzekła wspaniałomyślnie Lucyna. — Tam leżały resztki chleba...

— Aaa...! — ucieszył się sierżant z taką ulgą, jakby motywy postępowania nieboszczyka wieprza stanowiły dla niego ciężką zgryzotę. — Jeżeli chleb, to rozumiem. Świeży?

— Świeży. Pewnie Michał wyrzucił.

Michał przypomniał sobie, że istotnie szczątki posiłku cisnął na kamienie. Ale głównie były to kości kurczaka, chleba co najwyżej okruszyny, ewentualnie kawałek skórki z otrębami. Wyraził wątpliwość, czy tak nędzna przynęta mogła zwabić zwierzyne, cóż to jest, okruszyny dla takiego wielkiego wieprza!

— Nie szkodzi — uspokoił go sierżant. — Świnie mają dobry węch, a na świeży chleb szczególnie łase. Co do tej studni państwa, to nie wiem... Mało mamy ludzi i nie da rady ustawić posterunku. Ale póki co, może by położyć na niej coś cholernie ciężkiego?

Pomysł wydał się nam doskonały. Studnia musiała ustąpić żniwom i poczekać jeszcze dwa dni, atmosfera bowiem była niepokojąca. Wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazywały nadciąganie burzy połączonej nawet, być może, z gradobiciem i kwestie agrarne pchały się natrętnie na pierwszy plan. Do pszenicy na następny dzień Franek miał zamówiony kombajn, siano jednakże musiały ratować ludzkie ręce. Kołaczące się w rodzinie resztki przyzwoitości nie pozwoliły rzucić na pastwę losu zagrożonego mienia.

Dyskusja na temat czegoś cholernie ciężkiego od razu oparła się o mój samochód. Propozycję, żeby od strony łąki wjechać za oborę, zatrzymać się na dziurze i tak go zostawić, odrzuciłam z oburzeniem i wstrętem nie tylko z uwagi na całkowitą niemożność przekopania się przez kamienne zwały, ale także ze względu na skutki. Zdenerwowany bandzior mógł mi przez zemstę zdemolować cały pojazd.

Rodzina nie nalegała, Franek po namyśle przypomniał sobie, że ma stare koło od kieratu, leżące luzem w stodole. Dwóch silnych ludzi jakoś zdoła je podnieść, jeden absolutnie nie da rady.

Koło od kieratu legło zatem na połowicznie rozkopanej studni, skutecznie zamykając wszelki dostęp do niej. Noc przebiegła spokojnie, na szarym piaseczku za oborą widoczne były nazajutrz wyłącznie psie ślady i w niespokojnych duszach zakwitła nadzieja, że pojedynek ze złoczyńcą udało nam się wreszcie wygrać.

Burza wybuchła późnym popołudniem i przeszła nieco bokiem, nie czyniąc szkód godnych uwagi. Tuż przedtem zdążyłam wrócić z Warszawy, dokąd udałam się po zdjęcia z nogami bandyty. Przy wieczornym posiłku podobizny tajemniczych podeszw spoczywały bez mała przy każdym talerzu i krążyły z rąk do rąk, wywołując różne objawy wysiłków umysłowych. Marek twierdził, że sprawa jest jasna, fotografie stanowią niezbity dowód i teraz już każdy powinien sam sobie wszystko wydedukować. On wydedukował, a zatem i my możemy.

— Ja nie zgadnę — oznajmiła Teresa z urazą. — Nie znam osobiście wszystkich bandziorów w Polsce. Mieszkam w Kanadzie.

— A kanadyjskich bandziorów znasz? — zainteresowała się Lucyna.

— Jemu pewnie chodzi o te buty — podsunęła ciocia Jadzia. — Chodziły koło nas takie buty i wszyscy je widzieli. Ale ja nie pamiętam.

— Jakby chodziły same buty, to byś zapamiętała, nie ma obawy.

— Widocznie buty chodziły w człowieku — orzekła moja mamusia. — Nie patrzę wszystkim na nogi. . .

— To znaczy. . . Ma pani na myśli, że człowiek w butach? — upewnił się Michał.

— Może być. Człowiek w butach.

— No i kto to jest ten człowiek? — spytała chciwie Lucyna.

— Marek wie i nie chce powiedzieć — odparłam z irytacją. — Cały czas do was mówię, a wy nie słuchacie. On uważa, że po tych butach można rozpoznać całą resztę, nie wiem, jakim sposobem. Czaiły się za oborą, wszyscy widzieli, ale co z tego, wcale nie jestem pewna, czy to był morderca. Każdy mógł się poczaić za oborą, szczególnie że było na co patrzeć. Same buty o niczym nie świadczą!

— Zreasumujmy! — zaproponował żywo Michał. — Może uda się do czegoś dojść. Z tego, co dotąd wiemy, wynika, że pierwszy o skarbie dowiedział się ten wylizany Nixon. Pojęcia nie mam jakim sposobem, ale się dowiedział. Musiał chyba czytać dokumenty. Jakie ma nogi?

— Nie takie — rzekł Franek, biorąc do ręki zdjęcie. — Chyba że włożył cudze buty. Te są wielkie okropnie, on miał mniejsze.

— Wątpię, czy na te podchody wybrał się w cudzych butach, w dodatku o parę numerów za dużych — zauważyłam krytycznie. — To znaczy, że nie on się czaił, tylko ktoś inny. Następne w kolejności były zwłoki, skoro wylizany wszystko wiedział pierwszy, zwłoki dowiedziały się od niego. . .

— I co, uważasz, że zwłoki się czaiły za oborą? — przerwała zjadliwie Lucyna.

— Ja dedukuję w porządku chronologicznym!

— Ze zwłokami to chyba jasne, nie? — wtrąciła Teresa. — Wylizany odnalazł Mieniuszkę i wziął go sobie do spółki. Bo te zwłoki to przecież Mieniuszko?

— Wziął go sobie do spółki i zabił? — zgorszyła się ciocia Jadzia.

— Wcale nie wiem, czy zabił. Nic przecież nie znaleźli, więc po co miał go zabijać? Żeby stracić współnika?

— Znalazł sobie następnego — przypomniała moja mamusia. — Wnuka pradziadka. . .

— Nie pradziadka, tylko notariusza — poprawił Michał.

— Notariusz też mógł być czymś pradziadkiem. . .

— Nie mógł być, bo umarł. Nie zdążył.

— Dwóch ich było — zauważyłam. — Jeden był wnukiem pradziadka, a drugi wnukiem notariusza. Przestańcie mieszać potomków.

— Toteż mówię, że pradziadka. . .

— Cicho! — wrzasnęła nagle Lucyna. — Wszystko wiem! Już rozumiem. Wcale go nie zabił.

— Kto kogo? — zniecierpliwiła się Teresa. — Mów całymi zdaniem, bo znów się ci przodkowie popłaczą.

— Wylizany nie zabił Mieniuszki. Owszem, dał mu nasze adresy, chociaż nie wiem po co... Zaraz, czekajcie... A może wcale mu nie dał? Może Mieniuszko ukradł mu te adresy? Może miał zamiar wykantować go i porozumieć się z nami?

— No, nareszcie coś rozsądnego — mruknął pod nosem Marek.

Lucyna wpatrywała się w niego przez chwilę pałającym wzrokiem. Zamrugła powiekami i podjęła.

— Mogło tak być, to ma więcej sensu. W każdym razie wylizany wziął Mieniuszkę za współnika i przysłał go tutaj. Chciał działać w tajemnicy, dlatego Mieniuszko nie miał przy sobie żadnych dokumentów, żeby w razie czego nie można go było zidentyfikować...

— To by wskazywało, że dopuszczał myśl o zbrodni — wtrąciłam.

— Może i dopuszczał, ale go nie zabił. Wręcz przeciwnie, współnik był mu potrzebny i znalazł sobie następnego...

— I następnego też nie zabił? — zainteresowała się moja mamusia.

— Też nie. Znalazł Bolnickiego i też go nie zabił...

— Pewnie, że nie, bo Bolnicki uciekł...

— Cicho! Marek mówił, że Bolnicki mówił, że wylizany go namawiał. To znaczy, że szukał współników wśród osób zainteresowanych. No, wśród potomków tych, którzy mieli z tym związek...

— Po co?

— Nie wiem po co... Wszystko jedno. Wylizany ich nie zabił, ale ktoś ich zabił. Zabijał każdego, kto się tu kręcił koło ruinki. To znaczy, że jest ktoś jeszcze, kto wszystko wie, na pewno widzieliśmy go wszyscy mnóstwo razy. Chodzi w butach...

Lucyna zamilkła nagle i z natężeniem zapatrzyła się przed siebie. Obejrzelismy się wszyscy, ale nie ujrzelismy nic poza ścierką do talerzy, wiszącą na gwoździu. Michał Olszewski poruszył się gwałtownie.

— Już wiem! — oznajmił z triumfem. — On musiał szukać Mieniuszki, Łągiewki i Bolnickiego! Nie czytał testamentu, przypominam państwu! Musiał sobie wszystko dedukować z notatek! Szukał potomków ludzi z tamtych czasów, żeby

całość poskładać do kupy, w każdej rodzinie ktoś coś wie... I musiał ich brać do spółki, bo inaczej miałby w nich konkurencję!

— Bardzo słusznie — podchwyciłam. — Zaczął od Teresy, miał nadzieję porozumieć się z nią, myślał, że się połaszczy, ewentualnie nawet ze szkodą dla reszty rodziny. Połapał się, że nic z tego, i przerzucił się na tych, którzy nie mieli praw spadkowych...

Teresa szturchnęła w żebra zapatrzoną w ścierkę Lucynę.

— Oprzytomniej, bo potem powiesz, że nie słyszałaś, co mówimy! — zażądała niecierpliwie. — Co ty widzisz w tej ścierce?

— Nie przeszkadzaj jej, może ona ma wizje? — zganiała ciocia Jadzia.

Lucyna ocknęła się, oderwała wzrok od ścierki i spojrzała na nas.

— Już wiem! — oznajmiła uroczyście. — W tej wsi Suche Doły... Mrzygłód... jak jej tam... Głodomór...

— Głodomorzyce — mruknął Marek.

— W tych Głodomorzycach krążyły legendy o skarbie Mieniuszków. A czterdzieści pięć lat temu ktoś wyganiał Mieniuszkę z Woli i ja to widziałam... Ten Mieniuisko... Ten pierwszy, przodek nieboszczyka... On się musiał wygadać! Od pięćdziesięciu lat już czyhali na spadek po prababci... Z pokolenia na pokolenie przekazywali sobie wiadomość o zakopanym skarbie... Oczywiście... Kto to był, do licha, ten, co wyganiał?

Przez długą chwilę w milczeniu gapiliśmy się na natchnioną Lucynę, oczekując dalszego ciągu. Dalszy ciąg nie następował, Lucyna wzajemnie gapiała się na nas roztargnionym spojrzeniem.

— Ale to przecież nie może być ten sam człowiek — zauważyła trzeźwo ciocia Jadzia. — Jeżeli wyganiał Mieniuszkę czterdzieści pięć lat temu, teraz byłby chyba już dosyć stary?

— Z pewnością stary — przyświadczył żywo Michał. — Chyba że w grę wchodzi jakiś jego wnuk. Znajdziemy go po śladach, skoro pan mówi, że wszyscy je widzieli.

— Nie wszyscy — sprostował Marek. — Tam, gdzie ślady mówiły najwięcej, była ze mną tylko jedna osoba.

Popatrzył na mnie takim wzrokiem, że nagle wróciła mi pamięć. Byłam z nim, oczywiście! Stałam na ścieżce i patykiem obrysowywałam jeden ślad, identyczny jak na fotografii...

— Cmentarz! — wykrzyknęłam prawie ze zgrozą. — Boże wielki, te ślady były na cmentarzu! On tam mieszka...?

— Zwariowałaś? — spytała dziwnym głosem Teresa.

We Frankowej kuchni na nowo powiało wilkołakiem i na krótki moment wszystkie umysły opętała wizja wstającego z grobu przodka. Do tej orgii pradziadków i prawnuków udział zaświatów nawet nieźle pasował. Lucyna nagle zachichotała.

— Pewnie, że cmentarz. Ja też widziałam te ślady, rozpoznałam je, prowadziły w stronę kościoła. Szłam kawałek, ale dalej mi się nie chciało, bo zrobiły się zamazane. Poza tym już wiem, kto wyganiał Mieniuszkę, to był syn grabarza. Taki ponury bucefał...

Franek spojrział na nią niepewnie i z wahaniem najpierw pokiwał, a potem pokręcił głową.

— Ten obecny grabarz to jest wnuk poprzedniego — oznajmił. — Jego ojciec nie żyje, zginął w czasie wojny. Stary grabarz umarł ze dwadzieścia lat temu i ten młody nastał po nim.

— To znaczy, że syn grabarza musiał mieć syna, zanim zginął? — upewniła się moja mamusia.

— No, chyba musiał... No, musiał mieć, zanim zginął, bo potem to już nie tego...

— Zwariować można od tych synów, dziadków i wnuków! — powiedziała z niezadowolaniem Teresa. Czy ja biorę udział w historycznej sztuce?

— Zaraz, proszę państwa, to co z tym grabarzem? — niecierpliwie spytał przejęty Michał. — Bo mam wrażenie, że do czegoś doszliśmy. Jeżeli ślady należą do mordercy, to znaczy, że mordercą jest grabarz? To co teraz?

— Nie wiem, co teraz, ale grabarza jestem pewna — odparła stanowczo Lucyna. — Jakim cudem jego przodek wiedział, gdzie nasz dziadek chował skrzynię,

nie mam pojęcia, ale wygląda na to, że wiedział. Możliwe, że zwyczajnie podglądał.

— Grabarz? — spytałam podejrzliwie, patrząc na Marka.

— Owszem — odparł spokojnie. — Ślady należą do grabarza. . .

Znów zapadło milczenie, pełne niedowierzania i zdumienia. Coś nadzwyczajnego, udało nam się wykryć mordercę! Było to tak niezwykle, że w stanie oszowomienia sukcesem nikt nie wiedział, jak się do tego aktu ustosunkować.

— Jak to, a co milicja?! — oburzyła się nagle Teresa. — To my już wiemy, a oni nie wiedzą?! I jeszcze go nie zamknęli?! Co to za porządki?

— Zwracam wam uwagę, że milicja tych śladów ani razu nie widziała — przypomniał uprzejmie Marek. — Zawsze były gruntownie zdeptane. Rewelacje o Mieniuszce i grabarzu Lucyna starannie przed milicją ukryła, a w ogóle dopiero wczoraj milicja dowiedziała się od was, o co tu naprawdę chodzi. Poza tym nikt nie słucha, co mówię. Wcale nie powiedziałem, że to grabarz morduje, powiedziałem, że ślady należą do grabarza i nic więcej. Dowodów rzeczowych brak.

Pomyślałam, że to wszystko układa się jakoś zbyt prosto i z tym grabarzem będą chyba jeszcze jakieś komplikacje. Być może niezbędna okaże się już nie pułapka, a przynęta, w związku z czym skrzynię prababci należałoby jak najszybciej wydostać i zabezpieczyć. Ostatecznie wystarczy zabezpieczyć zawartość, na pustą skrzynię niech sobie dybie do upojenia. . .

* * *

Z całą pewnością sprawa rozwikłałaby się zupełnie inaczej, gdyby nie to, że w stodole oprócz Jędrka i Marka spał także ojciec. Ojciec chrapał jak szatan, zagłuszając wszelkie inne dźwięki.

Pierwszą osobą, która o świeżym brzasku wyszła z domu i poszła za oborę popatrzeć na koło od kieratu, była moja mamusia, gnana tęsknotą do robót wykopaliskowych. Moja mamusia nie narobiła alarmu i nikogo nie wyrwała ze snu.

Poczekwała z niepojętym spokojem, aż na progu domu ukazał się Franek i do niego zwróciła swoje pretensje.

— To koło od kieratu nic nie przykrywa — rzekła z wyrzutem. — Jak wyście je położyli?

— Proszę? — spytał Franek, przekonany, że źle słyszy, bo chrapanie ze stodoły grzmiało na całym podwórzu.

— Muszę tego Janka obudzić, bo rozmawiać nie można — powiedziała moja mamusia głośniej. — Koło zepchnięte i nic nie przykrywa, a studnia głęboko rozkopana. To co to znaczy?

Franek spojrział na nią osłupiałym wzrokiem.

— Rany boskie — powiedział słabo i popędził za oborę, a moja mamusia udała się do stodoły.

Kiedy we trzy z Teresą i ciocią Jadzią przybyłyśmy na miejsce, zgromadzona tam już była reszta rodziny. Franek stał nad studnią i drapał się po głowie, a Marek z Jędrkiem klęczeli na kamiennym obmurowaniu, świecąc w dół dwiema latarkami.

— Chyba trup — orzekł Jędrzek. — Na żywego nie wygląda i daleko leciał.

— Wieczne mu odpoczywanie — rzekła tym razem Lucyna.

— Nie wygłupiaj się! — krzyknęła nerwowo Teresa. Może to znów jakieś bydle!

— Eeee, nie — zaprzeczył Jędrzek. — Człowiek. Widać ręce i nogi.

Zajrzałam do studni. Na dnie bardzo głębokiej dziury widać było jakąś ciemną kupę. Po dłuższym patrzeniu udawało się rozpoznać ludzką postać, leżącą w bardzo dziwnej pozycji. Poczułam się solidnie wstrząśnięta.

— Kto to może być? — powiedziała ze zdziwieniem Lucyna, również zaglądając w głąb studni, przy czym złapała mnie za ramię i obie omal nie wpadłyśmy do środka. — Wszyscy z tych dokumentów są już odfajkowani Chyba jakaś zupełnie nowa osoba...

— Może ten wylizany Nixon? — ożywiła się moja mamusia.

— Może. Przypuszczam, że trzeba go będzie stamtąd wydostać...

Teresa milczała ponuro. Ciocia Jadzia drżącymi rękami zrobiła na wszelki wypadek kilka zdjęć. Wszyscy zaczęli się zastanawiać, kiedy to mogło nastąpić. Usuniecie potwornie ciężkiego koła, zbrodnia, wepchnięcie ofiary...

— Że też nic nie słyszałeś! — powiedziałam z pretensją do Marka. — Jak tak, to słyszysz kotka na puszystym dywanie...

Marek był wściekły i rozgoryczony.

— Jedź na posterunek — polecił mi. — Tato wszystko zagłuszał. Byłoby dobrze, gdyby od razu przyjechał sierżant Bielski. I zaraz wracaj, tu trzeba pilnować.

Zanim zdążyłam wyjechać z podwórza, już bez żadnego miłosierdzia rozstawił całą rodzinę dookoła trzech studni i ruinki, kategorycznie zabraniając przepuszczać kogokolwiek przez kordon. Po powrocie miałam zagrodzić samochodem przejście obok obory od strony drogi. Tym razem już bezwzględnie należało ocalić ślady.

Na posterunku zachowałam się podstępnie i bezczelnie. Najpierw zadzwoniłam do Michała Olszewskiego, a dopiero potem zawiadomiłam o nowej zbrodni.

— Znowu świnia czy może teraz baran? — spytał rzeczowo dyżurujący milicjant.

— Nam się wydaje, że tym razem człowiek — odparłam smętnie.

— No, no — mruknął przedstawiciel MO z niechętnym uznaniem. — Ale tempo bierzecie... A mówiłem, że z letnikami to tylko kłopot!

Zostawiłam milicjanta pełniącego obowiązki służbowe i wróciłam do domu zastawiać przejście za oborą.

Natychmiast po przybyciu milicja przepędziła wszystkich z miejsca zbrodni, wdzięczność za ochronę śladów wyrażając dość powściągliwie, aczkolwiek uporczywie grabiony przez moją mamusię szary piaseczek niewątpliwie był elementem nader pomocnym. Razem z władzami został tylko Marek występujący w charakterze ni to rzeczoznawcy, ni to naocznego świadka.

Obaj z sierżantem Bielskim stali się nagle niezwykle podobni do siebie pod jednym względem. Mianowicie trudno było ocenić, który z nich jest bardziej wściekły...

Wszystkie czynności, podejmowane dookoła studni, obserwowaliśmy we troje, Michał Olszewski, Jędrzek i ja, siedząc na belce nad głowami krów. Reszta rodziny miotała się niżej, między krowami, i słuchała komunikatów.

— Łażą na czworakach — raportował Jędrzek. — Jakby coś węszyli... Coś robią na ziemi. . .

— Utrwalają odciski stóp — uzupełniłam. — Porównują ze zdjęciami.

— Z moimi? — wykrzyknęła wzruszona ciocia Jadzia.

— I palców! — wrzasnął Michał. — Badają palce na kole!

— O Jezusie, tam są i nasze! — jęknął rozdzierająco Franek.

— Co cię obchodzi, twoje są pod spodem — pocieszyła go Teresa.

— No! — popędziła niecierpliwie moja mamusia. — Mówcie coś, bo nic nie widzę! Ta krowa mi przeszkadza, odsuń się, Kunegunda!

— Jak nic nie widzisz, to po co się tam pchałaś? — skarciła ją Lucyna. — Puść mnie, ja zobaczę!

Tuż nad żłobem, między deskami, była szpara wypatrzona wcześniej przez Lucynę. Można było przez nią dojrzeć mały skrawek terenu zbrodni i tłoczyły się tam wszystkie trzy siostry, kolejno pchając twarz do żłobu tuż obok pyska kamiennej spokojnej krowy. Dostrzegane fragmenty wzmagały tylko ich zaciekawienie.

— Mówcie coś! — zirytowała się Teresa. — Kunegunda mnie opluła!

— Jędrzek, wygoń te krowy — powiedział Franek mechanicznie.

— Zaraz — odparł Jędrzek z belki. — Biorą się za nieboszczyka. Zawiesili drabinę, jeden złazi. . .

— Rzucili mu sznury! — wykrzyknął Michał.

— A fotografie? — dopytywała się nerwowo ciocia Jadzia. — Powinien zejść fotograf! Powinni zrobić fotografie!

— Już zrobili. Z góry zrobił, z fleszem. . .

Wywlekanie zwłok ze studni poszło sprawnie i nie przysporzyło większych trudności. Razem ukazali się owinięty płachtą nieboszczyk i żywy pracownik MO, wyłazący po drabinie. Zwłoki legły na noszach, żywy pracownik powiedział coś, co wywołało wyraźne, gwałtowne poruszenie wszystkich obecnych. Cała ekipa

śledcza zaczęła się pchać do studni. Marek pchał się również. Fotograf rozpedził współpracowników i znów zaczął robić zdjęcia, błyskając fleszem.

— O rany Jezusa, znaleźli coś!!! — wrzasnął szaleńczo przejęty Jędrak.

Michał Olszewski zrobił się półprzytomny. Przepchnął całą głowę przez poszycie, z zewnątrz musiało to wyglądać bardzo dziwnie, sama głowa na dachu obory, podrygiwał na belce i wydawał w przestrzeń jakieś okrzyki, których wewnątrz nie było słychać. Teresa szarpała mnie za nogę, ciocia Jadzia, jęcząc, trzymała się za oko, bo odporna na wszelkie emocje krowa trafiła ją ogonem. Moja mamusia i Lucyna pchały się do żłobu, przy czym wyglądały jakby energicznie wyzerały jego zawartość. Bez żadnego szacunku dla Frankowego mienia próbowały wydłubać większą szparę między deskami.

— Włóż do studni! — wykrzykiwał Jędrak. — Wał się wszyscy na kupę, o rany, zleci! Nie, złapali go... Coś tam jest na dnie!

Cała ekipa śledcza kolejno wlaźła do studni, po czym każdy wylaźił na górę ze wzruszonym wyrazem twarzy. Musiało tam się znajdować coś nadzwyczajnego. Marek wlaźł również, wylaźł, spojrzął na dach obory i beznadziejnie machnął ręką. Michał Olszewski zaczął czynić gwałtowne wysiłki, zmierzające do cofnięcia głowy.

— Chyba pękne! — zawiadomiłam rodzinę. — Nic nie rozumiem, wszystkim się to coś na dnie podoba, tylko Markowi nie...

— On ma zawsze jakieś takie wygórowane wymagania — stwierdziła niecierpliwie moja mamusia. — Niech to wyjmą i powiedzcie, co to jest!

Marek znikł z pola widzenia, nie zwróciłam nawet na to uwagi, zajęta obserwacją poczynań przy studni. Dopiero po długiej chwili dotarło do mnie, że wzywają nas na teren zbrodni. Osoby z dołu pośpieszyły od razu, osoby z góry miały z tym pewne trudności, szczególnie Michał, któremu głowa ugrzęzła na amen. Jakim cudem przepchnął ją w tamtą stronę, było nie do pojęcia, bo dziura w poszyciu wystarczała ledwo na szyję. Musieliśmy z Jędrkiem przyjść mu z pomocą, inaczej bowiem zostałby tak na zawsze.

Na podwórzu kazano nam obejrzeć zwłoki. Moja mamusia i Teresa zaprotestowały z tak ognistą gwałtownością, że zwolniono je z tego obowiązku. Fra-

nek spojrział bez oporu i natychmiast osłupiał. Zaintrygowana spojrzałam również i osłupiałam nie gorzej.

Na noszach w charakterze nieboszczyka spoczywał ten sam chłop o zbójczej aparycji, którego widziałam przy taczkach na cmentarzu. Grabarz! Z takim wysiłkiem wydedukowany morderca! Nawet po śmierci spoglądał spode łba. . .

Po kolei osłupieli wszyscy i przestaliśmy rozumieć cokolwiek. Od wczoraj myśl o grabarzu w roli zbrodniarza zakorzeniła się już na mur i teraz nie mogło nam się pomieścić w głowie, że on sam okazał się nagle ofiarą. Nie wiadomo było, co z tym fantem zrobić. Tak doskonale pasował!

— Co to ma znaczyć? — spytała Lucyna z pretensją. — Może on wleciał przypadkiem?

— Był tu w towarzystwie — mruknął Marek. — Z jakąś drugą osobą.

— Następną ofiara wepchnęła go tam w obronie własnej — wysunęłam przypuszczenie, usiłując ratować koncepcję.

— Przecież nie ma już więcej krewnych i powinowatych — zauważyła niepewnie ciocia Jadzia.

Lucyna spojrzała na nią jadowicie.

— Może się zdarzyć, że wyjątkowo zbrodnię popełnił ktoś nie należący do naszej rodziny. Bywały takie wypadki. . .

Moja mamusia stłumiła w zarodku pojawiające się wątpliwości.

— No i co tam jest w środku? — spytała niecierpliwie, zaglądając do studni. — Oni mówią, że wszyscy się pchali. Co tam jest?

— Szczątki spadku po waszej prababci — odparł Marek grobowym głosem.

— Jak to, szczątki. . . ?

— Mizerne szczątki w dodatku. . .

Zaniemówiliśmy tylko na krótki moment, potem wszyscy jednocześnie odzyskali głos i wigor. Nie było już takiej ludzkiej siły, która powstrzymałaby nas od szturmu na studnię. Michał Olszewski wpadł do środka głową na dół, na szczęście od razu zaczepił się o drabinę i zdołaliśmy go wyciągnąć. Rozdrażniona Lucyna wymyślała nam od półgłówków, niedołęgów i oferm, które nie potrafią zejść do głupiej dziury. Moja mamusia żądała natychmiastowej penetracji dna, nie bacząc,

iż na tym dnie znajdują się pracownicy milicji, i wpychając do studni ojca. Teresa urągała wszystkim jak leci bez żadnego wyboru. W końcu udało się jakoś opanować sytuację i poznać tragiczny stan rzeczy.

Na dnie studni znajdowała się wielka, drewniana, okuta żelazem skrzynia. Zwłoki grabarza spoczywały na niej. Po wyciągnięciu grabarza okazało się, że skrzynia została rozbita. . .

Szacowny zabytek miał takie rozmiary, że nie mieścił się na owym dnie w normalnej pozycji, tylko stał sztorcem na jednym boku. Drugi bok, górny, był zdemolowany. Zmurszałe drewno zgnieciono przy okuciu i wydłubano wielką dziurę, przez którą wyszedł nasz spadek po przodkach. Złoczyńca wyciągnął, ile mógł i ile zdążył, pozostawiając w głębi skrzyni tylko to, czego nie zdołał osiągnąć albo też co nie zmieściło mu się w dziurze. Nam też nie udało się tego osiągnąć, musieliśmy czekać, aż milicja uprzejmie wywlecze skrzynię na górę.

Milicja sama była ciekawa znaleziska i chciała je obejrzeć, nie czekaliśmy zatem zbyt długo. Michał Olszewski, na zmianę to blady, to czerwony, z nabożną czcią przystąpił do wygrzebywania resztek ze zmurszałego potwora. Dookoła stało co najmniej dwadzieścia osób, bez tchu wpatrzonych w legendarny skarb.

Drżącymi ze wzruszenia rękami Michał wyciągnął ogromny, siedmioramienny świecznik, półmisek rozmiarów bez mała młyńskiego koła, komplet sztućców, wśród których noże nie kroiły niczego, łyżką można było ubić bawołu, a widelcami rozrzucać mierzwę po polu, rokokowy zegar w doskonałym stanie, który co prawda nie chodził, ale miał kompletny cyferblat i wszystkie wskazówki, kilka sztuk biżuterii, ozdobne pudro, zawierające wielki wachlarz z prawdziwej kości słoniowej, nieco bilonu z różnych metali, wreszcie obraz w ramach niegdyś złożonych. Niewątpliwie był to portret babci praprababci, aczkolwiek na oko nie dawało się tego rozpoznać, malowidło bowiem pobyt w studni zniosło nie najlepiej. Na końcu z samego dna wyciągnął płaskie, długie, metalowe pudełko. Przez chwilę manipulował przy zameczku, a cała widownia zachłannie patrzyła mu na ręce.

— No, masz te swoje trzysta pereł! — prychnęła nagle urągliwie Lucyna do Teresy.

— Owszem — przyznała cierpko Teresa. — To jest akurat godne tego koguta za jedenaście hektarów. . .

— Ale czekajcie, może tam jest kolia. . . — wtrąciła ciocia Jadzia zdławionym głosem, wskazując Michała.

— Jaka kolia?

— Nie wiem. Brylantowa. . .

— Cha, cha! Prędeż tabaka po pradziadku. . .

Michał otworzył wreszcie pudełko. W środku nie było ani kolii, ani tabaki, tylko papier złożony we czworo. Wyjął go i gorączkowo rozłożył, upuszczając pudełko.

— Kopia spisu — wymamrotał. — Z adnotacją komu oddać. . . Jakby co. . .

Ciocia Jadzia podniosła upuszczone pudełko i obejrzała. Lucyna zachichotała jadownicę.

— A mówiłam, że kto jak kto, ale nasza rodzina wyjdzie na tym skarbie jak Zabłocki na mydle. A wam się zdawało, że trzysta pereł tylko czeka! Druga kopalnia złota za sześć dolarów!

Urażona Teresa wzruszyła ramionami i z godnością narysowała sobie palcem kółko na czole. Michał Olszewski nagle osłabły usiadł na kupie kamieni i gestem rozpaczycy chwycił się za głowę, nie wypuszczając z ręki papieru.

— Boże wielki. . . ! — wyjęczał. — O Boże wielki. . . ! O mój Boże wielki. . . !

— To jak to? — powiedziała moja mamusia, bezgranicznie rozczarowana. — To już wszystko? A gdzie reszta?

— O Boże wielki. . . ! — zawył szeptem Michał.

— Resztę zabrała konkurencja — wyjaśniłam, nie siląc się na tłumienie rozgoryczenia. — Cholera. A tak chciałam zobaczyć ten kielich. . .

Staszek Bielski stał nad rozbitą skrzynią. Poruszył się, spojrzął na Michała, na szczątki skarbu i znów na Michała.

— Ja tej cholery łeb ukęcę — oznajmił przez zaciśnięte zęby.

Zreflektował się i dodał pośpiesznie:

— Prywatnie jej ukęcę. Po służbie.

— O Boże wielki! — jęknął rozpaczliwie Michał najwidoczniej niezdolny do wymyślenia żadnych innych słów.

Liczne inne słowa wymyśliła rodzina, otrząsnąwszy się wreszcie z oszołomienia. Ofiarą odzyskanych sił w pierwszej kolejności padł ojciec, który niepotrzebnie napoczął studnię, zaraz po nim zaś Marek, który nie pozwolił jej wykończyć. Na szczęście w ogólnym rejdachu żaden z nich nie dosłyszał dokładnie inwektyw i kalumnii wykrzykiwanych co prawda głośno, ale za to niewyraźnie. Franek rwał włosy z głowy, oskarżając sam siebie i upierając się, że skarb przepadł wyłącznie przez jego żniwa. Lucyna z szatańskim chichotem naigrywała się ze wszystkich, nie wyłączając milicji. Nagabywany o wyjaśnienie zagadkowej wypowiedzi Staszek Bielski zwyczajnie uciekł. Marek, zły jak piorun, złożył samokrytykę krótką, ale treściwą.

— Dawno nie wyszedłem na takiego idiotę — rzekł wściekły, kierując te słowa gdzieś w przestrzeń, po czym poszedł w ślady sierżanta Bielskiego.

Namiętności pozostałej na ruinie skarbu rodziny ukoili się nieco dopiero przed wieczorem. Energiczna działalność władz, które dopiero teraz uwierzyły w istnienie zarówno praprababci, jak i spadku po niej, doprowadziła do licznych cennych odkryć. Zbiegowie powrócili, wyjaśnienia runęły lawiną i ciekawość przygłuszyła żal po stracie. Sierżant Bielski od razu na wstępie oznajmił, że za nasze zagrabione mienie czuje się osobiście odpowiedzialny. Sam wyciągał dokumenty spod podłogi w piwnicy, sam radził zakryć studnię ciężkim przedmiotem i sam nie przewidział, co z tego wyniknie. Za późno skojarzył wydarzenia.

— Adam Dudek to jest mój krewniak i porządny człowiek — rzekł z wielką stanowczością. — Ale ta jego żona to pazerna gangrena, chytra na pieniądze, że niech ręka boska broni. Powinienem się domyślić, że coś wykombinuje. Ona jedna mogła to pokazać temu, co się tu kręcił w zeszłym roku, rysopis pasuje jak złoto, nazywa się Dżon Kapusta, przez ce, żeby go szlag trafił. Przycisnąłem zarazę i wszystko wyśpiewała. . .

Sprawa ciekawiła nas niezmiernie, Staszek Bielski zatem, przytłoczony pytaniami, trochę zły, a trochę dumny z siebie, zdradził szczegóły owego przyciskania. Udał się mianowicie do Hani Dudkowej i zadziałał przez zaskoczenie.

— Dziwię się bardzo, że nie potrafiła pani sprzedać tych papierów temu gościowi, co tu był — rzekł bez żadnych wstępów i z wielkim niesmakiem. — Temu, jak mu tam było, Capusta. Zapłacił pani chociaż porządnie za wypożyczenie?

Wieści o sensacyjnych wydarzeniach w gospodarstwie Franka rozeszły się po okolicy lotem strzały i Hania o nich wiedziała. Skarby ze studni urosły do rozmiarów, wobec których Sezam przypominał komórkę na węgiel. Hania powiązała sobie różne rzeczy, pojęła wartość papierów pochodzących z jej własnej piwnicy i zrobiła się szaleńczo wściekła.

— Zapłacił! — prychnęła teraz do Staszka zaślepiona furją. — Grosza nie dał! Mówił, że dla niego to nic nie jest warte, swołocz taka! Darmo czytał i jeszcze zapisywał! Darować sobie nie mogę!

— Pewnie — przyświadczył Staszek jadowicie. — Pani wyszła za przeproszeniem na głupią, a on nawiał z całym majątkiem. Na pani miejscu ja bym nie popuścił, złapać łobuza i odebrać. Niech też nie ma!

— Żeby to się dało go złapać!

— Co się ma nie dać? Pani zezna do protokołu, kiedy on to czytał i ile czasu, i już będą podstawy do ścigania. Oduczy się kantów!

W ten prosty sposób w ciągu dwóch minut sierżant zyskał gorliwą pomoc płonącej chęcią zemsty Hani, która pół godziny wcześniej przysięgała sobie, że żadna siła na świecie nie wyrwie jej ani jednego słowa o Johnie Capuście. W połowie oficjalnych zeznań oprzytomniała o tyle, że wyparła się chęci sprzedaży dokumentów, motywując swoje czyny zwykłą, niewinną ciekawością. Wściekły na nią Staszek Bielski przyjął tę wersję wyłącznie z lojalności w stosunku do krewniaka.

— I nawet zamknąć jej nie mogę — rzekł z serdecznym żalem. — Nie mam podstaw. A to przecież, tak prawdę mówiąc, ona zrobiła to całe zamieszanie...

— Zamieszanie byłoby i bez niej — pocieszył go Marek. — Grabarz dobrze pilnował. A za to dzięki niej wiadomo, kogo szukać.

Najuciążliwsze ze wszystkiego było to, że rodzina albo zbiorowo milczała, albo równocześnie zaczynała mówić. We Frankowej kuchni, która ostatecznie awansowała do rangi najlepszej sali konferencyjnej, przez chwilę rozgrywały się sceny gorszące. Każdy chciał się dowiedzieć czegoś innego i każdy chciał się do-

wiedzieć tego czegoś natychmiast. Zwycięsko z tej batalii wyszła Teresa, która walnęła w stół psią miską, rozpryskując po obecnych resztki kaszy.

— Cicho!!! — wrzasnęła. — Milczeć wszyscy i mówić po kolei! Kto w końcu mordował te ofiary, niech ja się wreszcie dowiem! Grabarz?

— Grabarz — odparli równocześnie Marek i Staszek Bielski.

— Pewnie, że grabarz — dodała z urazą Lucyna. — Na drugi raz używaj patelni, wolę mieć na sobie ludzką jajecznicę niż psią kaszę. Od początku mówiłam, że grabarz wyganiał Mieniuszkę!

— Wcale nie od początku to mówiłaś, tylko od środka — wytknęła jej moja mamusia.

— Wygląda na to, że pokolenie grabarzy z dużym uporem pilnowało naszego spadku — zauważyłam. — Dawny wyganiał wężącego Mieniuszkę, a obecny posunął się o krok dalej i usuwał poszukiwaczy radykalnie.

— No dobrze, to wszystko pięknie, ale skąd o tym spadku wiedział grabarz? — spytała pośpiesznie ciocia Jadzia. — Czy ktoś to może wytłumaczyć? Ten poprzedni i ten obecny, i w ogóle wszyscy?

Staszek Bielski spojrział na Marka. Marek skrzywił się niechętnie. Lucyna przestała zbierać z siebie kaszę i w oku jej błysnęło.

— Głowę daję, że on wie! — wykrzyknęła.

— Czy to jest tajemnica służbowa? — spytałam sierżanta.

— Eeee, nie... Ale głupia sprawa — odparł sierżant z zakłopotaniem. — Ja w ogóle nie jestem pewien, czy mam to wiedzieć oficjalnie... Pan to zna lepiej.

— On był pewnie przy tym święceniu — podsunął Franek, zanim Marek zdążył się odezwać. — To nie ma siły, żeby przeoczył konie i wóz. A potem pewno podglądał... Tak było, nie?

— No już powiedz to wreszcie! — zażądałam niecierpliwie. — Rozmawiałeś przecież z księdzem!

— Ja wam powiem za niego — rzekła tajemniczo Lucyna. — Stary grabarz podglądał, wymyślił sobie, że w studni chowali skarb...

— Nawet nieźle wymyślił — wtrąciła Teresa.

— Powiedział o tym swojemu potomkowi, nie wiem, który to był, syn czy wnuk, bo już się nie mogę połapać. Chcieli zagarnąć skarb dla siebie, ale nie mogli przecież gmerać w obejściu dziadka, w dodatku przypuszczam, że pomyliły im się studnie. Strzegli go zazdrośnie i w końcu nabrali przekonania, że jest to ich własność. Ten obecny grabarz był kolejnym posiadaczem tajemnicy i też uważał, że skarb należy do niego, ale tak samo nie mógł go wydostać i tak samo nie pozwalał wydostać nikomu innemu. . .

— Skąd to wiesz? — zainteresował się nagle Marek.

— No, wreszcie go odblokowało — mruknęła gniewnie Teresa.

— Znikąd nie wiem — odparła bardzo zadowolona Lucyna. — Wydedukowałam. Kazałeś nam dedukować.

Marek przyjrzał się jej z wyraźnym zdumieniem.

— No i proszę, jak wam to dobrze robi, nic nie mówić i kazać myśleć. . . Moje uznanie, wydedukowałaś genialnie. Tak właśnie było. Ten ostatni okazał się prymitywnym obsesjonistą, któremu nawet nie zależało na wydobyciu skarbu. Wystarczyła mu świadomość, że go posiada. Bronił swojej własności i uważał, że ma do tego prawo.

— Ciekawe dlaczego i nas nie pomordował — zauważyłam ze zdziwieniem. — Bo tak między nami mówiąc, nasze wszystkie środki ostrożności można było pod tramwaj podłożyć. Gdyby się tylko trochę postarał, nie wiem, czy jedna osoba uszłaby z życiem. . .

— A tu miał właśnie szkopuł — rzekł żywo Marek, którego najwidoczniej wnioski Lucyny odblokowały trwale. — Kołatała się w nim wątpliwość, czy i wy również nie macie praw do skarbu. Do myślenia nie był przyzwyczajony, ale ta wątpliwość wystarczyła, żeby nie nastawać na życie nikogo od Włókniewskich. Tak na wszelki wypadek. Przeszkadzał tylko i utrudniał bez mordowania, a możliwe, że zamierzał po wydobyciu odebrać wam to przemocą. Oczywiście nie miał pojęcia, co to jest.

— Wiesz to od księdza? — spytała z zainteresowaniem Lucyna.

— W pewnym stopniu. Ksiądz nie mógł zdradzić tajemnicy spowiedzi, ale niepokoił się bardzo sytuacją. Mógł natomiast powiedzieć to, co słyszał od poprzedniego księdza, no a resztę łatwo było wydedukować...

— Może to i lepiej, że ten wylizany Nixon go zabił? — powiedziała trochę niepewnie moja mamusia.

Staszek Bielski poruszył się żywo i przysunął krzesło do stołu.

— Właśnie w tym rzecz, proszę pani, że wcale go nie zabił...

— Jak to? — oburzyła się Teresa. — To niby co? Popęłił samobójstwo?

Staszek Bielski spojrział niespokojnie na nią, na psią miskę i odsunął krzesło jak najdalej.

— Nie. Samobójstwo raczej nie. Ale i zbrodnia niepewna, chyba że ten drugi go wepchnął. Bo ich tu było dwóch. Dużo się udało zbadać, ale lepiej będzie, jak pan to państwu wyjaśni...

Do sierżanta Bielskiego Marek odnosił się życzliwie, podjął zatem wyjaśnienia. Okazało się, że ocalone przed zdeptaniem ślady jednakowo wskazywały na zbrodnię i na przypadek. Dookoła studni kręciły się dwie pary nóg w różnych butach, na kole od kieratu i innych przedmiotach odcisnęły się dwie pary rąk, jedna luzem, druga w skórzanych rękawiczkach. Ręce nie wykonały nic niezwykłego, nogi rozszerzyły zakres czynności, nie poprzestając na samym deptaniu. Jedna para potknęła się o kamień, druga poślizgnęła się przy obramowaniu i możliwe, że w tym momencie jej właściciel wpadł do studni. Nie sposób stwierdzić tu udziału właściciela pierwszej pary nóg. W głąb studni wchodziły wszystkie ręce i nogi, przy czym osobnik pozostały przy życiu wchodził tylko raz, niewątpliwie na końcu, bo na wierzchu utrzymały się ślady rękawiczek.

Całość wskazywała na to, że w niewiadomy sposób grabarz i wylizany Nixon doszli do porozumienia. Korzystając z chrapania ojca, wspólnymi siłami odciągnęli koło, odkopali studnię do końca, rozbili skrzynię i wyciągnęli z niej, co się dało. Grabarz pracował na dole, a wylizany Nixon wyciągał urobek. Następnie grabarz wpadł do dziury i zabił się na miejscu, wylizany Nixon natomiast zwiął z majątkiem. Jak rozwiązali kwestię wzajemnego zaufania, nie udało się dociec,

możliwe, że każdy zamierzał skorzystać z pomocy drugiego, potem zaś ukreć mu łeb albo wykantować go w inny sposób.

Precyzyjne zbadanie wszelkich śladów wokół zagrody Franka i dookoła całej wsi, wykonane w sposób zgoła konkursowy, wykazało, że złodziej skarbu miał rower. Tym rowerem parę razy jeździł tam i z powrotem od naszego podwórza do miejsca za wsią, gdzie długi czas stał jakiś samochód. Opony pasowały do forda. Obok studni, częściowo na kamieniach, a częściowo na szarym piaseczku, leżała płachta, prawdopodobnie plastikowa, na której spoczywały rozmaite ciężary i rower kursował na trasie płachta-samochód. Należało zatem mniemać, że złodziej, pozbywszy się konkurencji, przewiózł zdobycz do pojazdu mechanicznego cichym środkiem lokomocji. Kilkakrotne obracanie wskazywało, że zarówno ciężar, jak i objętość zdobyczy były nader okazałe. Zapewne wypchała mu cały samochód, załadowany po brzegi, szczególnie że musiał zmieścić w środku i rower typu składak z małymi kołami. Roweru takiego rodzaju nie znaleziono nigdzie w okolicy.

— Jedno mogę państwu powiedzieć, że na granicy go złapią — zapewnił nas Staszek Bielski, kiedy Marek skończył raport. — Nawet gdyby nie dostali od nas żadnej wiadomości, nie przepuszczą samochodu zapchanego po dach przedmiotami zabytkowymi. Tak dobrze to już nie ma.

— Jest okres turystyczny — zauważyłam ostrzegawczo. — Mógł pochować wszystko do walizek, przejeżdżać w tłoku, wyglądać niewinnie.

Michał Olszewski przerwał na chwilę glansowanie siedmioramiennego świecznika, który okazał się srebrny, arabski i niewymownie antyczny. Przytulił go do piersi i podniósł głowę z błyskiem nadziei w oku.

— Do walizek nie dał rady — oznajmił stanowczo. — Z tego, co ocalało, widzę, że wszystko się zgadza. W walizkach nie mogło się zmieścić, nawet gdyby wyrzucił wszystko inne i miał w samochodzie same walizki. Ale wtedy do którejś celnik by zajrzał.

— Zdaje się, że największe przedmioty zostawił. . . — powiedziała melancholijnie Lucyna, wskazując brodą świecznik i półmisek.

— Nonsens. Były jeszcze dwa takie, sami państwo widzą, do czego to wej-
dzie... Jeden z nich miał ramiona we wszystkie strony, takiej grubej walizki nie
ma na świecie. A w ogóle ta skrzynia... Zmierzyłem ją. Metr na metr na dwa.
Wielkie paki, to jeszcze, ale nie walizki!

Sierżant Bielski przyświadczył mu, kiwając głową.

— Jedno mnie tylko zastanawia — rzekł z lekkim zakłopotaniem. — On stąd
odjechał cholernie wcześniej, chyba jeszcze przed świtem. A nie zaczęli przecież
tej studni rozwalać, zanim nie zrobiło się ciemno, nie? I zanim państwo poszli
spać. Ciemno się robi dopiero o dziesiątej, a o trzeciej rano już jest widno. Niech
będzie, że zaczęli o jedenastej, odjechał przed trzecią, to ile mieli czasu? Trzy
godziny z kawałkiem. Grabarz jako grabarz mógł mieć dużą wprawę, ale i tak
uwinęli się nie do pojęcia, bo ta studnia ma przeszło pięć metrów. Jak oni zdążyli?

— Sam się nad tym zastanawiam — odparł z goryczą Marek. — I zdaje się,
że już zgaduję, ale nie jestem pewien...

— Kopali codziennie trochę — podsunęła Lucyna.

— Coś ty! — oburzyła się moja mamusia. — Przecież grabiłam!

— No i właśnie na tym zgrabionym było trochę za mało śladów — mruknął
Marek.

— Myśli pan? — ożywił się Staszek Bielski.

Ciocia Jadzia wydała nagle okrzyk, w którym dźwięczało wielkie wzruszenie.

— Ale słuchajcie! Może to można sprawdzić! Bo ja codziennie robiłam zdję-
cia!

Film cioci Jadzi udzielił odpowiedzi na wątpliwości sierżanta. Skrupulatne
zbadanie wszystkich kolejnych klatek i obejrzenie odbitek przez lupę wykazało
niezwykłą perfidię przeciwnika i równą jej tępotę całej rodziny. Złoczyńcy kopali
nie przez jedną noc, a przez dwie i te dwie noce wystarczyły im najzupełniej.
Koło od kieratu postarali się ułożyć za pierwszym razem dokładnie tak samo, jak
leżało poprzednio, ale ilość kamieni wokół dziury nieco wzrosła, nie stwarzając
jednakże widocznej różnicy.

— Porozkładali równomiernie — stwierdził Marek z, rozgoryczeniem. —
Sam bym tak zrobił na ich miejscu. Musieli mieć dwa kosze, ten na dole łądo-

wał, a ten na górze roznosił po jednym kamieniu. O, tu widać... Tu dołożył... I tu... Bardzo sprytnie...

— Że też tego nie zauważyłeś! — wykrzyknęła z wyrzutem Lucyna.

— Jak miałem zauważyć? Nie liczyłem przecież tych kamieni na sztuki! Gdyby zwalili na kupę, zobaczyłbym od razu! Ale i tak powinienem coś wywęszyć przez ten brak śladów, trzy psy, cóż to jest! A gdzie krowy, kozy, ludzie? Trzeba było zajrzeć pod koło, nie wiem, co za jakieś zaćmienie umysłowe na mnie spadło... Mówiłem, że ja przy was idiocieję jak nigdy w życiu!

Moja mamusia i Teresa obraziły się na niego, Lucyna przeciwnie, okazała wyraźną uciechę.

— No, to tym razem zamieniliśmy prawdziwy, porządny skarb na pięćdziesiąt ton zboża — orzekła, chichocząc zjadliwie. — Zawsze to więcej niż kogut, więc widzę postęp...

Franek spojrział na nią wzrokiem zranionej łani, Lucynę odbiegło wszelkie miłosierdzie.

— Żniwa poszły konkursowo, niech ci to wszystko przynajmniej nie zatechnie — ciągnęła bezlitośnie. — Wszyscy uczciwie odwalali robotę, każdy na swoim odcinku, my tam, a oni tu. Podejrzeli, jak moja siostra grabi, to był świetny pomysł, przynieśli grabie i też zagrabili. To ten wylizany Capusta wymyślił, jestem pewna! Ale fajny hochsztapler!

— Masz się czego cieszyć! — sarknęła gniewnie Teresa. — Ciekawe, co wymyślił, żeby przejechać granicę...

Tego również dowiedzieliśmy się bardzo szybko. Z punktu kontroli granicznej w Świecku przyszła informacja, której wagę nie od razu zdołaliśmy docenić i jej straszliwy sens docierał do nas stopniowo. Dotarłszy zaś, wzbudził zgrozę.

John Capusta przejechał granicę poprzedniego dnia około dwunastej trzydzięści w południe, dokładnie w chwili, kiedy Staszek Bielski przystępował do dyplomatycznego przyciskania Hani Dudkowej i na dwie godziny przed otrzymaniem przez punkt kontroli wiadomości, iż Capustę należy bezwzględnie zatrzymać. W momencie dotarcia wiadomości John Capusta znajdował się już w Berlinie Zachodnim, gdzie albo przebywa do tej pory, albo odleciał dokądkolwiek

samolotem, bo na żadnej innej granicy NRD już się nie pokazał. Milicja NRD stwierdziła to i wyjawiała bardzo szybko, i bardzo uprzejmie, z pewnością nie zdając sobie sprawy, jak straszliwych wieści dostarcza.

W dodatku mało brakowało, a tenże John Capusta byłby przejechał granicę w ogóle bez kontroli. W okresie turystycznym przejeżdżają codziennie tysiące samochodów i kontroluje się tylko podejrzanych, a nikt wcześniej nie zawiadomił, że żółty ford, który bywał w Polsce już wiele razy i nigdy się niczym nie naraził, teraz akurat jest podejrzany. Czysty przypadek sprawił, że w volkswagenie stojącym przed fordem obłuzowała się wycieraczka, właściciel volkswagena zgubił gdzieś śrubokręt i właściciel forda pożyczył mu swój. Oczekujący niecierpliwie na ich odjazd celnik obejrzał nie tylko wnętrze forda, w którym leżała na tylnym siedzeniu jedna mała walizeczka, ale także wnętrze bagażnika, z którego John Capusta wyjmował śrubokręt. W bagażniku znajdował się elegancki komplet narzędzi, mały kanister i bardzo brudne gumki. Nic więcej. Celnik stanowczo wyklucza, jakoby ów ford mógł przewozić przemyt objętości dużej szafy.

— Nic z tego nie rozumiem — powiedziała z niesmakiem Teresa, wysłuchawszy wieści z granicy. — O dwunastej w południe przejechał i nic ze sobą nie wiozł. W takim razie, może to w ogóle nie on?

— Co do tego, że on, rzecz jest pewna — odparł stanowczo sierżant Bielski.

— On przejechał — rzekła Lucyna. — Ale czy on ukraść? Czy to na pewno on się tu kotłował z tym grabarzem?

— Nikt inny nie wchodzi w rachubę — powiedział Marek równie stanowczo jak sierżant.

Musieliśmy im uwierzyć. Poczynania Capusty tym bardziej wydawały się niepojęte. Zaczęłam obliczać.

— Czekajcie, przyjmijmy, że wyjechał stąd o drugiej. Miał do przejechania, zaraz... około sześciuset kilometrów. Fordem, a jeszcze rano, to jest siedem godzin, niech będzie osiem, na pewno jechał jednym ciągiem. Od drugiej do dwunastej trzydzieści...

Policzyłam na palcach.

— Dziesięć i pół godziny. Niechby dziesięć. Nie tylko zdążył, ale miał jeszcze dwie godziny luzu. . .

— No dobrze — przerwał zdenerwowany Michał. — Ale co zrobił ze skarbem? Przecież na granicy go nie miał!

— No nie miał. . . Ale stąd wywiózł. . .

— Proste — powiedział Marek. — Przez te dwie godziny gdzieś go zostawił. Jesteś pewna, że miał te dwie godziny?

— Jeżeli dobrze jechał, to nawet dwie i pół. . .

— Wcale nie potrzebował żadnych dwóch godzin — przerwała lekceważąco Lucyna. — Potrzebował dziesięciu minut. Umówił się gdzieś z jakimś wspólnikiem, przeładowali wszystko do drugiego samochodu i tyle. Byłby półgłówkiem, gdyby wiózł to ze sobą.

Staszek Bielski i Marek spojrzeli na nią, Staszek Bielski miał na twarzy wyraz prawie rozpacz, Marek nie miał żadnego wyrazu.

— Wykluczone — powiedzieli obaj równocześnie, po czym Marek dodał: — On nie miał żadnego wspólnika. Mowy nie ma.

— Skąd wiesz?

— Cały ten czas, kiedy mnie tu nie było, poświęciłem na sprawdzanie jego kontaktów. Miał różnych znajomych, ale ani jednego takiego, któremu mógłby zaufać. Odpada.

— No, to w takim razie rzeczywiście gdzieś zostawił. Jeżeli uda nam się tam trafić. . .

— Jedźmy tam! — zaproponowała moja mamusia z wielkim ożywieniem.

— Gdzie?!

— No tam, gdzie on to zostawił!

— A można wiedzieć, gdzie to jest?

— Tam, gdzie jechał. Mówicie, że wiecie, gdzie jechał. . .

Któreś trzy osoby wydały z siebie podobne w tonie jęki. Michał Olszewski poparł nagle moją mamusię.

— Możemy się zastanowić! — zawołał z zapałem. — Proszę państwa, znamy kierunek! Na zachód! Od tej trasy gdzieś w bok!

Po kwadransie stół Franka obłożony był wszelkimi dostępnymi nam mapami ojczystego kraju z moim atlasem samochodowym na czele. Przypadkiem miałam przy sobie także samochodową mapę Europy, Staszek Bielski mapę samochodową Polski w jednym kawałku, a Jędrzek wyciągnął szkolne mapy swojej siostry. Gdzieś na trasie od Woli do granicy John Capusta, dysponując tymi dwiema i pół godzinami luzu, musiał opuścić szosę, pojechać w bok, ukryć rąbnięty skarb i wrócić. Porównaliśmy dokładnie czas jazdy i odległości i wyszło nam coś okropnego. Jeżeli zrezygnował z odpoczynku i wszelkich posiłków, mógł odbić z trasy nawet o osiemdziesiąt kilometrów, nie wiadomo, na południe czy na północ, w każdym absolutnie miejscu na całej tej drodze od Woli do granicy, jak obszył, sześćset kilometrów długości. . . Polczyłam na papierze, bo zaczęły mi się mylić zera. Osiemdziesiąt w dwie strony, to sto sześćdziesiąt, razy sześćset. . .

— Dziewięćdziesiąt sześć tysięcy kilometrów kwadratowych — ogłosiłam. — Nie wiem, czy sfora psów gończych zdążyłaby to obwąchać za życia jednego pokolenia. Ja w każdym razie nie czuję się na siłach. Schować mógł wszędzie i na pewno kryjówkę upatrzył sobie wcześniej.

— Tak jest! — przyświadczył z mocą Staszek Bielski. — Stąd zabrał, nie wywiózł, zaufanego nie miał, znaczy schował gdzieś po drodze. W upatrzonym miejscu. A już wiemy, że pętał się po całej Polsce. . .

Dopiero teraz straszliwa prawda dotarła do nas w całej swej grozie i wszystkim opadły ręce. Trzy czwarte zagadki zostało rozwiązane pomyślnie, sprawcę tajemniczych zbrodni wykryto, motyw stał się znany, osoba złodzieja również, przepadł tylko spadek po naszej prababci, z takim trudem odnaleziony! Bezcenny skarb diabli wzięli, a odszukanie go bez udziału drania Capusty okazało się zgoła niemożliwe. . .

Michał Olszewski, blady, zgnębiony i niemal bliski płaczu, poszarpał sobie trochę włosy na głowie, po czym załamał ręce. Z całej rodziny on jeden znał prawdziwą wartość rąbniętego mienia. Znaleziona w pudełku kopia pozwoliła mu odczytać zamazane w oryginale pozycje i teraz już w żaden sposób nie mógł się pogodzić ze stratą.

— To co robić, proszę państwa, co robić?! — jęknął rozpaczliwie. — Przecież nie spytamy go, gdzie to schował, on tu już nigdy w życiu nosa nie pokaże! Za nic w świecie nie zbliży się do naszych granic! Co robić?!

— Jechać za nim — zaproponowała bez namysłu Lucyna.

— Wariatka — powiedziała gniewnie Teresa.

— Ej — powiedział Staszek Bielski, któremu przed półgodziną skończyła się służba i teraz brał udział w naradzie prywatnie. — To wcale nie taki zły pomysł. On tu faktycznie więcej za nic nie przyjedzie, ale za to może wykręcić inny numer. Przyśle jakiegoś faceta, o którym nic nie wiemy, wytłumaczy mu co i gdzie, facet znajdzie, wywiezie i szukaj wiatru w polu. Tam gdzie jest, zaufanego sobie skombinuje. Trzeba by go złapać i przycisnąć, zanim zdąży.

— Toteż mówię, jechać za nim! — powtórzyła z zapałem Lucyna.

— Kto ma jechać?! — rzuciła się Teresa. — Może ja?!

— No pewnie, a któż by inny? Ty jedna masz paszport i pieniądze.

— Ja też mam paszport! — krzyknął desperacko Michał.

— Bardzo dobry pomysł — orzekłam. — Trzeba wziąć jego adres. Wszystkie adresy, bo możliwe, że ma ich parę. Musi jechać Teresa, bo tylko ona go zna. I Franek go zna, ale Franek nie ma paszportu.

— Obawiam się, że to jest jedyne wyjście — poparł mnie Marek.

— No właśnie — dodała Lucyna z narastającą uciechą. — Niech jadą razem Teresa i Michał. Teresa go rozpozna, a Michał przycisnie. . .

Teresa rzuciła się na nią z pazurami.

— Głupia jesteś, co ty sobie myślisz, pobiję się z tym bandziorem?! Żeby też mnie gdzieś wepchnął?! Gdzie ja go w ogóle mam szukać?!

— Słyszysz przecież, że ma adresy — przerwała jej zachęcająco moja mamusia.

— Sama bym pojechała, ale zanim załatwię paszport, minie parę tygodni — rzekłam smętnie. — Ogony tam stoją jak stąd do Ameryki.

— Ja bym też pojechała — wyznała Lucyna. — Ale też nie mam paszportu. Skoro on mówi, że ma. . .

— Jadę! — zawołał gorączkowo Michał. — I tak miałem jechać! Wszystko mi jedno! Będę zmywał garnki na stacji benzynowej!

— A owszem, na stacjach benzynowych mają bardzo dużo garnków do zmywania — zauważył zgryźliwie Marek. — Trzeba się dowiedzieć, jaką granicę on w końcu przekroczył, bo nie siedzi chyba w tym Berlinie Zachodnim. . .

— To możemy załatwić — wtrącił Staszek Bielski.

— I wy naprawdę myślicie, że ja pojedę ganiać po Europie jakiegoś gangstera?! — krzyknęła ze zgrozą Teresa. — Czyście wszyscy na głowę upadli?!

— Musisz — powiedziałam z przekonaniem. — Nic na to nie poradzisz. Nie przepuścisz przecież takiego majątku, ani ludowa ojczyzna, ani rodzina w dostatki nie opływa. To duża strata, a może raz wreszcie nasza wytrwałość zostanie nagrodzona. . .

Teresa dostała szału. Michał Olszewski, widząc przed sobą błysk nadziei, wziął najenergiczniejszy udział w perswazjach. Cała rodzina, jak rzadko, zaprezentowała jednolity front, skierowany przeciwko Teresie. Trzeba jechać za Capustą, vel wylizanym Nixonem, i wydrzeć mu wiadomość, co zrobił z majątkością po przodkach. Po złożeniu zeznań można mu ewentualnie obiecać święty spokój. Teresa dopytywała się histerycznie, czy przewidujemy, że będzie przypalać mu piętę, niemniej zaczęła się łamać. Presja rodziny okazała się ponad jej siły.

— Czekajcie, będziecie mnie mieli na sumieniu! — zagroziła rozpaczliwie.

Familijne sumienie było odporne niczym granitowa skała. Zanim oszołomiona, ogłuszona, śmiertelnie przerażona Teresa zdążyła się obejrzeć, już załatwiliśmy wszystko. Szybko, acz nie znanymi drogami, uzyskaliśmy informację, że John Capustą, obywatel USA, po pierwsze mieszka na stałe we Francji, gdzie posiada nawet dwie rezydencje, jedną w Paryżu, w pobliżu placu Republiki, a drugą w Rouen, po drugie zaś niewątpliwie opuścił azyl w Berlinie Zachodnim, naza jutrz po ucieczce z Polski wylądował bowiem na Le Bourget. Francji na razie jeszcze nie opuścił, chyba że pod cudzym nazwiskiem.

Osobiście poleciałam z Teresą do ambasady francuskiej po wizę. Michał Olszewski francuską wizę miał, bo w sierpniu wybierał się do Francji na urlop. Wspólnymi siłami załatwiliśmy wszelkie formalności i kupiliśmy im bilety na

samolot, oczywiście za pieniądze Teresy, która po dzikich wybuchach protestu popadła w beznadziejną rezygnację i przeistoczyła się w bezwolną ofiarą, wleczoną na rzeź. Pozostały jej tylko odruchy.

Wśród lawiny dobrych rad, padających zewsząd, ostatniego wieczoru przed odjazdem udzieliłam im jeszcze jednej.

— A jak już będziecie w tym Paryżu, idźcie w wolnej chwili do lasku Vincennes — rzekłam tajemniczo.

— Po co? — spytała Teresa głosem znękanym, ale nieufnie.

— Na konie. W lasku Vincennes jest tor kłusaków.

Teresa odruchowo popukała się w głowę, ale Michał okazał zainteresowanie.

— I co? Można tam grać? Jak to się gra na tych koniach?

— Całkiem tak samo jak na organkach — podsunęła życzliwie Lucyna.

Tknęła mnie nagle odkrywczą myśl.

— Był pan kiedykolwiek w życiu na jakimś torze? — spytałam żywo Michała.

— Grał pan kiedyś?

— Nie, nigdy. Nie mam pojęcia, jak się to robi.

— A nie urodził się pan przypadkiem w kwietniu?

— Nie. W listopadzie.

— Bardzo dobrze. Tych z kwietnia sprawa nie dotyczy, wszystkich innych owszem. Niech pan tam koniecznie idzie i może pan zagrać byle co. Jeżeli ktoś jest na torze po raz pierwszy w życiu, mur beton wygrywa. Za drugim razem już wręcz przeciwnie...

— Doskonale! — ucieszył się Michał. — A jak to się gra?

— Słodki Jezu... — powiedziała ze zgrozą Lucyna.

Głucha na protesty całej rodziny, udzieliłam mu szczegółowych instrukcji zarówno w kwestii gry, jak i w kwestii oceny koni. Niejaką trudność sprawiał mi nawyk posługiwania się duńskimi skrótami i duńską nomenklaturą wyścigową, której nigdy nie miałam potrzeby tłumaczyć na język polski, ponieważ w Polsce nie ma kłusaków. Michał słuchał z wielką uwagą, zapisując prawie wszystko, co mówiłam, i usiłując wyobrazić sobie, jak to będzie po francusku.

— Szkoda, że nie jedziemy do Kopenhagi — rzekł z żalem. — Ale nic, może ten Capusta przeniesie się do Danii. . . A wtedy my za nim.

— A może do Argentyny — powiedziała Teresa jakimś dziwnym głosem. — A może na biegun północny. A wtedy my za nim!

Lucyna popatrzyła na nią niespokojnie.

— Niech oni już lepiej jadą czym prędzej — rzekła do mnie półgłosem. — Zanim jej się te objawy pogłębią. . .

— Samolot mają rano — odparłam. — Dajcie jej kropli walerianowych i przypilnujcie, aby przez noc. . .

* * *

Rozejrzawszy się po pokoju wynajętym za jedyne dziesięć franków na dobę, Teresa nieco odtajała. Właścicielka obszernego mieszkania prowadziła coś w rodzaju malutkiego pensjonaciku, wynajmowała pokoje wyłącznie wybranym osobom i Michał zaliczał się do ich grona. Paryż okazywał się tańszy niż Kanada i można było w nim poegzystować.

Uzyskany w Polsce adres był prawdziwy. Urzędująca na parterze eleganckiej kamienicy konsjerżka, czyli cieciovka, potwierdziła fakt zamieszkiwania na trzecim piętrze pana Capusty, zarazem jednak uprzejmie zakomunikowała, że pan Capusta wyjechał do Rouen. Teresa i Michał bez namysłu pojechali do Rouen trochę niespokojni, co tam znajdują.

Znaleźli nader wytworną willę na przedmieściu. Stała jak byk, niewątpliwie zamieszкана i użytkowana, o czym świadczyły otwarte okna i dobrze odżywiony kot, na dzwonki jednakże nikt nie odpowiadał. Kot wygrzewający się na słońcu okazywał im całkowitą obojętność. Dość długo oglądali przez sztachety wypięłgnowany trawnik.

— Musimy chyba przyjść tu jeszcze raz trochę później — rzekł w końcu niepewnie Michał. — A tymczasem możemy obejrzeć katedrę. Widziała pani tutaj katedrę? To gotyk.

— Może i gotyk, ale ja bym coś zjadła — odparła ponuro Teresa. — Jakiś obiad albo co. Głodna jestem. Gdzie tu można coś zjeść?

— Wszędzie. Zjemy obiad, a potem obejrzymy katedrę. A potem wrócimy.

Zjedli obiad i ruszyli na zwiedzanie zabytków. Uszczęśliwiony ukochanymi widokami Michał zapomniał niemal, po co tu przybyli, okazał się przewodnikiem równie znakomitym, jak męczącym i podążająca za nim Teresa wśród doznań artystycznych zapewne wyzionęłaby ducha, gdyby nie to, że napatoczyła mu się wystawa antykwariatu. Odruchowo zwolnił kroku, rzucił okiem i wrósł w ziemię. Teresa złapała oddech.

— Co pan tam zobaczył? — spytała z lekką irytacją. — Ja już mam trochę dosyć tego zwiedzania. Nóg nie czuję.

— To nasze — powiedział ochryple Michał wpatrzony w piękną, dużą, srebrną cukiernicę.

— Co nasze?

— Ta cukiernica. Nasza.

— Jak to nasza? Nasza prywatna? Ze studni?

— Nie, z rabunku, Stanisław August kazał sobie zrobić taki skromny komplet, widzi pani litery? Diabli to wzięli już w czasie pierwszej wojny światowej, mało znane. Wiedziałem, że to tu jest, ale nie wiedziałem, że wystawili na sprzedaż. Nasze, bez gadania!

— Będziemy to odbierać?

— Nie, nie możemy. Przedawniona sprawa. Ale moglibyśmy odkupić.

Teresa doznała takiej ulgi na myśl, że nie czeka jej ani włamanie do sklepu, ani bezpośrednia walka z właścicielem, że zgodziła się nawet wejść do środka i spytać o cenę. Wewnątrz Michał stracił nieco panowanie nad sobą.

— Ten barokowy kandelabr to z Wilanowa, widzi pani? — syczał straszliwym szeptem, z całej siły ściskając ją za łokieć. — Ukradli go nam dwieście lat temu. A tu reszta zastawy, widzi pani? Ludwika XVI nie będę się czepiał, to ta porcelana

na lewo, widzi pani? Ale tamto wszystko powinno być u nas, widzi pani, od ilu lat ponosimy same straty?!

Teresa usiłowała wydrzeć mu łokieć.

— Niech mnie pan puści, do licha, przecież nie ucieknę! Kraść nie będę, wykluczone! Może pan spytać, ile to kosztuje. . .

Michał puścił jej łokieć i spytał o cenę cukiernicy. Była nawet przystępna, jedenaście tysięcy franków. Teresa przeliczyła sobie na dolary, zbladła i stanowczym krokiem opuściła sklep. Na ulicy musiała poczekać, bo Michał został w środku rozplomieniony i przejęty. Pojawił się dopiero po dłuższej chwili. Znow chwycił Teresę za łokieć i wielkimi krokami ruszył przed siebie.

— Czy pani wie, czego ja się dowiedziałem?! Czy pani wie, kto mieszka w tej willi Capusty?! Ten właściciel! Tego sklepu właściciel, ten antykwariusz! On się nazywa Tourelle, August Tourelle, ja go znam, to znaczy ja go nie znam, ale słyszałem o nim. Mieszka w willi Capusty, to jest jedna szajka, możliwe, że Capusta dla niego kradnie! On musi coś wiedzieć, będzie w domu o siódmej, on skupuje nasze rzeczy!

Teresa wolną ręką uchwyciła się mijanej latarni i zastopowała rozpędzonego Michała.

— W takim razie po jakiego diabła tak lecimy?! Jest dopiero piąta! Ja już nie mogę, ja chcę usiąść!

— Co? A, rzeczywiście. . . No dobrze, możemy na razie gdzieś usiąść. . .

O siódmej wieczorem pan Tourelle był obecny w domu i przyjął nieoczekiwanych gości bardzo uprzejmie, co Teresę niezmiernie zdziwiło, bo składanie wizyt bez zaproszenia stanowiło dla niej czyn gorszący i niedopuszczalny. O Johnie Capuście niewiele potrafił powiedzieć, aczkolwiek znajomości z nim nie mógł się wyprzeć, zważywszy, iż mieszkał w jego willi. Wyznał nawet, że owszem, pan Capusta był tu wczoraj, ale już odjechał z powrotem do Paryża, a gdzie można by go znaleźć na przykład jutro, tego nie wie. Pan Capusta prowadzi bardzo ruchliwy tryb życia. Niewymownie mu przykro, że nie może nic pomóc.

Wątpliwe jest, czy wizyta dałaby jakiegokolwiek rezultaty, gdyby nie pomoc przedmiotów martwych. Wnętrze willi stanowiło muzeum, o jakim Michał zaled-

wie śmiał marzyć. Od pierwszej chwili roziskrzonym wzrokiem bezbłędnie wyłowił wszystko, co zrabowano z Polski od pierwszej wojny światowej, a co zdobyło ściany i gabloty apartamentu, i teraz nagle nie wytrzymał. Przerwał uprzejme ubolewania pana Tourelle i zakomunikował mu zniechęcająco, iż nabywa on przedmioty kradzione. Nabywa je z całą pewnością od Johna Capusty i on, Michał, wie o tym doskonale. Dziwi się niezwykle lekkomyślności pana Tourelle'a, który te przedmioty pokazuje nawet publicznie.

Panu Tourelle'owi najpierw na moment odjęło mowę, potem zaś z oburzeniem odrzucił insynuację. Od tej chwili Teresa w konwersacji przestała brać udział, nikt bowiem nie miał czasu czelegokolwiek jej tłumaczyć. Michał z zimną krwią wskazał palcem osiemnastowieczną wazę, która opuściła kraj niezbyt dawno i drogą daleką od urzędowej. Pan Tourelle nieco szczerwieniwał. Zbrojny w swoją nietypową wiedzę Michał ruszył w obchód po zbiorach, kolejno wytykając dzieła wątpliwego pochodzenia. Pan Tourelle wyzbył się uprzejmości i jął prezentować coraz żywsze emocje, wykrzykując coś o przedawnieniu, Michał nieco chaotycznie odpowiadał fragmentami przepisów dotyczących zwrotu zrabowanych dzieł sztuki. Pan Tourelle z furią chwycił srebrny kubek, bezsprzecznie należący do Zygmunta Augusta, zjadliwie dopytując się, czy i to również ma uważać za kradzione. Pamiętny poczynąń królowej Bony Michał ogniescie potwierdził. Pana Tourelle'a trafił okropny szlag.

Efekt tej całej awantury był zupełnie nieoczekiwany. Zdenerwowany do nieprzytomności pan Tourelle, zamiast wyrzucić z domu bezczelnego młokosa, ni z tego, ni z owego brutalnymi słowami zelżył swego gospodarza. Tęgo całego Capusty mianowicie ma już zupełnie dość, od dawna podejrzewa, że jest to pęta i aferzysta, nie chce mieć z nim więcej do czynienia, niczego niepewnego od niego nie kupuje i zaraz jutro zapłaci mu za tę willę gotówką. Swoje zdobycze Capusta sprzedaje paserowi w Paryżu i tam niech sobie szukają przedmiotów kradzionych! Nie tu, nie u niego, porządnego człowieka!

Na wzmiankę o paserze w Paryżu Michał odczepił się od spadku po królowej Bonie. Oklapły po wybuchu pan Tourelle bez oporu podał jego adres. Był to niejaki monsieur Charles, czyli po polsku zwyczajny pan Karol, adres zaś wyglądał

trochę niedokładnie. Pan Tourelle pamiętał nazwę ulicy, nie pamiętał natomiast numeru posesji, miał to być po prostu żółty budynek z balkonikami po nieparzystej stronie. Nazwiska pana Karola pan Tourelle również nie podał, twierdząc, że w tych sferach operuje się wyłącznie imieniem, chętnie za to posłużył rysopisem.

W ten sposób pojawiła się następna osoba do łapania. John Capusta był nieuchwytny, cieciovą w jego domu twierdziła, że go nie ma i w ogóle nie było, pan Karol zatem wydawał się jedyną deską ratunku. Musiał coś wiedzieć! Pełen nadziei Michał ruszył na łowy.

Ulica okazała się upiornie długa, żółte budynki stały niemal na każdym kroku, a imieniem Karol cieszyła się bez mała co druga osoba płci męskiej. Pomagał nieco rysopis eliminujący na wstępie wszystkich grubych, wielkich, kompletnie łysych i zezowatych, dodatkowych trudności natomiast przysparzał fakt, że Michał nie miał pojęcia, po czym właściwie można rozpoznać pasera. W wyniku zabiegów dyplomatycznych pot spływał z niego ciurkiem, a oczekująca rezultatów poszukiwań w coraz to innej kafejce Teresa na sam jego widok popadała w coraz większe zdenerwowanie.

— Jak pan go właściwie szuka? — spytała nieufnie, kiedy Michał zdecydował się na chwilę odpoczynku. — O co pan pyta?

— Różnie. Przeważnie chcę sprzedać ikony. Wymyśliłem najrzadsze w świecie i bardzo tanio, nie ma pasera, który by się na to nie narwał. Całe szczęście, że w Związku Radzieckim nie byłem od ośmiu lat, bo jeszcze by na mnie padło jakieś podejrzenie...

Teresa zastanowiła się głęboko.

— Niech pan spróbuje kupować — poradziła. — On może akurat nie mieć pieniędzy.

— Na takie ikony by znalazł. Ale dobrze, spróbuję kupować...

Dopiero późnym wieczorem błysnęła iskra nadziei. Kompletnie wyczerpany Michał u szewca na parterze uzyskał informację, że owszem, mieszka w tym domu monsieur Charles. Szewc też tu mieszka i zna go od lat. Potwierdził wygląd zewnętrzny, łysiejący, drobny brunecik, szczupły, z dużym nosem. Ma lokaja.

— Co ma? — spytał zdumiony Michał.

— Lokaja. Owszem, rzadka rzecz, niemniej go ma. Stać go na to. Mieszka w oficynie, numer mieszkania czternaście.

Teresa znów zaczekała w najbliższej kawiarni. Zdeterminowany, acz zaskoczony nieco lokajem Michał poszedł na rekonesans. Drzwi numer 14 otworzył mu istny potwór, wielki, bykowaty, potężny, o bandyckiej gębie, w koszuli i w pasiastej kamizelce. Niewątpliwie był to ów lokaj. Bez żadnego oporu potwierdził obecność pana Karola i wprowadził gościa dalej.

Stojąc na środku pokoju i rozglądając się, Michał z lekkim niepokojem stwierdził brak jakichkolwiek śladów paserskiej działalności właściciela w dziedzinie antyków. Wyposażenie apartamentu było całkowicie nowoczesne, za to nader eleganckie, wręcz luksusowe. To z kolei pocieszyło go nieco, w poprzednich lokalach bowiem urządzenie wewnątrz nie świadczyło najlepiej o dobrobycie mieszkańców. Tu przynajmniej widać było, że facet ma pieniądze, i Michał zaczął się wahać, z czym wobec tego wystąpić, z chęcią kupna czy propozycją sprzedaży. Zanim zdążył podjąć decyzję, pojawił się pan Karol.

— Słucham pana — rzekł grzecznie. — Czym mogę służyć? Z góry uprzedzam, że mam wiele pracy i daję długie terminy, szczególnie gdyby chodziło o rybę.

Od tej ryby Michał w pierwszej chwili zbaraniał.

— Ależ nie, nie rybę... Ja chciałem... To jest, miałem nadzieję...

— Spodziewam się, że jest to świeże?

— Nie wiem... Co świeże?

— Pański obiekt. Co pan ma? Zwierzę? Ptaka?

— Nie mam żadnego ptaka — zdenerwował się Michał, któremu przyszło na myśl, że pan Karol operuje jakimiś hasłami. — Mnie tu skierował pan John Capusta.

— Pan John Capusta? — zastanowił się pan Karol. — Nie przypominam sobie. A co on u mnie wypychał?

Od tego momentu przez dobre kilka minut rozmawiali ze sobą niczym gęś z prosięciem. Pan Karol z kamienną grzecznością uporczywie trzymał się fauny, Michał przywarł do Johna Capusty. Opisał jego wygląd zewnętrzny, stanowczo

twierdząc, że John Capusta przynosił tu różne rzeczy, które on chciałby odzyskać. Cena obojętna. Pan Karol przypomniał sobie w końcu takiego klienta.

— Ach tak — rzekł łagodnie. — Już wiem. On miał indyka, piękny okaz. Ale już go odebrał.

Michał milczał niezdolny do posłużenia się głosem. Pan Karol przyglądał mu się w zadumie, intensywnie myśląc.

— Pan chciałby coś ode mnie kupić? — spytał po chwili. — Nie ma pan własnego obiektu i chciałby pan kupić coś gotowego?

Nagły błysk nadziei wrócił Michałowi utracone przez indyka zdolności. Potwierdził dość gwałtownie i uczeplił się chęci kupowania, z tym że życzył sobie kupować jedynie dobra po panu Capuście. Pan Karol przyglądał mu się w coraz głębszej zadumie. Michał pojął już, że gospodarz lokalu ma coś wspólnego z wypychaniem różnych stworzeń, zarazem jednak jego dusza węszyła tu drugie dno. Całą głębią jestestwa czuł się na właściwym śladzie i zdecydowany był bezwzględnie pozostać u pana Karola tak długo, aż się z nim dogada. Bodaj nawet przez tydzień, a Teresa w tej kawiarni niech robi, co chce!

— Odnoszę wrażenie, że pan chciałby kupić jakieś przedmioty dekoracyjne, jakieś dzieła sztuki — rzekł w końcu pan Karol z życzliwym zrozumieniem. — Dlaczego nie pójdzie pan do odpowiedniego sklepu?

— Bo u pana są ładniejsze — odparł Michał bez sekundy namysłu.

Pan Karol westchnął.

— Jestem kupcem — oznajmił smętnie. — Zarazem jestem preparatorem fauny, ale widzę, że panu nie o to chodzi. Oczywiście, posiadam różne rzeczy jak każdy, kto lubi otaczać się ładnymi przedmiotami. Jeżeli koniecznie chce pan kupić coś ode mnie, byłbym może skłonny sprzedać za odpowiednią cenę. Bez istotnego powodu, sam pan rozumie, nie będę się pozbywał tego, o co starałem się dla siebie.

Michał ujrzał się na drodze do sukcesu. Zażądał prezentacji owych ładnych przedmiotów i pan Karol, westchnąwszy ponownie, wprowadził go do dalszych apartamentów. Michał planował sobie dość niejasno, chaotycznie i pośpiesznie nadal trwać przy Johnie Capuście z nadzieją, że pan Karol w końcu o nim coś

powie, nic jednakże z tych planów nie wyszło. Widoki, jakie ujrzał w następnym pomieszczeniu, do reszty odjęły mu mowę i rozum. Półki na ścianach, gabloty, stoły i podłogę zapełniały stwory niewątpliwie podobne do zwierząt, ale zabarwione w sposób, który zapierał dech. Jadowicie zielony niedźwiadek sąsiadował z fioletowo-żółtym tapirem, przez pół pokoju wił się ultramarynowy pyton, narożnik wypełniało całe stado kolczatek po większej części tęczowo kropkowanych. Natręctwo kolorystyki wzmagala obecność przeraźliwej ilości rajskich ptaków. Widząc osłupienie na obliczu gościa, pan Karol uprzejmie zakomunikował, iż jego klienci traktują swoje trofea także jako dekoracje kolorystyczne, jemu zaś ganc pomada i barwi tak, jak sobie życzą. Stąd pstrokate kolczatki, niebieskie węże i inne osobliwości. Tylko rajskie ptaki zadowolają kolorystyczne życzenia właścicieli same w sobie i nie trzeba ich niczym wzbogacać.

Pogładził czule kuper cytrynowo-błękitnej papugi i zaprosił Michała jeszcze dalej, do pomieszczeń bardziej prywatnych, udekorowanych nieco odmiennie. Na widok Murilla na ścianie i Benvenuta Celliniego na kominku Michał odrobinę ochłonął, ale wciąż jeszcze czuł się otumaniony, szczególnie że rzucił mu się w oczy wiszący pod sufitem gigantyczny dorsz w oranżowe cętki. Dorsz przesądził sprawę.

Rezygnując z planów, których w ogóle nie mógł sobie przypomnieć, Michał poddał się desperacji. Zamiast kontynuować zabiegi dyplomatyczne, najzwyczajniej w świecie, w przypiływie rozpaczy, zdradził panu Karolowi prawdę. Opowiedział mu szczegółowo wszystkie perypetie ze spadkiem po prababci, główny nacisk kładąc na morderstwa przy studniach i udział w nich Johna Capusty. Zuchwale wyznał całkowite désintéressement stroną moralną przedsięwzięcia, wyjaśniając, że gotów jest nakichać na zbrodnie, byle tylko odzyskać utracone mienie. Niech John Capusta powie, co z nim zrobił, i później już nikt się go nie będzie czepiał. Wyciągnął i odczytał spis bogactw, zaprezentował posiadaną przypadkowo fotografię zwłok na ruince i zakończył stanowczym oświadczeniem, iż wie z całą pewnością o handlowych kontaktach pana Karola z Johnem Capusta, którego właśnie poszukuje policja. Mimo starannego obracania się tyłem do dorsza, w umyśle czuł potężny zamęt, gorąco mu było okropnie i sam już nie wiedział,

czego się właściwie po swoim wystąpieniu spodziewa. Miał niejasne wrażenie, że mówi nie to, co trzeba, i postępuje jakoś odwrotnie, niżby należało, ale nie umiał się powstrzymać. Zamilkł w końcu i wbił w pana Karola wzrok pełen posępnej determinacji.

Pan Karol wysłuchał opowieści z wielkim zainteresowaniem, obejrzał zdjęcie nieboszczyka i zadumał się głęboko.

— Muszę się nad tym wszystkim zastanowić — rzekł wreszcie po długiej chwili. — Ja tego pana Capustę znam bardzo słabo. Widzę, że jest to osobnik dość podejrzany, jeśli istotnie chciałby mi zaproponować jakąś transakcję, po prostu odmówię. Nie lubię mieć do czynienia z policją. Dziękuję za ostrzeżenie.

Jeśli istniały jakieś słowa, które mogłyby Michała ogłupić bardziej niż kolorowe tapiry, pan Karol właśnie je znalazł. Bez wątpienia nie o to chodziło, żeby sobie zaskarbić wdzięczność francuskiego pasera. Osłabły ze zdenerwowania Michał, widząc ruinę nadziei, zebrał siły i rozpoczął wyjaśnienia na nowo, powtarzając historię spadku jeszcze raz od początku z rozpaczliwym uporem, chociaż dość niemrawo. Podświadomie oczekiwał chwili, kiedy pan Karol siłą wyrzuci go ze swego domu. Pan Karol jednakże do ostrych środków uciekał się widać tylko w ostateczności, bo nagle się załamał, okazał poruszenie, wyraził wielkie współczucie i gorąco zaoferował swoją pomoc. Obiecał odnaleźć Capustę, odnowić z nim kontakt i wszelkie wiadomości o nim przekazać Michałowi. Poprosił o adres. Michał najpierw podał mu nazwę kawiarni, w której czekała Teresa, potem zreflektował się i podał adres ich miejsca zamieszkania. Potem opadł z sił do reszty i bez oporu pozwolił się łagodnie wyprowadzić na klatkę schodową, ponownie przechodząc przez orgię zielonych gryzoni i kolorowych rajskich ptaków.

— Muszę trochę odpocząć — oznajmił słabo, padłszy na krzesło przy stoliku naprzeciwko szaleńczo zdenerwowanej Teresy. — Teraz widzę, że się chyba wygłupiłem. Ale nic, odpocznę i pójde do niego jeszcze raz. Najważniejsze, że on zna tego Capustę, możliwe, że się spotkają, nie wiem, czy nie należałoby go śledzić...

Teresa gniewnie wzruszyła ramionami i zażądała szczegółowej relacji z wizyty. Z relacji wynikało, że Michał istotnie się wygłupił. Wydawał się jednak tak zmaltretowany, że nie miała serca czynić mu wymówek.

— Można się tego było spodziewać — powiedziała z rozgoryczeniem. — Od początku wszyscy wiedzieli, że z tego spadku nic nie będzie. Capusty nie złapiemy nigdy w życiu, a w dodatku jeszcze ten paser ostrzeże go przed nami. Wygłupiamy się tu całkiem niepotrzebnie.

Michał spróbował niemrawo zaprotestować, ale świadomość klęski odjęła mu siły. Pokręcił głową.

— Na domiar złego wcale nie jestem pewien, czy to jest rzeczywiście paser — wyznał żałośnie. — Jakoś mi nie wygląda. . .

— A pan myślał, że będzie podpisany czy co? Skąd pan wie, jak wygląda paser?

— No, nie wiem właśnie, więc może on jest. . .

— I pomyśleć, że już myślałam, że może jednak. Dałam się namówić jak kto głupi. . .

— Pójdę do niego jeszcze raz. . .

— I co z tego będzie?

— Nie wiem. Może się przestraszy. Może uwierzy, że policja go szuka. . .

Teresa po namyśle znów wzruszyła ramionami. Michał zapatrzył się w wielki napis po francusku: „Nie więcej niż litr wina dziennie” i mechanicznie mieszał kawę. Obydwoje poczuli, że nie jest dobrze, znaleźli się w okropnie głupiej sytuacji i nie mają pojęcia, jak z niej wybrnąć.

I wówczas nastąpiło coś, co zgodnie postanowili do końca życia uważać za cud.

W drzwiach kawiarni pojawił się potężny, bykowaty facet w pomarańczowym wdzianku, z fantazyjnym szaliczkiem na szyi. Zatrzymał się na chwilę, uważnie spenetrował wnętrze, dostrzegł Michała i ruszył ku niemu. Po drodze sięgnął po wolne krzesło, przystawił je do stolika i usiadł.

— Cześć, koleś — powiedział po polsku. — Niech skonam, rodakowi pomożę.

Teresa odchyliła się gwałtownie do tyłu i zastygła w bezruchu, Michał zakrzuszył się kawą. Facet pstryknął palcami w stronę barmana.

— Trzy piwa — zażądał. — Ja stawiam. Do cholery z winem, ja tam tego nie lubię. Albo coś porządne, albo piwo. Pogadamy sobie na spokojnie, wszystko słyszałem.

Teresa popatrzyła na Michała z wyrazem lekkiej zgrozy.

— Pan zna tego pana? — spytała sztywno.

Michał próbował odpowiedzieć, ale dźwięki, które wydawał, przypominały wyłącznie gulgot zmieszany z kwileniem. Facet wyrozumiale pokiwał głową.

— Ja pracuję u Karola — poinformował Teresę. — Bolek jestem. Parę lat u niego robię. Pomogę wam, bo widzę, że jest niewąska draka.

Teresie coś błysnęło, przypomniała sobie, że pan Karol ma przedwojenną obsługę.

— Ten lokaj...? — zaczęła niepewnie.

Michał odzyskał ludzką mowę.

— No właśnie! To ten! Poznałem pana! Kochany! Dlaczego od razu nie...?!

— Jaki tam lokaj — przerwał facet wzgardliwie. — Obstaw flimonowi potrzebna. Widziałeś, koleś, przecie to neptek, dawno by go palcem w dziurkę od klucza wdusili, żeby nie ja. Nie połapałem się od razu, bo za dobrze po tutejszemu szwargoczesz, ale podsłuchałem wszystko i teraz już kapuję. Ale draka, niech ja zakwitnę!

Wątpliwe jest, czy białoskrzydły anioł prosto z nieba zrobiłby lepsze wrażenie na oprzytomniałych wreszcie Teresie i Michale. Bolka zesłała opatrność, to pewne. Michał zdołał opanować radosny chaos w umyśle i przede wszystkim zażądał wyjaśnienia podstawowej wątpliwości, która go cały czas gnębiła. Jest ten cały Karol paserem czy nie? Bo nie wygląda na to...

— Pewnie, że jest — odparł Bolek, wzruszając ramionami. — Co ma nie być, dobry fach. Od każdego złodzieja kupuje, ale odpala tylko swoim i tak wszystko zamota, że mu ciężko co udowodnić. Od Capusty też kupował, ja go znam, dopiero co tu był. I pewno tylko patrzeć, jak znowu będzie. Do tej pory szło mu całkiem

korekt, ale teraz wychodzi na to, że się trochę opsnął. Pewno przyschnie na jakiś czas, bo pietra ma nie z tej ziemi, chociaż i tak coś tu nie gra. Nieporozumienie.

Pytania Teresy i Michała padły równocześnie i było ich kilkanaście. Bolek machał jedną ręką, pokrzepiając się piwem. Odstawił kufel i pomachał także i drugą ręką.

— Czekajcie, zaraz, niech ja powiem po kolei. Możliwe, że Capusta tu przyleci, bo ledwoś wyszedł, Karol się złapał za słuchawkę. Wisi tam teraz na drucie i szuka go po całym mieście. Owszem, było gadanie o towarze już parę miesięcy temu, Capusta bajerował Karola, jaki to ekstrablit przywiezie, czytał mu ze spisu całkiem to samo co ty, koleś, dzisiaj. Przyjechał i przywiózł jeden nieduży woreczek, stara forsa tam była, niechodliwa, Karol udawał, że nosem kręci, ale widziałem, że mu się dosyć spodobało. Targowali się ostro i Capusta odstąpił mu tak z połowę tego, za dychę. Resztę schował. . .

— Jak to. . . ?!!! — krzyknął strasznym głosem Michał, zrywając się z miejsca. Bolek pociągnął go z powrotem na krzesło.

— Tak to. A co? Nie wiedziałeś o tym? Gadał, że więcej się bał, bo kontrol mogła naskoczyć, ale woreczek nieduży, więc się skusił. . .

— Więc jednak! Przewiózł! Numizmatyczny zbiór! — gorączkował się Michał. — Trzeba to odzyskać, to nasze! Gdzie on to ma!?

— Gdzie ma, to ma, spokojnie, dojdziemy i do tego. Czekajże, mówię, niech skończę, dopiero ci oko zbieleje. Oni ze sobą długo gadali, a ja wszystko słyszałem, bo lubię wiedzieć, co jest grane. Zdenerwowany był, Capusta znaczy, no i wyzwierzał się Karolowi, że za ofiarę robi. Pomyłki, znaczy, i nieszczęśliwego wypadku. Powiadał, że jak poszedł po ten blit, nie wiem, gdzie to było, ale widzi mi się, że w jakieś ruiny, dziura tam była czy studnia, czy co, no i wtenczas, mówię, jak poszedł, nadzieją się na konkurencję. Powiadał, że go znał, tego gościa, małorolny jakiś, lepszy majcher, bo podobnie już wcześniej paru przygasił. No więc nie chciał się z nim sprzeczać, tylko go wziął do spółki, bo i tak sam by nie dał rady. Powiadał, że chciał potem trochę go tylko stuknąć i nawiać z całym majdanem, ale mu wyszło całkiem inaczej. Ten cep, znaczy ten małorolny, furt mu z tej dziury wyłaził, wychodzi mi, że Capusta chciał stuknąć cepa, a cep zamiar-

kował stuknąć Capustę, no i oba się pilnowali. No i za którymś razem Capusta się wykopyrtnął. Noga mu się obślizgła, gibnął się do przodu i pchnął cepa. Cep zleciał na mordę do tej jakiejś dziury i trup na miejscu. Capusta się wnerwił niewąsko, zlął nawet podobnież i sprawdzał, żyje czy nie, ale nie żył, więc nawiał, chociaż reszta blitu pod nieboszczykiem została. Powiadał, że teraz wszystko będzie na niego, bo tamte wcześniejsze ofiary to on właśnie brał sobie do pomocy, a małorolny co i raz to mu pomagierów załatwiał. Po mojemu to Capusta jest ostatnia świnia, brał chłopaków na robotę, ale wcale nie mówił, w czym rzecz, chociaż dobrze wiedział, że małorolny tylko czeka. Świństwo i tyle. Jeden mu podobnież wyżył, ale dał nogę i za cholereż z nim gadać nie chciał, mięczak głupi, już ja bym mu wytłumaczył, jak to nieładnie ludzi kantować. Ale tutaj gadał prawdę, sam słyszałem i widzi mi się, że tak było, jak gadał. Każdą szczegółę wyśpiewał, bo go Karol nieźle przydusił. Teraz byznesy wykańcza ekstrakugiem i możliwe, że gdzie przyschnie na jakiś czas.

Bolek zniecka zamilkł i znów zajął się kuflem. Teresa i Michał słuchali zafascynowani, z wypiekami na twarzach. Tajemnice studni w Woli wyjaśniały się do reszty, owszem, zgadzało się wszystko, małorolnym cepem był niewątpliwie grabarz... Teresa pełna emocji w roztargnieniu wypła piwo, którego nie znosiła.

— No i co? — spytała niecierpliwie. — Co dalej? To znaczy, gdzie podział to wszystko, co wydostali ze studni?

— Szanowna pani to z tych spadkobierców, co? — zainteresował się Bolek. — Smutna rzecz. Nie wiem, gdzie on to podział.

— Jak to? — zdenerwował się Michał. — Nie mówił?

— Pewnie, że nie mówił, taki głupi to on nie jest. Ale Karolowi trochę się to nie spodobało i kazał mi za Capustą pochodzić. No więc pochodziłem. Nic z tych rzeczy, nie kantował, znaczy się, Karola nie kantował. Faktycznie zamelinował gdzieś ten majdan i ja w to wierzę. Co się dziwić, nabój był duży, nieboszczyk mu został na tyłach, pietra miał cholernego, gdzie mu było z trefnym towarem na granicę się pchać! Gdzie zamelinował, cholera go wie, ale chyba gdzieś u kogoś albo co, bo pokazywał Karolowi jakiś papierek. Karol mu, uważacie, ciągle nie

bardzo wierzył, Capustą się zaprzysięgał i tym papierkiem majtał. Albo miał tam adres meliny, albo pokwitowanie, albo jeszcze co... Schował to do kieszeni.

Przez chwilę panowało milczenie. Michałowi coraz bardziej czerwieniały uszy, Teresa patrzyła na Bolka wzrokiem zrozpaczonej Gorgony.

— I to ja... — zaczęła z jękiem. — I to ja tu... Tej szajce... Mam odbierać...

— Trzeba go natychmiast znaleźć! — przerwał Michał z dziką energią, zrywając się z krzesła. — Niech powie! Odebrać tę kartkę! Te monety...! Połowa...! Odkupić...!

Bolek pociągnął go za rękę i Michał usiadł z dość dużym impetem. Przywołany pstryknięciem barman postawił na stoliku trzy następne piwa. Teresa nagle jakby oprzytomniała, otrząsnęła się ze wstrętem i zażądała soku pomarańczowego. Bolek szarmancko zrealizował jej życzenie.

— W tym jest racja, żeby znaleźć Capustę — przyznał. — Sam go dla was poszukam, bo oni mi się obaj narazili. Capusta, śmierdziel głupi, chłopaków z fe-rajny kantował, a Karol węże wypycha. Ja jestem obrzydliwy i na to paskudztwo patrzeć nie mogę, chyba mu posadę wymówię... Ale! Wyście byli na miejscu, nie? Jak to tam wyszło? Stuknął cepa czy nie?

Na wyścigi, jedno przez drugie, zaspokoili jego ciekawość. Bolek z powątpiewaniem kiwał głową, z wolna popijając piwo.

— Znaczy się, nie jest dobrze — zawyrokował z troską. — Faktycznie wygląda na nieszczęśliwy wypadek, czyli z policją nie ma co zaczynać. Swołocz taka znów się wykręci, a tych chłopaków ja mu darować nie mogę. Trzeba zrobić tak. Przyuvažąć go gdzieś na osobności, kartkę odebrać i trochę przycisnąć. Tu nie ma to tamto, żeby w końcu prawdy z siebie nie wydusił, jak się go dobrze zachęci.

— Przypalić mu te pięty? — spytała w popłochu Teresa.

— Na co pięty. Wycisk starczy...

— Gdzie go można znaleźć? — spytał chciwie Michał.

— Chwilowo diabli wiedzą. Żebyście wcześniej przylecieli, już bym go dla was miał, był przecież u Karola. A i tak nie wiem, czy nie za późno, bo ten starszawy bilon, co tak wam na nim zależy, mógł gdzie upłynnić. Chociaż z drugiej strony prędzej u Karola niż gdzie indziej, bo Karol płaci tanio, ale za to od razu

gotówką, i nie trza mu już żadnej komety zasuwać. Ale znów teraz, jeżeli Karol dał mu cynk, możliwe, że prysnął. . .

Teresa i Michał zmartwili się bardzo. Bolek wyciągnął na środek kawiarni potężne kopyta w eleganckich żółtych skarpetkach i rozmyślał ze zmarszczoną brwią. Wyraźnie czuł się osobiście zaangażowany w sprawę.

— Ale widzi mi się, że on jest jeszcze w Paryżu — dodał po chwili. — Forsa mu się należała od paru takich, to wiem. A możliwe, że Karol puści farbę i dowiem się co więcej. . .

— Kochany! — roztkliwił się nagle Michał. — Jak my ci się odwdzięczymy? Bez ciebie już tu byliśmy jak tabaka w rogu, żeby nie ty. . .

Bolek cofnął kopyta ze środka przejścia i odwrócił się na krzesło, machając ręką.

— Co tam, koleś, nie wygłupiaj się. Żadne takie. Ja wam pomagam dla przyjemności, stać mnie na to. Wrócę teraz do Karola i będę dla was kapował, a jakby co, to was zawiadomię. Jedna tylko rzecz. . . Pieniądze macie?

Teresa i Michał spojrzeli najpierw na siebie, a potem na niego takim wzrokiem, że słowa nie były potrzebne. Bolek się zafrasował.

— Nieklawo. Bez szmalu nie ma podejścia. Odkupić ten niechodliwy bilon może byćście mogli, ale darmo Karol nie odda. Skombinować wam się jakoś nie uda?

— Uda nam się — odparł z mocą Michał. — Skombinujemy!

— Pan zwariował? — wyrwało się Teresie w popłochu.

— Cicho! Wiem, co mówię! Mam myśl. . .

— Jak masz myśl, koleś, to fajno. Daj mi teraz telefon i czekajcie, aż zadzwonię. . .

Tajemnicza myśl Michała ujawniła się dopiero, kiedy dotarli do domu, pod naciskiem mniej słów, a bardziej wzroku Teresy. Wszedł do jej pokoju i zamknął drzwi.

— Jutro czwartek — oznajmił z determinacją.

— No to co, że czwartek?

— Nic. Wyścigi. W lasku Vincennes. Pani Joanna mówiła. . .

Teresie pociemniało w oczach.

— Co moja siostrzenica mówiła, tego proszę nie brać pod uwagę! — wyszczała dziko. — Ja w jej wariactwach nie biorę udziału!

— To nie jej wariactwo, to nasze! — rzekł Michał z mocą. — A co, woli pani obrabować bank? Ja jadę, a pani jak uważa!

Teresę ogarnęła zgroza kompletna. Myśl, że mogłaby zostać spokojnie w domu albo iść zwiedzać Luwr, a Michał niech sobie jedzie, nie zaświtała jej w głowie. Pomyślała za to o swojej książeczce czekowej, która na szczęście została w Hamiltonie. Pomyślała też, że trzeba było jechać na Florydę, z pewnością wypadłoby to taniej niż ta wycieczka do Polski. Potem pomyślała jeszcze, że chyba obrabowanie banku byłoby mniej ryzykowne, a potem zrezygnowała z myślenia całkowicie...

* * *

Siedząc na otwartej trybunie i trzymając w rękach nabyty przy wejściu program, dla oszczędności tylko jeden, obydwójce tępo wpatrywali się w niezrozumiałe skróty. Michał gwałtownie usiłował przypomnieć sobie moje instrukcje, Teresa domagała się tłumaczenia na język polski.

— Przecież pani była już kiedyś na wyścigach!

— No to co? Po pierwsze tylko raz w życiu, a po drugie na Służewcu w Warszawie, gdzie nic mi tak przed nosem nie latało. I kowboje siedzieli na koniach, a nie na tych siewnikach!

— Tu są kłusaki. Wszystko jedno. Niech pani sobie przypomni coś z praktyki!

Z praktyki Teresa przypomniała sobie, że na Służewcu przegrała. Pocieszyła się myślą, że ja byłam przy tym obecna, co musiało mieć swój wpływ. Zagapiła się na biegające po torze konie i jeden jej się spodobał. Był czarny, lśniący, parskał i daleko wyrzucał nogi, biegnąc pięknym, równym kłusem. Szturchnęła Michała łokciem w żebra.

— Widzę jednego — oznajmiła. — Ma na sobie numer pięć. Ten w żółtym kaftanie. Trzeba grać w kasie.

Michał podniósł głowę znad swoich notatek, obejrzał konia i zaaprobował wybór.

— Tylko nie wiem, który to jest — dodał niepewnie.

— Jak to który? Piątka! Wyraźnie ma na sobie numer.

— No piątka, owszem, ale nie wiem, z którego biegu. . .

Pochylili się znów nad programem. Przy numerze gonitwy podana była nazwa koloru: jaune, rouge, bleu. . .

— Żółte, czerwone, niebieskie — powiedział niespokojnie Michał. — Nie wiem, co to znaczy. Ten koń jest żółty?

— Żółty! — podchwyciła Teresa. — To ten! Żółta piątka!

Koń odbiegł aż do wirażu, zawrócił i biegł teraz w drugą stronę. Trener na wózku miał na sobie jaskrawożółtą kurtkę. Michał kiwnął głową.

— No, to jednego mamy. Żółty bieg jest pierwszy. Trzeba wybrać jeszcze jednego, żeby zagrać porządek, tu mam zapisane. . .

Rozejrzeli się po innych biegających przed trybunami koniach. Dwa akurat wyprzedzały się wzajemnie. Teresa zaproponowała kandydaturę tego, który okazał się szybszy. Michał ocenił zwierzę ze zmarszczoną brwią i pokręcił głową.

— Dryga zadem — oznajmił. — Pani Joanna mówiła, żeby nie grać tych, które drygają zadem, bo one idą utem.

— Co proszę? — zainteresowała się Teresa.

— No, nie wiem. Wszystko mi się pomieszało, bo to po duńsku, ale wiem, że tych z zadem nie należy grać.

— Dobrze, grajmy te bez zadu. . .

— Poza tym on nie był żółty, tylko zielony. To chyba inny bieg. . .

Żółte kaftany nie pojawiły się więcej, Teresa zajrzała zatem znów do programu. Jedyne, co była w stanie wykryć samodzielnie, to imiona koni. Wyłowiła faworyta natychmiast.

— Erynia — zdecydowała stanowczo. — To jest właśnie to, co mnie przepelnia, kiedy pomyślę o tym cholernym Capuście. Życzę sobie grać na Erynię.

— Bardzo dobrze, mnie przepelnia to samo. Erynia to jest szóstka. Będziemy grali porządek. Pięć-sześć. I odwrotnie, sześć-pięć. Pani Joanna kazała zawsze grać odwrotnie, mam zapisane.

Wybrawszy konie tą dość osobliwą metodą, wyasygnowali po pięć franków i Michał poszedł obstawić porządek. Po drodze natknął się na kasę z napisem TIERCE i przypomniał sobie, że jest to kombinacja, na której można wygrać najwięcej. Zawahał się, zajrzał do swoich notatek, upewnił się, że chodzi o wybór trzech kolejnych koni, po czym w kasie uzyskał informację, iż sprawa dotyczy czwartej gonitwy. Ruszył z powrotem do Teresy z zamiarem wytypowania owych trzech koni, ale usłyszał przez głośniki komunikat o zaczynającej się prezentacji, rzucił się zatem w pośpiechu do kasy. Wybrał taką, przy której kłębiło się mniej ludzi, nie spojrzawszy na napis nad nią, rzucił swoje dwie pięciofrankówki, krzyknął „pięć-sześć”, dostał bilet i popędził na trybunę. Dopiero padłszy na ławkę obok Teresy, uprzytomnił sobie, co zrobił. Stracił dziesięć franków zamiast pięciu, zagrał pięć-sześć, a nie zagrał odwrotnie, sześć-pięć, jak idiota. . .

Chciał z niepokojem i skruchą przyznać się Teresie do swego wygłupu, ale nie zdążył. Konie długim rzędem zbliżyły się do trybuny. I Teresę, i Michała ogarnął gwałtowny niepokój, z kolorami bowiem było coś niedobrze. Gonitwa miała być żółta, tymczasem woźnice na wózkach odziani byli we wszystkie możliwe barwy, a kilku miało nawet kaftany pasiaste. Pod numerem pięć siedł zupełnie inny koń. Michałowi przyszło do głowy spytać o tę kwestię graczy obok i wówczas okazało się, że nie odzież trenera jest tu ważna, a odzież konia. Mianowicie numery powinny być umieszczone na żółtym tle.

Zanim po prezentacji konie przeszły na start na drugą stronę toru, Teresa i Michał zdołali się porozumieć. Strata dziesięciu franków była nieodwracalna, Teresa beznadziejnie machnęła na nią ręką. Koń w żółtym kaftanie, którego numer umieszczony był na czarnym tle, należał do gonitwy czwartej, a zatem jednego tiersowego faworyta już mieli. Należało wybrać jeszcze dwa. Michał otworzył program, Teresa pokazała palcem wielką tablicę na środku pola.

— Co to jest? — spytała nerwowo. — Może to ważne? To mruga.

— Zaraz pani powiem — odparł Michał, zamykając program i otwierając notes. — Zaraz... Nie mogę odczytać... Aha, tablica na środku... Tam są numery koni i światełka obok, te liczby określają, jak są grane. To znaczy, ile będą ewentualnie płacili, jeśli któryś wygra...

Spojrzał na tablicę i urwał.

— Dziewięćset dziewięćdziesiąt dziewięć — przeczytała Teresa. — Obok piątki. A obok szóstki dziewięćset dziewięćdziesiąt osiem. Co to znaczy?

Michał przez chwilę milczał.

— To znaczy, że nikt tego nie gra — rzekł w końcu słabym głosem. — Trzy dziewiątki oznaczają, że powyżej tysiąca. Będą płacili powyżej tysiąca...

— Kiedy będą płacili?

— Jak piątka wygra...

Tablica mrugnęła i obok szóstki zapaliła się liczba 960. Teresa przyglądała się temu przez kilka sekund.

— Tośmy sobie świetnie te konie wybrali — zauważyła zgryźliwie. — Dziewięćset świeci tylko przy tych dwóch. Czy to naprawdę znaczy, że piątkę z szóstką gramy wyłącznie my i nikt inny?

— Obawiam się, że tak...

Siedzieli wpatrzni w tablicę, nie zwróciwszy uwagi, że pierwsza gonitwa wystartowała. Dopiero narastający grzmot kopyt pozwolił im zauważyć nadbiegające konie. Przebiegły przed trybuną i pędziły dalej.

— No i co? — spytała martwo Teresa.

— Nie wiem — odparł niespokojnie Michał. — Lecą. Widocznie to jeszcze nie koniec.

Konie robiły drugie okrążenie. Na trybunach zerwał się głuchy ryk. Ani Michał, ani Teresa nie byli w stanie połapać się, co się dzieje w tej pędzącej kupie, jedno konie zostawały w tyle, drugie wychodziły do przodu. Ryk na trybunach potężniał, głośnik coś krzyczał. Konie wyszły z ostatniego wirażu i zbliżały się znów do trybuny.

— Piątka!!! — wrzasnął Michał okropnie i zerwał się z miejsca. — Piątka leci!

Szaleńczo zdenerwowana Teresa zerwała się również. Ich piątka szła pierwsza, wysforowana do przodu, za nią, łupiąc kopytami, pędziła cała kupa koni. Tłum na torze ryczał tak, że całkowicie zagłuszał krzyki głośnika. Konie przeszły metę, głośnik umilkł jak nożem uciął, tłum huczał nadal. Teresa i Michał stali wciąż w bezruchu wpatrzeni w zwalniające za metą kłębowisko koni i wózków. Osłabły nagle z emocji Michał klapnął z impetem na ławkę, Teresa obejrzała się na niego.

— No i co? — spytała bezradnie. — Co wygrało?

— Nie mam pojęcia. Chyba ta piątka. Powinni zaraz ogłosić. Boże wielki, ależ te wyścigi to przepiękna rzecz! Rozumiem teraz, co to znaczy, że ten grzmot kopyt chwyta za serce. . .

Teresa przyjrzała się z niesmakiem współnikowi i również usiadła.

— Za serce to ja się zaraz chwycę. Niech pan się dowie, co wygrało, bo jestem ciekawa. Okazuje się, że wybraliśmy bardzo dobrego konia. . .

Wyścigi konne jest to miejsce, gdzie opatrność pozwala sobie na najdziwniejsze wybryki. Głośnik chrząknął i rozpoczął komunikat. Błady z wrażenia Michał, nie wierząc własnym uszom, przetłumaczył Teresie informację.

— Przyszło pięć sześć dwa. Tak powiedzieli. Rozumie pani? Pięć. Sześć. Dwa. . .

— Jak to? — zdenerwowała się Teresa. — Jakie dwa? Co to znaczy?

Michał wyciągnął rękę w kierunku tablicy na środku pola, gdzie świeciły wymienione przez głośniki cyfry.

— Trzeci koń — rzekł uroczyście. — A przed nim nasze dwa. Pięć-sześć. Dwójka trzecia. . . Wygraliśmy!

Śmiertelnie zdumiona Teresa wybałuszyła oczy na tablicę.

— Jak to? Wygraliśmy, naprawdę? Na te konie, których nikt nie grał?!

— Tak jest! Nikt nie grał! Tylko my! Rany boskie!

— I myśli pan, że nam za to zapłacą?

— No pewnie, że zapłacą! I to nawet dość dużo! To są fuksy! Coś podobnego, wygraliśmy. . . !

Teresa otrząsnęła się z osłupienia i, nie odrywając oczu od prześlicznych cyfr, uczyniła przypuszczenie, że wysokość wypłaty również powinna zaświecić na tablicy. Michał zgodził się z nią i oboje w napięciu zaczęli się wpatrywać w puste miejsca obok numerów koni. Głośnik rozpoczął przemówienie, równocześnie tablica mrugnęła i w owych pustych miejscach ukazały się liczby.

— To nasze? — spytała Teresa z niepokojem.

Michał pokręcił głową, zaglądając do notesu.

— Nie, to pojedynczo. Porządek powiedzą za chwilę. Powinien być na dole. Tamto, to jest górą i plac.

— Jaki plac?

Nieco chaotycznie Michał zaczął jej tłumaczyć znaczenie pojedynczych wypłat, posługując się swoimi notatkami. Przerwał wykład, bo głośnik znów się odezwał. W skupieniu słuchał nie tylko Michał, ale także cały tłum na torze. Głośnik skończył, w tłumie za to wybuchły okrzyki. Michał miał wyraz twarzy nieco stropiony, Teresa rozzłościła się na niego okropnie.

— Czy pan wreszcie będzie porządnie tłumaczył, czy nie? Przecież ja nic z tego nie rozumiem! Co oni powiedzieli?!

— Chyba źle zrozumiałem — powiedział niepewnie Michał. — Chyba płacą tysiąc siedemset... O, zapala się!

Na tablicy, poniżej poprzednich liczb, zapaliła się suma 17.246. Teresa odczytała ją jako 1724 złote i 60 groszy. Michał wpatrywał się w nią w tępy oszołomieniu. Głośnik wychrypiał następne informacje, Michał wysłuchał, oderwał wzrok od tablicy i spojrzał na Teresę.

— A więc jednak! — rzekł uroczyście. — Pobiliśmy tegoroczny rekord toru! Płacą nam rzeczywiście siedemnaście tysięcy dwieście czterdzieści sześć franków. To pani wymyśliła tę piątkę i tę Erynię. Czy mogę pani paść do nóg?

— Ile nam płacą? — spytała Teresa, sądząc, że źle słyszy.

— Siedemnaście tysięcy dwieście czterdzieści sześć franków. Czy mogę pani paść...

— Nie wierzę. To musi być jakaś pomyłka. Tysiąc siedemset to jeszcze rozumiem, ale nie siedemnaście tysięcy. Niech pan to lepiej sprawdzi.

— Powiedzieli przez głośnik i wyraźnie świeci na tablicy. Powiedzieli, że jest to rekord tego roku. Czy mogę pani paść do nóg?

Teresa przez chwilę patrzyła na Michała dziwnym wzrokiem, po czym nagle otrząsnęła się z szoku.

— Ale co pan, ma pan źle w głowie? Gdzie pan chce padać, tu za ciasno! Nie, ja nie uwierzę, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy. Niech pan idzie odebrać pieniądze, bo jestem zdenerwowana!

Michał poszedł. Przed kasami wypłat było kompletnie pusto. Wrócił do Teresy i przyniósł czek na 34.492 franki.

— Okazuje się, że przez pomyłkę graliśmy to podwójnie — przypomniał jej. — Za dziesięć franków, a nie za pięć. Mieliśmy jedyne dwa bilety na całym torze i wszyscy bardzo żałują, że graliśmy za dziesięć franków, bo gdybyśmy grali za pięć, jednym biletem, wypłata stanowiłaby absolutny rekord toru. Do tej pory absolutny rekord wynosi trzydzieści cztery tysiące sto dwadzieścia cztery, nasze wyszło więcej. Poza tym poprzedni rekord padł w 1961 roku i było to w dzień derbów, więc ten dzisiejszy byłby większą sensacją.

— Zdawało mi się, że mieliśmy tylko jeden bilet. . .

— Ale za dziesięć franków. To się liczy za dwa, bo jednostkę stanowi pięć. Więc wyszedł im tylko rekord tego roku. . .

Teresa obejrzała czek i zwróciła go Michałowi.

— Niech pan to schowa — rozkazała. — Gdybym go zgubiła, nie darowałabym sobie do końca życia. Z dwojga złego wolę, żeby pan zgubił.

— W ogóle go nie zamierzam gubić — odparł Michał energicznie. — Przydam się. Gramy dalej!

Teresa zgodziła się natychmiast. Nie grać dalej wydawało jej się nawet jakoś nieprzyzwoicie, ostatecznie, przegranemu zawsze należy dać szansę, a w tym wypadku przegrany był tor. Co prawda obydwójce szybko przypomnieli sobie moje prorocтва co do tego pierwszego razu, kiedy się wygrywa, i drugiego, kiedy wręcz przeciwnie, ale w zaistniałej sytuacji na przegrywanie mogli sobie pozwolić. Michał zaproponował, żeby szlachetnie i honorowo podnieść stawkę, niech poznają polski gest! Teresa przystała i na to.

Honorowo podniesiona stawka wyniosła sto franków. Proroctwa spełniły się z największą dokładnością, sto franków diabli wzięli od razu i Teresa poczuła się nieco lepiej. Wygrywanie takich sum było czymś przeciwnym naturze, przegrywanie stanowiło rzecz normalną i przywracało równowagę. Kiedy w ostatniej gonitwie tracili resztki posiadanej gotówki, odzyskała już całkowicie dobre samopoczucie.

— No, teraz nareszcie wszystko jest w porządku — oznajmiła z zadowoleniem. — Wydajemy pieniądze, stawiamy i przegrywamy. Dobrze, że nam wypłacili czekiem, bo gotówka też by tu się pewnie rozeszła.

— Brakuje mi na taksówkę — stwierdził radośnie Michał. — Musimy wracać metrem. Mamy pieniądze dla tego Karola i pokrywają się wszystkie koszty! Cóż to za prześliczne miejsce, jaka szkoda, że wygrywa się tylko za pierwszym razem...!

* * *

Bolek zadzwonił nazajutrz o poranku, krótko oznajmił, że ma pewne interesujące wiadomości, i zaproponował spotkanie pod wieczór w tej samej co poprzednio kawiarni. Dwoje wspólników poczuło przypyływ nowych sił i nowych uczuć. Michał popadł w stan euforii, twierdząc, że bez wątpienia konstelacje na nieboskłonie ułożyły się w sposób dla nich niezwykle przychylny i teraz wszystko pójdzie jak po maśle. Teresa jęła nabierać cichej nadziei. Wmieszanie się w sprawę prawdziwego chuligana, czy może gangstera, wywarło zapewne swój wpływ, tego jeszcze dotychczas w rodzinie nie było, gangsterowi familijna klątwa finansowa mogła ulec. Przybyli na miejsce za wcześnie i poczekali na sprzymierzeńca całe pół godziny.

— Capusta był u Karola — zakomunikował Bolek na wstępie, zaopatrzwszy stolik w zapas piwa, soku pomarańczowego i kawy. — Nadleciał o północy, więc już wam nie trułem. Wie o was i w ogóle nie mieszka u siebie, tylko w jakiejś me-

linie, ale ja jej nie znam. Policję chromoli, bo ma obywatelstwo amerykańskie i do tego lewe papiery, za cholere nie wiem, na jakie nazwisko. Faktycznie wykańcza tu jeden byznes, a potem pryska do Stanów i za trzy dni już go tu nie będzie. Nie ma innego wyjścia, jak tylko przydusić go prywatnie, i to możliwie raz dwa.

Michał potwierdził ten pogląd z płomiennym zapałem. Teresa zajęła się opędzaniem od natrętnej myśli o przypiekaniu pięt.

— A jakby co, to co? — zainteresował się Bolek. — Jedziecie za nim?

— Jedziemy! — zdecydował Michał bez namysłu. — Nawet do Argentyny, nawet do Australii! Już teraz mamy za co!

— Ale tylko klasą turystyczną — ostrzegła pośpiesznie Teresa.

Bolek delikatnie okazał zaciekawienie ową niezwykłą myślą Michała, która tak szybko przyniosła pieniądze. Michał nie wytrzymał i wyjawiał prawdę o kłusakach w lasku Vincennes. Sojusznik słuchał z wyrazem lekkiej zgrozy.

— Fart mieliście nieprzeciętny — zawyrokował. — Ale więcej tam nie latajcie, bo ta facetka dobrze gadała, za pierwszym razem Kanada, a za drugim mogiła. Ja te rzeczy znam. Ale to widzę, że już nie jest źle, z Karolem się pogada, a Capustę przydusi. Powiem wam, jak zrobimy. On raz przyjeżdża wózkiem, a raz przylatuje piechotą, zależy kiedy, w nocy wózkiem, bo trochę mniejszy ruch. Z Karolem są umówieni, jeszcze tu będzie, więc jakby wózkiem, wyskoczę na chwilę i zrobię mu koło. Zanim wymieni, zdążycie nadlecieć. A jakby na piechotę, zwyczajnie pójdę za nim i zobaczę, gdzie się melinuje. Potem już sprawa prosta.

— No widzi pani i po co to było tyle krakać — powiedział Michał do Teresy z radosnym wyrzutem. — Wszystko się załatwi jak trzeba. A jeżeli nam coś zostanie, odkupimy jeszcze tę cukiernicę Stanisława Augusta!

— Ale ja przy tym przyduszeniu nie będę — powiedziała Teresa stanowczo. — Nie życzę sobie tego oglądać!

— Dobra, szanowna pani stanie na świecy — uspokoił ją Bolek. — Damy sobie radę. Znaczący, wracam teraz tam. . .

Uczynił gest w kierunku ulicy, mając zapewne na myśli dom pana Karola, spojrzął za gestem i urwał. Teresa i Michał również odruchowo spojrzeli w okno.

Teresa zakrztusiła się sokiem pomarańczowym, Bolek prychnął piwem na sąsiedni stół, poderwał się z krzesła, wyszarpnął z kieszeni jakieś pieniądze, rozsypał je po podłodze i runął ku wyjściu. Teresa zerwała się również, bliska uduszenia, charcząc i gestami żądając od Michała poklepania w łopatki. Michał odgadł w czym rzecz, przewrócił kufel z resztką piwa, przewrócił filiżankę, rozlał resztkę kawy, mignęło mu w głowie, że albo się zmyją natychmiast, albo za dużo tu trzeba będzie przeproszać, chwycił Teresę za rękę i również runął do drzwi, zarazem waląc ją po plecach. Robiło to wrażenie nader energicznego poganiania. Poszkodowane ofiary rozlanego piwa, kawy i soku pomarańczowego nie zdążyły ich zatrzeć.

Na ulicy Teresa odzyskała dech. Bolek wzywał ich gestami z odległości kilkunastu metrów. Dopadli go galopem.

— Nie latajcie tak! — syknął gniewnie. — Ja muszę zostać, bo on mnie zna. . .

— Mnie też zna — wtrąciła Teresa ciężko dysząc.

— Dobra, koleś, ty się przypniesz do niego, a my cokolwiek odparujemy. Będziem kapować na ciebie. . .

— To on? — szepnął nerwowo Michał. — Jesteście pewni? Gdzie on jest?

— Włazł do tego sklepu. Na piechotę przyleciał, bo wózka nie widzę. Pewno zaraz wylezie. . .

W tym momencie ze sklepu ze sprzętem fotograficznym wyszedł John Capusta. Wyszedł szybkim krokiem i troje spiskowców nie zdążyło nie tylko się ukryć, ale nawet odwrócić. Pierwszą osobą, na którą padło jego oko, była Teresa. Drgnął wyraźnie, zawahał się, po czym z miejsca zawrócił i ostro ruszył przed siebie.

Pogoń miała duże szansę powodzenia. Nawet gdyby Capusta uciekał biegiem, Bolek i Michał dogoniliby go bez trudu. Ucieczka samochodem zresztą również nie musiała się udać z uwagi na beznadziejnie zatłoczone jezdnie, mógłby się od nich odczepić dopiero poza śródmieściem. Poza tym Teresa i Michał szybko uzgodnili między sobą, że w ostateczności zwrócą się do policji, rzucając na Capustę byle jakie oskarżenie. Bolek zaaprobował ten pomysł, w galopie zawiadamiając współników, że w razie pojawienia się glin on pryska, mogą się nim zatem nie przejmować. Policjanta jednakże chwilowo nie było na horyzoncie, a John

Capusta żwawo zwiewał. Zziajana Teresa przyzostała nieco z tyłu, nie mogąc nadążyć za łowcami i zwierzyną przemykającą się zręcznie przez tłum.

Uczucia, które ją przepęlniały, były trojakiemu rodzaju. Na pierwszy plan wybijała się rozpaczliwa konieczność dogonienia nie Capusty, a Michała. Nagle uświadomiła sobie z przerażeniem, że nie może zaniechać pogoni i pozostać gdziekolwiek, nie pamięta bowiem, gdzie mieszka. Przez cały czas, bezustannie, przebywała w towarzystwie Michała i adres, jako niepotrzebny, wyleciał jej z głowy. Nie umiałaby trafić do domu uczynnej damy. Musiała nadal trzymać się kurczowo współtowarzysza niedoli, który grzał przed siebie jak maratończyk i coraz częściej nikał jej z oczu. Konieczność łapania i przyciskania Capusty w tej sytuacji stała się drugorzędna, aczkolwiek wciąż była celem godnym uwagi i wysiłków. Zarazem trwał w niej niepokój na tle owych przeklętych pięt i wciąż wydawało jej się, że przez obrzydliwą, acz niewątpliwie niezbędną czynność rozbija się wszystko. Ta ostatnia myśl istniała w niej już nader mgliście, niejako na marginesie zasadniczych obaw, niemniej jakoś dziwnie hamowała jej kroki.

Bolek i Michał szli łeb w łeb. Capusta przemykał się przed nimi. Sposób działania uzgodnili na wstępie. Nie zamierzali łapać go na ruchliwej ulicy, gdzie jakaś żądna wrażeń część tłumu mogłaby zareagować w sposób nieoczekiwany, liczyli raczej na to, że doprowadzi ich do swojego miejsca zamieszkania, ewentualnie zapłacze się w cichy zaułek, ewentualnie podąży w bardziej odludne dzielnice. John Capusta nie spełniał tych oczekiwań, pchał się prosto w kierunku śródmieścia.

— Kurza twarz, on coś kombinuje — sapnął Bolek w galopie. — Widzi mi się, że leci do cyrku. . . To jest taka pora. . . Ludzie zaczną wychodzić, a wtenczas w kupie się zagubi. . .

— Przybliżmy się! — zaproponował rozogniony Michał.

— Dobra, tylko bez nerw. . .

Przed nimi, od strony placu Republiki, błyskały już kolorowym światłem neony. Gdzieś w górze zielonym blaskiem zapłonęła wielka tygrysia mordą, zgasła i zaświeciła dla odmiany na żółto. John Capusta pędził wprost w tamtym kierunku.

Dokładnie w tym właśnie momencie w zapełnionym cyrku zapowiadano kluczowy numer programu, mianowicie występ sześciu ussuryjskich tygrysów. Cały personel był już na stanowiskach, pomocnicy tresera oczekiwali przy klatkach sygnału, portierzy, wykidajły i ciecie ustawili się wokół areny i w przejściach między sektorami, baczna uwagę zwracając na publiczność. Od czasu kiedy raz jakiś facet rzucił w tygrysa zdechłym, a w dodatku mokrym, nietoperzem, wywołując potworne zamieszanie, bardziej pilnowano widzów niż zwierząt. Wszystko trwało w stanie gotowości bojowej, przy głównym wejściu pozostał tylko jeden portier i jedna kasjerka, sprzedająca także bilety na następny dzień. Kasjerka, nie widząc klientów, dłubała szydełkiem niemowlęcy kaftanik z angorskiej wełny dla wnuka płci męskiej, którego doczekała się wreszcie po licznych wnuczkach płci żeńskiej. Portier nie miał nic do roboty, wiadomo było bowiem, że pod sam koniec przedstawienia nikt nie będzie wchodził. Zabrakło mu papierosów, rozejrzał się, spojrzął na kasjerkę, po czym oddalił się kilkanaście kroków do najbliższego kiosku.

W chwili kiedy już wracał, ujrzał nagle jakiegoś człowieka, który nie biegł wprawdzie, ale krokiem do biegu zbliżonym wyłonił się pomiędzy budek, sklepików i straganów i omijając kasy wpadł do cyrku. Zastłona za nim gwałtownie zafalowała. Zanim zaskoczony nieco portier zdążył wrócić na swoje miejsce, pojawiło się dwóch innych ludzi, którzy w podobnie przyśpieszonym tempie okazali zamiar wdarcia się do wnętrza. Jednemu się udało, drugiego portier zdołał zatrzymać grzecznym, ale stanowczym pytaniem o bilety. Zatrzymany był szczupły, chociaż wysoki, portier dysponował posturą zubra, przewaga była po jego stronie. . .

Złapanemu w wejściu Michałowi mignęło w głowie wspomnienie z dzieciństwa, z obozów i szkolnych wycieczek.

— Grupa za nami ma bilety! — wrzasnął z tak wielką stanowczością, że portier go puścił.

Michał znikł za falującą jeszcze zastłoną, a portier mimo woli spojrzął w kierunku ulicy, spodziewając się owej grupy, która widocznie spóźniła się na program i chce obejrzeć przynajmniej ostatni numer, niewątpliwie gwóźdź sezonu. Czekał

chwilę, aż w charakterze grupy pojawiła się samotna, ciężko zasapana dama w zaawansowanym wieku, zmierzająca ku niemu tak zwanym świńskim truchtem.

Teresa już z daleka widziała, jak Bolek i Michał kolejno znikali za zasłoną, wejście do cyrku oświetlone było bowiem nie gorzej niż arena. Chciała pójść w ich ślady, ale komunikat o grupie nie przyszedł jej do głowy, poza tym nie umiałaby go wygłosić po francusku. Równocześnie portier przypomniał sobie, że o żadnej spóźnionej grupie nie było mowy, a w ogóle cyrk jest pełny, na widowni pozostały wolne jedynie nieliczne, pojedyncze miejsca, poczuł się wykantowany, zirytowało go tamtych trzech na gapę i od czwartej osoby kategorycznie postanowił wygzekwować należność. Zastawił wejście własną, okazałą osobą.

Z całego jego gadania Teresa zrozumiała wyłącznie słowo „kasa”. Obejrzała się w stronę, ku której wymachiwał rękami. Oświetlone okienka i napisy wykluczały wątpliwości. Nie myśląc nic, czując tylko, że za wszelką cenę musi dogonić Michała, Teresa rzuciła się tam, gdzie siedziała tłusta, anielsko uśmiechnięta dama, dłubiąca szydełkiem.

Kasjerkę przepełniała bezgraniczna życzliwość do świata. Dobrotliwie usiłowała wytłumaczyć tej zziąanej cudzoziemce, że teraz już nie warto wchodzić do cyrku, przedstawienie się kończy, numer z tygrysami jest ostami, niech raczej przyjdzie jutro i obejrzy cały program, zbliżył się jednakże portier i gniewnie wyjaśnił, że na gapę weszło już trzech, a ta jest czwarta. Zarazem cudzoziemka zaparła się przy swoim. Zachowywała się przy tym jakoś dziwnie, podrygiwała, tupiała, na jej twarzy malowała się wściekłość, rozpacz i jakaś straszliwa niecierpliwość i kasjerka poczuła nagle, że rozumie. Uczyniła znaczący gest i powiedziała coś do portiera. Portier rozjaśnił się, kiwając głową. Teresa zapłaciła za cztery bilety, tłumiąc w sobie gwałtowny bunt przeciwko płaceniu także i za Capustę, została elegancko wzięta pod rękę i wprowadzona do wnętrza. Usiłowała się uwolnić, ale portier puścił ją dopiero, kiedy sztafetę przejął następny czuwający w przejściu między sektorami. Ów następny bardzo szybko poprowadził ją w prawo korytarykiem na zapleczu widowni i przekazał trzeciemu, trzeci zaś uprzejmie otworzył jakieś drzwi i Teresa znalazła się nagle na zewnątrz, tuż przed baraczką z wielkim napisem TOALETY...

Zasadnicza część pogoni znajdowała się właśnie również na zewnątrz, akurat po przeciwnej stronie cyrku, w dodatku w niejakim rozproszeniu. John Capusta, wpadłszy za zasłonę, natknął się na biletera w środkowym przejściu, bez namysłu zrezygnował z nawiązywania z nim kontaktów i skierował się w lewo korytarzykiem dookoła widowni. Wpadający tuż za nim Bolek zdążył go jeszcze dostrzec.

— Dobra jest — powiedział do Michała, który szybko nadrobił swoje dwie sekundy opóźnienia. — Teraz już nam nie nawieje, ja ten cyrk znam jak mało co. Trzymaj się, koleś, na styk, bo tu ciemno i teren zagracony...

John Capusta znikł za następną zasłoną, falującą na końcu korytarzyka. Na arenie grmiała orkiestra. Bolek i Michał wyplątali się z pluszowych fałd i znaleźli się na świeżym powietrzu, na tyłach cyrku. Było tu istotnie znacznie ciemniej niż od frontu, latarnie oświetlały głównie ogrodzenie, między wozami, budami i namiotami z rzadka tylko przyświecały żarówki. John Capusta znikł w głębokim cieniu za pierwszą szopą, po chwili mignął dalej i popędził w prawo, jakby zamierzał okrążyć cały cyrk. Bolek i Michał usłyszeli nagle osobliwy, brzękliwy łomot, który na chwilę ucichł i znów się powtórzył. Kierując się słuchem dopadli dziwnej konstrukcji z żelaznych prętów, stanowiącej długi, ażurowy tunel i przegradzającej dalszą drogę. Michał nie zastanawiał się, co to jest, zajęty Capusta, który przełazi przez to górą, ześlizgując się i waląc butami w pręty. Bolek przełaził za nim, łomocząc nie gorzej, Michał, zdenerwowany okropnie, potknął się, noga wpadła mu między pręty, wyszarpnął but, zjechał w dół i stłukł sobie kolano. Chwycił rękami górne żelastwa, wspiął się kawałek, spojrzął w tunel i na moment zamarł.

W ażurowym pomieszczeniu był tygrys. Najprawdziwszy w świecie, ogromny, żywy i rozzłoszczony. Zbliżał się niechętnie, z oporami, waląc ogonem po bokach, usiłując cofnąć się albo zawrócić. Za tygrysem słychać było jakieś okrzyki.

W jednym mgnieniu oka Michałowi błysnęło wszystko to, co wiedział o cyrkach. Z błysku wyłoniła się podstawowa myśl. W cyrku nigdy nie karmią zwierząt przed występem! Zawsze po, nigdy przed, w ogóle nic im przedtem nie dają do jedzenia! One godzą się na występ tylko dlatego, że chcą jeść, czekają na to, żeby jeść...

W tunelu był GŁODNY tygrys...

Michał zrezygnował z przełączenia na drugą stronę. Cofnął się w głębszy mrok, spojrzął w dal, ocenił teren na oko i postanowił obejść wszystko dookoła. Czym prędzej ruszył przed siebie, usiłując omijać liczne przeszkody, niewidoczne w mroku.

Pomocnicy tresera nie mogli zrozumieć, co się właściwie dzieje. Dostali sygnał „wypuścić tygrysy” i zaczęli wpędzać zwierzęta z klatek do tunelu. Nagle gdzieś z przodu załomotały żelazne pręty, a rezonująca stal przeniosła dźwięki aż do końca konstrukcji. Dla wszystkich cyrkowych zwierząt na całym świecie taki łomot oznacza nakaz powrotu do klatki, zdezorientowane tygrysy zaczęły się zatem cofać. Pomocnicy tresera pogonili je do przodu, łomot znów się rozległ, tygrysy próbowały zawracać, co w wąskim tunelu było niemożliwe, zapanowało zamieszanie, w tunelu narastał konflikt. Łomot wreszcie ucichł, pomocnicy tresera okazali stanowczość, sześć zdenerwowanych tygrysów popędziło na arenę.

Na pierwszego z nich treser spojrzął tylko raz i natychmiast pojął, że z głównym aktorem występu nie będzie. Pozostałe uda się uspokoić i skłonić do posłuszeństwa, ale tego nie. Elegancko zaprezentowawszy zachwyconej publiczności sześć dzikich bestii, pozostawił na arenie tylko pięć, szóstą zaś z miejsca skierował z powrotem do tunelu. Jeszcze przez chwilę tygrys próbował przeciwstawić się idiotycznym ludziom, zde gustowany zapewne głupią zmiennością poleceń, ale treser miał silną wolę. Tygrys wpadł do tunelu i popędził prosto do domu, nigdzie więcej nie mogąc popędzić. Krata za nim zapadła i rozpoczął się występ.

John Capusta uciekał z dziką zaciętością, najświęciej przekonany, że ucieka przed zemstą mafii. Bolka rozpoznał od pierwszej chwili i natychmiast pojął to, co mogło być jedynym wytłumaczeniem jego udziału, a czego nie odgadł wcześniej. Popełnił czyn kretyński, wplątał się w akcję zorganizowanej szajki międzynarodowej, o której nic nie wiedział, nie przeczuwał jej, nie wywęszył! Kanada, Francja, Polska... Nie dość, że sprzed nosa sprzątnął im łup, ale jeszcze zabił ich człowieka, tego przy studni! Zabił, nie zabił, oni myślą, że zabił, możliwe, że zabił, nie darują mu, dintojra...!

Teresy pod cyrkowym wychodkiem o mało szlag nie trafił. Trzęsąc się z furii i zdenerwowania, próbowała popędzić gdziekolwiek, ale wszystko było ogrodzone i wolną drogę miała tylko z powrotem na ulicę. Nie mogła wracać na ulicę, musiała pchać się za Michałem, który pętał się gdzieś tutaj. Zawróciła i wpadła w znajome drzwi, prowadzące do wnętrza, zdecydowana raczej udusić portiera, niż dać się ponownie wypchnąć. Rozejrzała się, portier stał tyłem do niej wpatrzonej w arenę, na końcu kolistego korytarzyka dojrzała zasłonę, rzuciła się ku niej i znów znalazła się na zewnątrz. Było tu jeszcze gorzej. Ciemność wypełniała ostra woń gnoju, na ziemi piętrzyły się jakieś przeszkody, jakieś kupy czegoś, jakieś skrzynie i śmieci, wokół wznosiły się parkaniki. Zręcznie trafiła akurat na teren sanitarny, stanowiący także szambo dla zwierząt. Byłaby zawróciła, gdyby nie to, że za parkanikiem mignęła jej sylwetka w ucieczce. Zawahała się, weszła na jedną ze skrzyń i przylgnęła do ogrodzenia. Z mroku, zza wielkiej belki, wyskoczył nagle John Capusta i skradając się, ruszył ku tym zagrożonym i śmierdzącym terenom. Teresa mimo woli wydała okrzyk chrapliwy i krwiożerczy, John Capusta spojrzał, dostrzegł jej popiersie, wystające nad parkanikiem, zawrócił i skoczył w przeciwną stronę, między długie rzędy baraków, gdzie panowała kompletna ciemność. Natychmiast za nim pojawił się Bolek. Nie patrząc w stronę Teresy, machnął jej ręką i popędził za przeciwnikiem. Michała nie było widać, Teresa tkwiła przy ogrodzeniu, nie zdając sobie sprawy, że wciąż wydaje swoje chrapliwe i krwiożercze okrzyki, z kołącą się gdzieś tam, na tle wszystkich emocji, myślą, że teraz już muszą go złapać, muszą go złapać, muszą go złapać. . .

Okrzyki na szczęście nie wybijały się zbyt mocno, bo na terenie cyrku panował ogólny hałas, spod kopuły dobiegały dźwięki orkiestry, ryki i oklaski publiczności, na zapleczu rozmaitymi głosami odzywały się zwierzęta. Półprzytomna niemal Teresa wdychała odór przyrody i wytrzeszczała oczy w ciemność, gdzie wydawało jej się, że Capusta przestał lecieć i wniknął w jeden ze stojących w długim rzędzie baraków, Bolek jakby wniknął za nim, z przeciwnej strony pojawiło się coś ruchomego, co wyglądało na Michała, wniknęło w to samo miejsce, możliwe, że były tam drzwi. . .

Głosy zwierząt nagle się wzmogły, między nimi rozległy się ludzkie okrzyki. Jakieś sylwetki mignęły w plamach światła, ciemność nabrała ruchliwości, ktoś pędził z przeciwka. Bolek i Michał pojawili się znienacka, nie wiadomo skąd, w mgnieniu oka sforsowali parkaniki, przebrnęli przez kupy i doły, dopadli Teresy, oderwali ją od ogrodzenia i ciągnąc za sobą, runęli ku zasłonie. Teresie okrzyki weszły w nałóg.

— Cicho! — syknął jej Bolek do ucha. — Szanowna pani wyłącz syrenę! Zmywamy się, ale już!

Dopiero teraz Teresa zamilkła, ochrypszy zresztą kompletnie. Chciała zapytać, co się dzieje z Capusta, ale nie udało jej się wydobyć głosu. Wleczona za Bolkiem wypadła znów przez te same drzwi przy toaletach, z tym że teraz została pociągnięta ku ogrodzeniu. Bolek istotnie znał teren, nie skorzystał z wyjścia dla publiczności, otworzył jakąś małą furteczkę, obejrzał się i wypchnął na zewnątrz Michała, który stawiał lekki opór, ociągał się i spoglądał do tyłu. Teresa wybiegła dobrowolnie. Bolek zatrzasnął furteczkę i od razu pociągnął ich w jakieś zaułki.

— Powiedziałem, dajemy nogę ekstracugiem. Gliny jada.

— Ale tego... Bo może jednak... Może on coś powie... — mamrotał niepewnie Michał.

— Z byka spadłeś, koleś? Kto ci co powie? Zwierzątko pary z pyska nie puści!

— Na litość boską, co się tam stało?! — wydyszała z furją zachrypnięta Teresa, słysząc narastające wycie policyjnej syreny. — Co się dzieje?! Gdzie Capusta?!!!

— Różnie mówią — odparł filozoficznie Bolek, wciąż pędząc przed siebie. — Jazda, jazda! Jeszcze kawałek trza odskoczyć.

— Cyrk... — wyszeptał słabo Michał. — To był cyrk...

— A jakże — przyświadczył Bolek z przekonaniem. — Czysty cyrk, jak rzadko! Czegoś takiego jeszcze nie widziałem!

Michał wydał z siebie cichy jęk. Wleczona ulicami w dzikim galopie Teresa resztkami tchu zażądała, żeby natychmiast gdzieś usiedli. Inaczej padnie trupem. W nosie ma cyrk, policję i Capustę, dalej nie idzie, będą ją nieśli!

O lokal, w którym można usiąść, w Paryżu nietrudno, a Bolek znał miasto. Już po pięciu minutach posadził na plecionych krzesłach kompletnie wyczerpaną Teresę i szaleńczo zdenerwowanego Michała. Operował swobodnie tylko jedną ręką, łokciem drugiej cały czas przyciskając wdzianko, którego bok wypychał mu jakiś miękki przedmiot. Pomimo to zręcznie zajął się obsługą i postawił na stoliku piwo i sok pomarańczowy, zanim wspólnicy zdążyli odetchnąć.

— Wyjątkowo nefartowny interes! — westchnął smętnie, siadając. — Niech ja rybią łuską porosnę, jeśli kiedy nadziałem się na coś takiego. . .

— Czyja się wreszcie dowiem, co się tam stało?! — zirytowała się Teresa. — Widziałam, jak lecieliście za nim gdzieś tam, gdzie było ciemno, i myślałam, że teraz już go chyba złapiecie! Coście tam takiego zrobili?!

— My nic — odparł żałośnie Michał. — To nie my. . .

— A kto? Capusta?!

— Poniekąd Capusta — wyznał niepewnie Bolek. — W każdym bądź razie on wziął udział osobiście. . .

— O Jezu. . . — jęknął Michał nagle zzieleniały.

Teresa poczuła, że za chwilę trafi ją szlag ze zdenerwowania. Usiłowała sprecyzować następne pytanie, ale głos jej odmówił posłuszeństwa. Okropnym wzrokiem popatrzyła na Bolka, który wzruszył ramionami i skrzywił się z niesmakiem.

— No, co tu dużo gadać, faceta już nie ma — oznajmił z determinacją. — Nic nie poradzę, sam się tam wepchnął. No i ten. . . Jak mu tam. . .

— Tygrys. . . — wyszeptał słabiutko Michał. — Ussuryjski. . .

— No właśnie. Mordę ma jak, nie przymierzając, ceber. Świnie te ludzie, głośną go tam chyba albo może w nerwach był, bo wrąbał tego Capustę, zanim się człowiek zdążył obejrzeć. . .

Teresa pomyślała, że albo źle słyszy, albo Bolek zwariował. Spojrzała na blado Michała.

— To prawda. . . — zakwilił Michał. — Tygrys zeżarł Capustę. . . Włazł do klatki. . . I zeżarł. . .

Po dłuższej chwili do Teresy dotarło. Bolek przyjrzał się jej uważnie, podniósł się bez słowa i po chwili wrócił z bufetu z kieliszkami i butelką koniaku.

— Pani sobie trzaśnie — rzekł rozkazująco.

Teresa trzasnęła sobie i odzyskała dech.

— Tego już chyba prababcia nie mogła przewidzieć... — powiedziała trochę nieprzytomnie.

Bolek nalał ponownie i twarze współników zaczęły odzyskiwać normalne barwy. Michał zdobył się na wygłoszenie całego kompletnego zdania.

— Capusta uciekał przed nami i trafił do klatki z ussuryjskim tygrysem. Co mnie dziwi, to tego... — Tu załamał się i niepewnie dokończył: — Że też nawet nic nie powiedział... .

— Kto? — warknęła dziko Teresa. — Capusta czy tygrys?

— Nie wiem... Obaj...

Bolek wziął sprawę w swoje ręce.

— Capusta nie zdążył — wyjaśnił. — Zanim się połapał, już go nie było. A tygrys, cholernik, posiłkiem się zajął. Zmyślne zwierzątko, chciał wrzucić na ruszta, ile się da, zanim mu przekąskę odbierą... .

Teresa i Michał zgodnie i pośpiesznie wypili po kieliszku koniaku. Teresa odchrząknęła kilkakrotnie, próbując głosu.

— I wyście... — zachrypiała — i wyście... to widzieli... ?

— Prawie. Ja więcej. Michałek cośkolwiek mniej. Później nadleciał. W każdym bądź razie śmierć miał lekką, świeć, Panie, nad jego duszą, bo najsamprw ten tygrys odkąsił mu łeb... .

Dopiero po kilku minutach można było kontynuować konwersację. Bolek zlitował się nad współnikami, zaniechał roztaczania barwnych wizji i zmienił nieco zeznania.

— Dobra już, dobra — rzekł ugodowo. — Tak faktycznie mówiąc, to on tam zeżarł niewiele, bo zaraz ludzie się pokazali, tyle że kark mu skręcił w trymiga. Jedno pewne. Nic się już więcej od nich nie dowiemy, bo ani Capusta słowa nie powie, ani tygrys... .

— Jak to się w ogóle stało? — spytała wytrącona z równowagi Teresa. — Dlaczego on tam poszedł do tego tygrysa? Oszalał czy co?

— Uciekał przed nami... — zaczął Michał, ale Bolek mu przerwał.

— Właśnie że nie całkiem przed nami. Znaczący owszem, przed nami to się chował po rozmaitych kątach, co i raz to przykucał, a i tak nie wiem, gdzieś ty się podział, koleś, boś mi się zmył z oczu. . .

— Dookoła — westchnął Michał. — Obleciałem to dookoła. . .

— Dookoła? To ci nawet dobrze wyszło. . . A już myślałem, że nawieje, bo skoczył tam, gdzieśmy potem wyszli. To jest takie miejsce do wywalania tego, no. . . gnoju. I śmieci. Codziennie wywożą, ale późno w nocy. Myślałem, że przeleci i wpadnie gdzie między ludzi, i nawet mnie zdziwiło, jak zawrócił i poleciał do klatek. . .

Teresa wydała z siebie okropny jęk i gwałtownie chwyciła kieliszek. W butelce koniaku została już ledwo jedna czwarta zawartości.

— Mnie zobaczył. . . ! Spojrzał na mnie. . . ! Zobaczył mnie i zawrócił. . . !

— Niech się szanowna pani tak okropnie nie przejmuję — rzekł Bolek ze współczuciem. — To już ganc pomada, co on tam zobaczył. I w ogóle ja bym szanownej pani nie radził tego tak reklamować, bo się ludzie będą natrzęsać, że nieboszczyk wołał tygrysa niż panią. . .

Teresie natychmiast przyszły na myśl obie starsze siostry i wydała jęk jeszcze rozpaczliwszy. Michał stanowczo poparł zdanie Bolka. Bolek rozlał do kieliszków resztę koniaku.

— Przeznaczenie to było, nic innego — zawyrokował smutnie. — Widać ten tygrys był mu od urodzenia pisany, bo żeby nie w żadnej dzikiej puszczy, tylko w środku miasta człowieka zeżarł tygrys, to jest rzadka rzecz. Przepadło, cześć pieśni. Niewąski rejwach tam się teraz odbywa, bo ta klatka powinna być zamknięta na klucz. A nie była.

— A w ogóle z tych krzyków wynikało, że ten tygrys powinien być na arenie — przypomniał Michał. — Nie wiadomo, dlaczego nie był. . .

— Tego to ja się jutro dowiem, bo mam tam swoje chody. Capusta chciał chyba przelecieć przez te klatki na durch, ale cośkolwiek źle trafił. Z jednej strony ja byłem, z drugiej tyś leciał, jak tam włąził, to było pusto, ale zaraz i tygrys się pokazał, no i swoją robotę odwalił. Ja bym tam na waszym miejscu tak bardzo nie rozpaczał. . .

Mniej więcej po następnym kwadransie Teresa i Michał pogodzili się z sytuacją. Bolek bystrym okiem ocenił stan psychiczny współników, odetchnął z wyraźną ulgą i oznajmił, że jego zdaniem mogą na nowo przystąpić do interesów. Capustę mają z głowy definitywnie, tygrys się słowem nie odezwie, ale on tu coś ma.

— Co masz? — zainteresował się Michał.

Bolek poklepał się po wypchanym boku wdzianka.

— Jak by tu powiedzieć... No, tego... Ciucha kawałek został.

Teresa i Michał patrzyli na niego nie pojmując. Bolek wydawał się nieco zakłopotany. Zajrzał pod wdzianko, uczynił ruch, jakby chciał sięgnąć po to coś przyciskane łokciem, zawahał się i zrezygnował.

— Trochę nie bardzo to wygląda — wyznał. — Szanownej pani pokazywał nie będę, bo mi tu szanowna pani znowu jakie grymasy zacznie. W ogóle nie wiem, gdzie by to obejrzyć tak, żeby ludzie nie widzieli, bo możliwe, że tam się już dziwią, że nieboszczyk tylko pół marynarki posiadał. Trza by gdzie na stronie...

— Dlaczego pół? — spytała słabo Teresa, bo Bolek zamilkł, z namysłem rozglądając się dookoła. — Mnie się zdawało, że miał całą...

Bolek zaniechał penetracji otoczenia i wyjaśnił grzecznie, że za życia, owszem, miał całą. Teraz jednakże ma już tylko pół, drugą połowę zaś on sam przez cały czas ściska pod pachą. Tygrys był tak uprzejmy, że zaczął robotę od rozszarpania odzienia ofiary na plecach, przy czym zrobił to elegancko, solidnie, porządnie, bez mała jak krawiec. Poszło mu z łatwością, marynarka była rozpięta i od razu przedzieliła się na dwie połowy.

— Jezus kochany, i tyś zabrał jedną? — jęknął Michał.

— A jak? Zaraz mi zaświtało, że od naszej strony jest ta prawa połowa, kapujesz, co kartkę chował do kieszeni. Tym żelastwem, co tam leżało, dało się raz dwa dosięgnąć, pogrzebacze takie długie czy co, wsio rawno, grunt, że samo wyszło. Chciałem od razu obejrzyć szmatę i rzucić, ale nie zdążyłem, bo już ludzie nadlatywały. Niepotrzebnieś krzyczał, koleś, żeby nie ten raban, nie taskałbym tego rżęcha tyle czasu...

— Ja krzyczałem?! — oburzył się Michał.

— No a kto? Przecie nie ja. Widzi mi się, że tu coś jest, trza obmacać, tylko nie na ludzkich oczach. Chodź, idziem za winkiel, tam jest ustronne miejsce. . .

Teresa pozostała przy stoliku sama, czując wyraźnie, że dawno już przekroczyła wszelkie granice własnej wytrzymałości i właściwie zaczyna jej być wszystko jedno. Nic jej już nigdy nie zdziwi i nic nie zdoła nią wstrząsnąć. Mgliście zamajaczyła jej myśl, że chyba więcej do Polski na wypoczynek nie przyjedzie, po czym przypomniała sobie, że to wszystko dzieje się przecież nie w Polsce, tylko we Francji, w Paryżu od lat słynącym jako miasto licznych atrakcji i rozrywek. Sarkastycznie pomyślała, że opinia ta jest niewątpliwie słuszna i że wszech miar zasłużona, i natychmiast podjęła kategoryczne postanowienie. Noga jej do końca życia w tym rozrywkowym Paryżu nie postanie!

Bolek i Michał wrócili dość szybko, Bolek był pełen spokojnej satysfakcji, Michał wyraźnie odmieniony, rozpromieniony, wręcz wniebowzięty. Tulił do łona coś, co wyglądało jak duża saszetka na męskie ranne pantofle. Z lekkim oporem i wyłącznie na stanowcze polecenie Bolka wręczył ową saszetkę Teresie, pieczołowicie pilnując schowania jej na dno torebki. Teresa torebki w całym tym zamieszaniu nie zgubiła, zapewne tylko dzięki temu, że oba jej długie ucha miała okręcone wokół przegubu ręki. Posłusznie wepchnęła na dno tajemniczy łup, stwierdzając przy okazji dotykiem, że wbrew pozorom nie są to ranne pantofle, zrabowane nieboszczykowi Capuście. Na pytanie, co to jest, Michał odpowiedział jej niecierpliwie, że nic. Kompletnie nic, szczególnie w porównaniu ze wszystkim.

— Bumaga też się znalazła — oznajmił Bolek z wielkim zadowoleniem. — Faktycznie, miał ją w prawej kieszeni, tylko nie wiem, czy się wam na co przyda. . .

— W porównaniu ze wszystkim, to w ogóle wszystko jest nic — powiedziała mimo woli Teresa, czując, że znów przestaje panować nad umysłem.

— To się potem okaże — przerwał im obydwójgu rozgorączkowany Michał. — Ruszajcie się, nie ma chwili do stracenia! Odkupujemy resztę od Karola, mamy za co, jutro skoczę do Rouen, utarguję, co się da, prędzej, zanim zaczną nas łąpać,

teraz już lepiej od policji z daleka. . . Idziemy, wcale nas tu nie było, gazu, może pojutrze uda nam się wracać. . .

* * *

— Nie wierzę — powiedziała Lucyna z wyrazem osłupienia na twarzy. — Nie wierzę. Coś takiego jest po prostu niemożliwe. . .

Komunikat, że tygrys zeżarł Capustę, spadł na nas jak grom z jasnego nieba. Wzrokiem pełnym zgrozy patrzyliśmy na dwoje podróżników, którzy zjawili się znienacka, bez uprzedzenia o powrocie, zaskakując całą rodzinę, przez czysty przypadek zgromadzoną akurat w domu mojej mamusi. Wkroczyli z hiobową wieścią na ustach i natychmiast poświęcili się jakimś swoim sprawom, pograżając nas w coraz głębszym oszołomieniu. Rozpłomieniony Michał nie zwracał żadnej uwagi na zadawane pytania, a szaleńczo wściekła Teresa zajęta była tylko jednym tematem.

— Przemyt przewiozłam! — wykrzykiwała z furją, niemal ze łzami w oczach. — Taki przemyt! Ja. . . !!! W więzieniu skończę przez was i przez tego półgłówka!

Michał wydarł jej z ręki eleganckie opakowanie męskich rannych pantofli, którym próbowała wymachiwać. Otworzył zamek błyskawiczny i wytrząsnął zawartość saszetki na tapczan mojej mamusi, przy okazji zatykając nam dech w pierśsiach.

— Niech pani sobie mówi, co chce, ale to było jedyne wyjście! — tłumaczył z irytacją. — Przecież większość tego to złoto, proszę, co, chciała pani jeszcze płacić cło za swoje własne złoto? Mało, że ten łobuz to ukradł, że nielegalnie wywiózł, mało, że trzeba to było wyrywać tygrysowi z pyska, jeszcze się tu miałem handryczyć o cło. . . ?!

Teresa wydała z siebie już tylko zdławiony charkot. Na tapczanie mojej mamusi połyskiwały wesoło oszczędności skąpego krewniaka z ubiegłego wieku. Nie wnikając w bliższe szczegóły przedsięwzięcia i nie bacząc na protesty gry-

maśnej jednostki, cała rodzina przyznała Michałowi słusność. Zważywszy, iż owo złoto miało postać niezmiernie cennych okazów numizmatycznych, cło za nie mogło przekroczyć rodzinne możliwości finansowe, nie mówiąc już o tym, że nikt z nas go nie wywoził. Nie my byliśmy przyczyną komplikacji. Po bardzo krótkim namyśle za najwłaściwsze wyjście uznano nie przyjmować w ogóle do wiadomości faktu przewożenia. Spadek po prababci nigdy w życiu nie opuszczał granic ojczyznanego kraju i nigdy w życiu nie wracał, a zatem nie ma o czym gadać.

Krzyki Teresy o przemyśle wzbudziły jednakże nasze zainteresowanie, przysłuchując na chwilę wstrząsającą i niepojętą kwestię tygrysa. Zniecierpliwiony Michał wyjaśnił pochodzenie zbioru, zatajając jedynie sposoby skłonienia pana Karola do pozbycia się łupu po cenie kosztu. Wyznał natomiast szczerze i zuchwale, że nie zawahał się ani chwili przed wepchnięciem Teresie na dno torby owej saszetki całkowicie bez jej wiedzy, z nadzieją, że w zdenerwowaniu nie zauważy pakunku, nawet mimo jego ciężaru. Nadzieja okazała się słuszną, Teresa poznała rozmiar swojej przemyślniczej działalności dopiero w taksówce, jadącej z Okęcia na Mokotów. Michał do zbioru nie miał głowy, bo zajęty był przemyca- niem cukiernicy Stanisława Augusta. . .

Wróciliśmy do zasadniczego tematu.

Opowieść o paryskich przeżyciach, niesłychanie chaotyczna i zagmatwana, doprowadziła w końcu do poznania strasznej prawdy. Nie było siły, w przewo- dzie pokarmowym dzikiej bestii znikła ostatnia nadzieja na odzyskanie mienia po przodkach. Jedyną, nikłą pociechę mogła stanowić nietypowość zjawiska.

— A ja nie wierzę — uparła się Lucyna. — Nie rozumiem, co tam się stało, ale w taki idiotyzm nie wierzę!

— A ja wierzę — powiedziałam zimno. — Wierzę we wszystko, co dotyczy fauny od czasu, kiedy na służewieckim torze na własne oczy widziałam, jak razem z końmi finiszował do celownika kot. Prawdziwy, żywy kot, w dodatku w barwach stajni Kozienice, czarno-rudy.

— Jak to kot? — zdumiała się ciocia Jadzia.

— Tak zwyczajnie. Kot. Pruł jak szatan, o mało nie przegonił koni. Kozienicki koń akurat został w tyle i możliwe, że kot ratował honor stajni. Widziało to tysiące ludzi.

— W kota też nie wierzę — oznajmiła Lucyna nieco już mniej pewnie.

Prawie się obraziłam.

— Mogę ci podać ze sto osób, do których zadzwonisz i spytasz, czy to prawda. Nikt wtedy nie wiedział, jakie konie wygrały, bo wszyscy wpatrzeni byli w kota. Przegrał o krótki pysk.

— Ja też pani mogę podać — wtrącił się energicznie Michał. — Może nie całe sto osób, ale telefon do tego cyrku. Zapisałem sobie. Nie wymaga pani chyba, żebym przywiózł na dowód guzik Capusty albo zęb tygrysa...

— A co, wyłamał sobie? — zainteresowała się nagle moja mamusia.

— Nie wiem. Ale chyba nie. W każdym razie po tym tygrysie wierzę także i w kota.

— A co ten kot tam w ogóle robił?

— Łapał myszy — wyjaśniłam. — Podobno jak jest mokro, myszy wyłazą z nor. Tam jest parę kotów, jeden ma barwy stajni Libartowo, czarno-białe, w kratkę. To znaczy kot nie jest w kratkę, kot jest w plamki, konie są w kratkę... To jest, tego, nie konie, tylko dżokeje...

— No, w konie w kratkę to już nie uwierzę na pewno! — zakomunikowała Lucyna.

— Otóż właśnie niesłusznie! — odparłam z triumfem. — Są w kratkę! W dzień derbów konie miały zady wyszczotkowane w szachownicę. A dwa nawet w gwiazdki! I jak wyglądasz?

— Boże, ratuj, konie w kratkę, kot w kwiatki, a tygrys zeżarł Capustę — powiedziała ze zgrozą Teresa. — Czy ja jestem w domu obłąkanych? Czy wy nie możecie rozmawiać normalnie?

Konie w kratkę nie wiadomo dlaczego nagle przekonały Lucynę. Przestała przeczyć oczywistym faktom. Uświadomiła sobie zapewne, że tygrys jest to zwierzę duże i ogólnie uważane za niebezpieczne i nawet oswojony, i tresowany może

się czasem zachować niestosownie. Zaś obecność tygrysa w cyrku w ogóle nie jest niczym szczególnym. Przypomniało jej się też coś innego.

— No dobrze, niech wam będzie — zgodziła się wspaniałomyślnie. — Może być, że nasza klątwa traci na sile i zwyczajne sposoby przestają już działać. Aż tygrysa było potrzeba, żebyśmy się jednak nie zdołali wzbogacić. W każdym razie tygrys to jest coś więcej niż kogut. . .

— Otóż może być, że nawet i to nie! — podchwycił gwałtownie Michał. — Coś zostało, mówiłem! Znaleźliśmy u niego w kieszeni!

Wszyscy przypomnieli sobie nagle, że była o tym mowa. Spadek przypadł, ale pozostała po nim ostatnia wieść. Wieść, którą zawierał mały świstek papieru, ocalała z tygryziej paszczki. Rodzina oderwała się od zwierzyny, Michał uroczyście wyjął z kalendarzyka wydartą z notesu kartkę i rozłożył ją na stole.

— Bolek mówił, że to było właśnie to — oznajmił z przejęciem, popukując w nią palcem. — Karol się załamał i powiedział nam, że Capusta zamierzał kogoś po to przysłać. Kogoś zaufanego i ten ktoś miał według tego trafić. Więc to musi być dość proste, jest nadzieja, że my też trafimy. Proszę państwa, myślm!

Mimo energicznych starań wszystkich obecnych kartka nie została poszarpana na strzępy. Obejrzelismy ją, najpierw wszyscy razem, stukając się głowami, potem każdy oddzielnie, a potem popatrzylismy na siebie. . .

Na kartce narysowana była mapka. Bardzo prymitywna mapka, na której można było rozpoznać drogę przechodzącą przez mostek, kawałek jakby rzeczki i drzewo. Przy mostku narysowany był mały krzyżyk, od drzewa poprowadzona przerywana linia, która nagle skręcała pod kątem prostym. Na końcu linii znajdowały się trzy małe kółeczka, z których jedno zostało zamazane na czarno. Ponadto obrazek zaopatrzone był w cyfry: na początku drogi widniała cyfra 4, przy mostku 3, a przy przerywanej linii 67. I to było wszystko.

— Naprawdę musieliście go wpędzać do tej klatki z tygrysem? — spytała z rozgoryczeniem Lucyna.

Teresa rozzłościła się na nowo.

— Po wszystkim, co przez was przeżyłam, macie teraz zgadnąć, co to znaczy! — zażądała. — Ruszcie tymi czerepami! Zaczniście myśleć!

— Kiedyś z takiej mapki odgadliśmy Tończę — poparła ją żywo ciocia Jadzia.
— Może i tym razem...?

— Kiedy nie ma już więcej posiadłości po przodkach — powiedziała moja mamusia bardzo zmartwiona.

— Zwracam wam uwagę, że tamto z Tończę to był uczciwy kawałek sztabówki — wtrącił zimno Marek. — A to jest nie wiadomo co. Twórczość dowolna.

— Ale myśleć możemy! — zawołał z ogniem Michał. — Nie ma przepisu, że myśleć wolno tylko nad sztabówkami! Proszę państwa, zastanówmy się! Gdzie to może być?

— Rzeczka płynie, droga przechodzi przez mostek, przy drodze stoi kapliczka — powiedziałam nagle w natchnieniu. — Musi tam rosnać duże drzewo. Sześćdziesiąt siedem kroków od drzewa trzeba skrócić i są tam trzy jednakowe rzeczy. W tej zamazanej leży skarb.

Przez chwilę wszyscy gapili się na mnie jak wół na malowane wrota.

— Po prostu cudownie — powiedziała sarkastycznie Lucyna. — To już zaraz jedziemy do tej zamazanej rzeczy?

Natychmiast cała rodzina zaczęła mówić jednocześnie. Wśród nieopisanego rejdachu, w którym nikt nikogo nie był w stanie przekrzyczeć, zginęła ze stołu kartka. Nie przerywając kłótni i wzajemnych inwektyw, zaczęliśmy już łączyć na czworakach po całym pokoju, kiedy okazało się, że studiuje ją siedzący w kącie ojciec. Przez całe życie ojciec miał osobliwe nabożeństwo do wszelkich map i uwielbiał posługiwać się nimi niezależnie od potrzeb.

— Ja nie rozumiem, po co on tak poszedł, tędy i tędy... Pod kątem prostym — powiedział z niezadowoleniem, niechętnie zwracając cenny dokument. — Przecież na przełaj byłoby bliżej.

Kłótnia zgasła równie nagle, jak wybuchła, nawet moja mamusia ucięła w zarodku wymyślanie ojcu za podstępne zagarnięcie świętego papierka. Ojciec miał rację, droga do skarbu rzeczywiście została narysowana dziwnie. Jeżeli Capusta poszedł pod kątem prostym, a nie na przełaj, widocznie miał jakąś przeszkodę. Odgadnięcie rodzaju przeszkody stanowiłoby niewątpliwy postęp...

Przypuszczenia padły rozmaite. Przeszkodą mógł być mokry rów, bagno, ogrodzenie, gęsty, suchy lasek, względnie kłęb jeżyn. Lucyna twierdziła, że paśło się tam akurat stado krów, których nieboszczyk Capusta zwyczajnie się bał. Osobiście byłam zdania, że raczej rosły pokrzywy. Niemniej przeszkoda musiała istnieć i Michał bardzo się ożywił.

— No, widzicie państwo sami, ile już wiemy! — wykrzyknął. — Jeszcze trochę, jeszcze trochę...

— Posprzątaj lepiej, synku, te śmieci z tapczanu, bo zaraz ktoś na nich usiądzie i będziemy mieli więcej do szukania — poradziła zjadliwie Lucyna.

— Śmieci! — prychnął z oburzeniem Michał, ale zaczął zgarniać na kupę rozsypany po tapczanie majątek. Moja mamusia dała mu poszewkę na jasiek, szetkę Capusty uznawszy za niegodną zaszczytu.

— No, myślcie dalej! — popędziła niecierpliwie ciocia Jadzia. — Stanęliśmy na tym, że musiał omijać przeszkodę...

— Może byście się najpierw zastanowili, w jakim to mogło być terenie — przerwał Marek.

— Jak to w jakim, w pustym oczywiście! — odparła bardzo rozsądnie moja mamusia. — Nie chował przecież tak, żeby go ludzie widzieli!

— A ty jak uważasz? — zainteresowała się Lucyna.

Marek popatrzył na nią w zamyśleniu.

— W zasadzie najbardziej prawdopodobny wydaje się las...

— Nie środek miasta, to pewne — mruknęła gniewnie Teresa.

— Ale równie dobrze może być coś innego. Łąka porośła krzakami, wysypisko śmieci... Te trzy kółeczka, to jak uważacie, co to może być?

— Bunkry — powiedziałam bez wahania.

— Trzy stare chałupy — orzekła moja mamusia.

— Grobowce na cmentarzu — podsunęła ciocia Jadzia. — I szedł wzdłuż muru, cmentarze są ogrodzone...

Ilość przypuszczeń zaczynała rosnać zatrważająco. Zważywszy uwiecznienie na mapce tylko jednego drzewa, teren nie został ściśle określony. Mogła to być nawet gęsta puszcza, a narysowania innych drzew autor mapki zwyczajnie zanie-

dbał. Mogła to być także łąka, orne pole, wieś ze starym cmentarzem, kamieniołomy albo zgoła stawy rybne. Nawet wymyślona przeze mnie kapliczka nasuwała wątpliwości, krzyżyk mógł oznaczać na przykład przystanek PKS-u. Ewentualnie młyn, bo skoro rzeczka. . .

— Z tego wynika, że omijając miasta, trzeba szukać miejsca, w którym boczna droga przechodzi przez mostek i rzuca się w oczy duże drzewo — zreasumował Marek bezlitośnie. — Przy mostku stoi kapliczka, krzyż, przystanek PKS-u, stragan z owocami, leży duży kamień albo kupa piachu. . .

— Albo zdechła krowa — odpowiedziała jadownicie Lucyna.

— Za drzewem ciągnie się przeszkoda trudna do sforsowania w postaci muru, parkanu, rowu, pokrzyw, jeżyn, bagna. . .

— Trochę dużo tego — zauważyła smętnie ciocia Jadzia.

— No, ale w każdym razie wiadomo, że musi być przeszkoda — pocieszył ją niepewnie Michał.

— W dodatku nie wiadomo, po której stronie szukać drzew, bo nie zaznaczył stron świata — ciągnął Marek niemiłosiernie. — To znaczy, że trzeba sprawdzać każde duże drzewo przy każdym mostku, obok którego znajduje się cokolwiek. Na domiar złego nie wiadomo, czy ma to być środek lasu, kartoflisko czy nieużytki. I chciałbym wiedzieć, w jakiej okolicy właściwie mamy szukać. . .

— No jak to w jakiej, na zachód! — jęknął żałośnie Michał. — W kierunku do granicy. . .

— Zaczynając od Woli, tak?

— Przypominam wam, że już to obliczyłam — powiedziałam ponurym głosem. — Dziewięćdziesiąt sześć tysięcy kilometrów kwadratowych. . .

— Miasta odjęłaś? — zaciekała się Lucyna.

— Nie, jeszcze nie. Ale mogę odjąć. Zostanie pewnie tylko dziewięćdziesiąt tysięcy.

— Zawsze to już trochę mniej. . . — westchnęła ciocia Jadzia.

— No, to ujeździmy się teraz za wszystkie czasy! — ucieszyła się Lucyna. — Nie zostawimy przecież takiego skarbu odłogiem?

— I jeszcze będziesz oblatywać dookoła każde duże drzewo przy każdym mostku — przypomniła jej uprzejmie Teresa. — Spacerowanie na świeżym powietrzu są bardzo zdrowe. Nasza kochana siostrzenica sama mówiła, że straty ponosimy przez brak wytrwałości. . .

Włos mi się zjeżył na głowie. Pomyślałam, że nie darują mi tego, rodzina nie popuści, a zatem muszę chyba zmienić samochód, bo ten się rozlatuje i nie wytrzyma trasy, nie mówiąc już o niespodziankach w kwestii nawierzchni. Szosy podrzędnej kategorii, polne drogi, leśne dukty i groble, wszelkie mostki, a kto wie, czy nie brody. . . Usiłowałam wyobrazić sobie, ile to wypadnie w kilometrach bieżących, ale nie doszłam do żadnych rezultatów, bo usłyszałam radośnie ożywiony głos mojej mamusi.

— Słuchajcie, a może te trzy kółka, to są trzy stare studnie przodków tego Capusty?

* * *

Ostatnio właśnie Tadeusz, mąż Teresy, zawiadomił nas, że na następny urlop przyjeżdża do Polski z kompasem i łopatą. Głównie zależy mu na tym stroju głowy z trzystu pereł, ponieważ jeszcze nigdy w życiu nic takiego nie widział..

Koniec
(powieści-rzeki nie będzie)